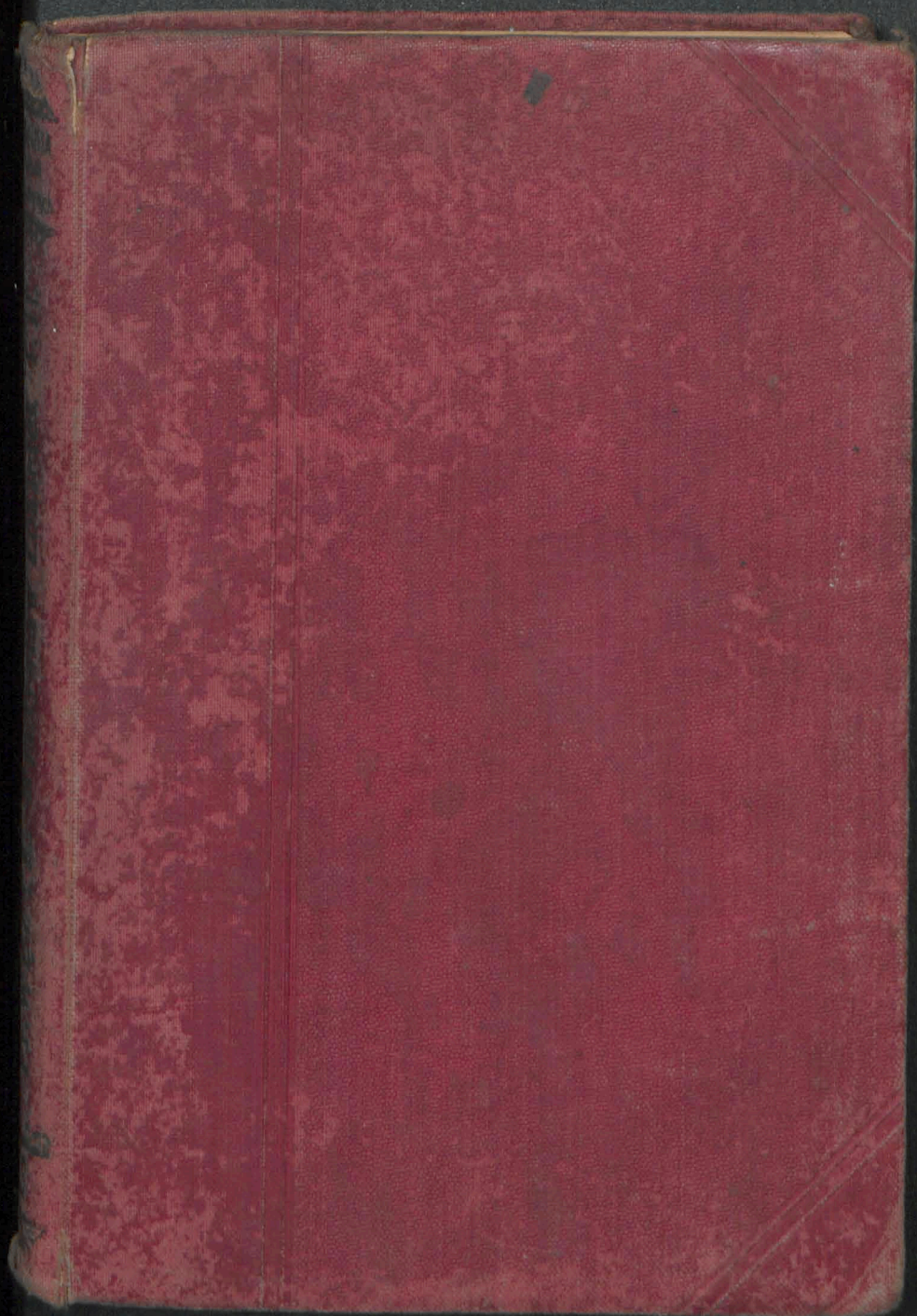




BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Rocznie (52 tomy). rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kóp. 59

Za odnośnienie do domu 15 kóp. kwart.

Z przesyłką pocztową:

Rocznie. (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Cena każdego tomu 25 kóp.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzi dzieła następujących kategorii:

1. Arcydzieła literatury powszechnej,
2. Dzieła beletrystyczne (powieści, poezye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. Dzieła historyczne, szczególnież pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości,
4. Dzieła popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA

Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA

Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

Доволено Ц. издурю. Варшава, 25 Февраля 1893 г.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 23.

Władysław Łokietek

(POWIEŚĆ HISTORYCZNA)

Nv.
1888



Franciszka Wężyka

z przedmową

Juliana Mchorta.

TOM II

Cena 40 kóp.

W prenumeracie 30 1/2 kóp.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja:

47. Nowy-Świat 47.

1893.



WŁADYSŁAW ŁOKIETEK.

u
Bibliot. 12058
Znak 3799
Na inw.

Franciszek Wężyk.

WŁADYSŁAW ŁOKIETEK.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z PRZEDMOWA

JULIANA MOHORTA



TOM II.

u
Biblioteka 12058
Znak 3779
№ inw. 3779

WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47.



Wszystk
Właśc.

4704

11

Дозволено Целзурою.
Варшава, 13 Февраля 1898 года.

ROZDZIAŁ I.

Kraków podczas wojen z Litwą.

Ledwie Bolesław Wstydlivy żyć przestał, natychmiast małżonka jego, Kunegunda, a córka króla węgierskiego Beli IV, do klasztoru Panien Świętego Franciszka wstąpiła i przyjęła zakonną sukienkę. Zgon Bolesława, księcia kaliskiego, połączył z nią (jak już wiadomo) siostrę Jolantę, która poszła za jej przykładem. Przyjęła tę owdowiałą księżną z jej córkami w Krakowie przystojnie i uprzejmie jej siostrzenica, Gryfina. Przed wykonaniem zakonnych ślubów nie chciała się Jolanta od swych córek oddzielać. Gdy śluby nareszcie spełnione zostały, przeniosły się księżniczki kaliskie do krakowskiego zamku, gdzie pod okiem Gryfiny dokonywały w samotności trzechletniej a dobrowolnie postanowionej po ojcu żałoby, nie widując nikogo i nie bywając nigdzie, okrom kościoła. Najstarsza z nich, Jadwiga, poczuła wkrótce, ile razem z siostrami na śmierci ojca straciła. Oddzielona od matki i zostawiona swemu smutkowi, równie jak wpływom i kierunkowi przewrotnej Gryfiny, codziennie gorzko oplakiwała swoje sieroctwo i pamięć szczęśliwie przepędzonej młodości.

Nieobecność w stolicy Leszka, intrygi Czechów z Gryfiną, niesnaski wzniecone przez Pawła biskupa (którego wkrótce wolnego i działającego przeciwko panu swojemu ujrzymy), gotowość nakoniec krakowian do odmiany pana, słowem wszystko, co ją otaczało, stan jej trudnym do zniesienia czyniło. Raz tylko na tydzień odwiedzała z siostrami Jolantę. Lecz ta, całkiem oddana modlitwie i Bogu, a biorąca za wzór swoich postępów życie zakonne Kunegundy siostry, przez umartwienie i zrzeczenie się wszelkich związków ze światem zbyt zimną i obojętną okazywała się dla córek. Często Jadwiga, opuszczając mury klasztoru świętego Jędrzeja, do młodszych sióstr swoich mawiała ze łzami:

— Niestety! straciliśmy najlepszego ojca, a matka, cała zajęta staraniem o przyszłe życie, nie dba już o swoje dzieci. Tak zostałyśmy sierotami w całym znaczeniu tego wyrazu. Ale ufajmy w Boga: On jeden będzie naszej doli i niewinności obrońcą.

Zbyt długo zajmowały stolicę wzniecone przez zapamiętałego Pawła biskupa niesnaski. Wiemy, na kogo spuścił Leszek rozpoznanie tej sprawy, udając się z Krakowa na poskromienie litewskiej napaści. Więziony biskup w Sieradzu tak wielu miał przyjaaciół i stronników w kraju, że wyznaczeni na niego sędziowie, pomimo oczywistości związków jego z Litwą, pomimo tylu widocznych intryg i zamachów przeciw nieszcześliwemu Leszkowi, przychylny dla Pawła wyrok wydali. Powrócony do wolności i stolicy, jawniej niż kiedyś z całą swą niewinnością ku panującemu księżęciu wybuchnął. Zły przykład pociągnął za sobą wątpliwe i chwiejące się wielu panów polskich umysły.

Gdy się to działo, Mangold de Sternberg, mistrz krzyżacki w Prusiech, dokonał żywota. Nastąpił po nim na tę dostojność Konrad de Tierberg. Objawwszy

ona w dziedzictwie po swoich poprzednikach, rozwinął nieznuzoną baczność na wszystko, co się dziać mogło w sąsiedzkich krajach, wyprawił w poselstwie do Krakowa Ludwika de Schnippen, malborskiego komendora, któremu został przydany, jako świadomy polskich spraw i mowy, Dytrych de Oldenburg. Ten przez śmierć ojca i brata stał się właścicielem znakomitego w północnych Niemczech hrabstwa. Wszedł o przez zamiłowanie od pierwiastkowej młodości ustaw krzyżackiego zakonu, chciał się rzec bogatego spadku i śluby Zakonne wykonać. Lecz Konrad de Tierberg, zostawszy mistrzem, wstrzymywał jego szczere chęci, podniecając w nim pozornie nadzieję celowania w innym zawodzie i stanie, a w rzeczy samej potrzebując jego uczestnictwa do ważnych i tajemnych zamiarów. Wiedział on dobrze, że poselstwo krzyżackie panującego księcia w stolicy nie znajdzie. Lecz nie tak mu chodziło o osobiste widzenie się z nim posłów, jak raczej o danie im zręcznej sposobności przypatrzenia się w stolicy polskim sprawom i gotowym do wybuchnięcia niesnaskom i o porozumienie się z Czechami, Gryfiną, równie jak z Pawłem biskupem.

Za przybyciem do Krakowa krzyżackiego poselstwa przyjmował je uroczyście w imieniu księcia pierwszy senator w kraju, Warsz, kasztelan krakowski. Wkrótce odwiedzili wysłańcy Pawła biskupa i złożyli w jego ręce własnoręcznie mistrza swojego listy. Dzień urodzin Gryfiny przeznaczono do stawienia krzyżaków na zamku. Tymczasem różne zaczęły się po mieście uwijać pogłoski, które, tak jak dość często i za dni naszych, najprzód mury klasztornego zamknięcia przebyły. Jedna z nich przeraziła mocno Jolantę. Mówiono albowiem, że Władysław, książę brzeski, sprowadziwszy do Kalisza jakiegoś guślarza w sukni pielgrzyma i kazawszy sobie otworzyć tru-

mnę Bolesława kaliskiego książęciem, różne zabobonne nad jego ciałem odprawiał modlitwy i że od tego czasu dostrzeżono widocznie, iż się począł parać guślarstwem, a cały był zajęty mniemaniami proroczwym i wieszczby, któremi go ów mniemany pielgrzym ujął i ułowił. Wieść ta prosto do swego celu trafiła. Pełna czystej pobożności, lecz łatwa do ułudzenia Jolanta, straciła na zawsze dobre mniemanie, jakie niegdyś o Władysławie powzięła, a za pierwszym widzeniem się z córkami nakazała im dziewięciodniowy post i modlitwy dla przywrócenia pokoju zwłokom Bolesława. Młoda, cnotliwa i lekko-wierna Jadwiga z nadzwyczajną boleścią dowiedziała się przyczyny tej troskliwości swej matki, a dzieląc jej smutek, podzieliła powzięte przez nią mniemanie.

Nadeszła chwila stawienia się posłów krzyżackich na dworze krakowskiej księżny. W dniu tym, za pozwoleniem Jolanty, zwolniono żałobę kaliskim księżniczkom, a Jadwiga z Elżbietą pierwszy raz na prośbę i nalegania Gryfyny pokazały się u dworu. Wynoszono i wychwalano piękność pierwszej; żywość i otwartość drugiej nie mniejsze znalazła zalety. Tak obok rozwiniętej róży, mile się wydają skromne i z niskiej trawy wyrastające bratki. Uprzedzona Gryfina o zamiarach Krzyżaków i sprzyjająca im potajemnie, starała się przysposobić umysł Jadwigi do nader ważnej, w jej mniemaniu, chwili sama zaś, otoczona licznym swym dworem, pośród którego kaliskie księżniczki najwięcej wzbudzały uwagi, i przybrana w najbogatsze stroje, wyszła dla przyjęcia poselstwa Krzyżaków z całą powagą lub raczej dumą jej rodowi właściwą.

Ludwik de Szippen był człowiekiem przebiegłego rozumu, ostrych obyczajów, lecz oraz rzadkiej uprzejmości w obcowaniu i zachowaniu się z ludźmi. Nie miał on w sobie tej cierpliwości, która była

główną zasadą charakteru Konrada de Tierberg. Dlatego był zdolniejszym nierównie do prowadzenia i przyprowadzania do skutku najtrudniejszych nawet zamiarów. Kilka dni pobytu w Krakowie oświeciło go zdołało z całą dokładnością o wszelkich zabiegach i knowaniach naczelników stronnictw i o tem, co każdego z nich ująć lub obrazić mogło. Umiał on pochlebiać zręcznie dumie Gryfyny; nie zrażał Czechów, którym najwidoczniej sprzyjała; podlegał niechęć tajemną kasztelana krakowskiego ku własnemu monarsze; wskazywał zdaleka nadzieję pomocy Konradowi, księciu mozowieckiemu, do osiągnięcia polskiego berła, łagodził bez obrazy zapędy Pawła biskupa, gotowego do gwałtowniejszych wybuchów. Ledwie się pokazał na dworze Gryfyny, zaraz ściągnął na siebie powszechną baczność, a księżna nie mogła się oderwać od ujmującej z nim rozmowy. Wtedy to Dytrych de Oldenburg uchwycił zręczną sposobność do mówienia z piękną Jadwigą, którą był poznał w czasie kaliskiego turnieju.

— Jeszczeście - to nie wykonali zakonnych służbów — rzekła do niego księżniczka, po kilku uprzejmym i nawzajem zamienionych wyrazach.

— Ważne powody — odpowiedział na to — wstrzymywały mnie od tego stanowczego kroku. Przed niedawnym czasem postradałem ojca i brata. Nieszczęście przodków dziedzictwo powinno przypaść na moją głowę. Przecież dotąd waham się z myślami, wiedziony i odwodzony w rozliczne strony.

— Prawdziwie szkoda — odezwała się Jadwiga — ażeby tak urodziwy i takimi zdolnościami obdarzony młodzieniec poświęcał się Zakonowi krzyżaków.

— Są nieopłacone korzyści życia zakonnego i rycerskiego — odrzekł jej Dytrych — których bez żalu wyrzec się nie zdołam; są wreszcie dla mnie obowiązki, zaciągnięte prawie od dzieciństwa dla krzy-

zackiego Zakonu. Lecz gdybym był szczęśliwszym w moich światowych stosunkach, chętniebym wszystko dla nich poświęcił.

— Nie musieliście chyba uczynić żadnego kroku do pozyskania tego, jak nazywacie, szczęścia — przemówiła z niewinną otwartością Jadwiga. — Ja wydać muszę sąd o was powszechny, że gdybyście tylko zapragnęli szczerze, a pewnie niejedna z córek waszych niemieckich książąt lub panów słuchałaby mile tego, co by jej w tej mierze oświadczył hrabia na Olsenburgu.

— Nie zawsze — rzekł z widoczną smętnością Dytrych — życzenia serca ludzkiego tam się składają, gdzie snadniejszy dla siebie przewidują skutek.

— Jeżeli wasze są w tym przypadku — odpowie Jadwiga — prawdziwie ubolewać muszę nad wami.

— Niestety — mówił dalej Dytrych — takie jest smutne położenie, w którym się znajduję, a tem smutniejsze, im łatwiej odgadnąć, z czyjej pochodzi przyczyny.

— Kto zna wasze stosunki — rzekła z obojętnością księżniczka, temu ta zagadka musi się zdawać nietrudną. Lecz tu na dworze krakowskiego księcia nikt o tem nie wie zapewne, co się dzieć może w Prusiech lub Niemczech.

— Od czasów kaliskiego turnieju — odpowiedział Dytrych — ciągle prawie wojennymi sprawami zajęci, nie widzieliśmy żadnej białej głowy, a ta, która była wtedy tak świetnej uroczystości królową, kazałaby zapomnieć o wszystkich, choćby te pomiędzy najpiękniejsze policzyć się mogły.

— Przywiedliście mi na pamięć ostatnie chwile szczęścia mojego — przemówiła ze łzami w oczach Jadwiga. — Odtąd kilka dni tylko cieszyliśmy się widokiem i posiadaniem najlepszego z ojców. Ten cios bolesny tkwić będzie na zawsze w mem sercu.

— Przebaczenie, piękna Jadwigo — odrzekł jej Dytrych — jeśli je rozranił bez chęci. Wyrzut ten tem boleśniejszym jest dla mnie, im bardziej pałam pełnem szczerości życzeniem widzieć was tyle szczęśliwą, ile jesteście wielbioną.

— Zaczny rycerzu — odezwie się na to Jadwiga — powiadają doświadczeni od nas ludzie, że szczęście śliską chodzi koleją; że ci, których z całą okazałością swych darów nawiedza, zbyt są blizkimi tem dolegliwszej niedoli. Co do mniemanych uwielbień, tych głos bywa najczęściej zwodniczy, a najprawdziwsze nawet z czasem i odmianą pomyślności mijają.

— Nie racz tak sądzić o naszych — rzecze jej Dytrych — te zawsze będą niezmiennie a pełne dla was tej czci i uprzejmości, których źródło jest w sercu.

— Nie rozumiem was wcale — odezwiała się Jadwiga — i coraz się bardziej przeświadczam, jak mało jestem oswojona z językiem i sposobem wynurzania swych myśli niemieckiego rycerstwa.

— Powiedz raczej — rzekł Dytrych — że nie chcesz mię rozumieć.

— Ja tego w żaden sposób uczynić nie zdołam — przerwała mu Jadwiga. — Wolałabym raczej wcale z wami nie mówić, niż dopuszczać, ażeby się obluda do naszych rozmów mieszała.

— Więc mi nic nie pozostaje — rzekł prawie z rozpaczą Dytrych; lecz właśnie w tej chwili Gryfina, która zdaleka uważała cały tok rozmowy jego z Jadwigą i nie bardzo z niej uradowaną była, skinęła na Dytrycha i przybliżonego ku sobie zapytała, jak mu się w stolicy polskiej podoba?

Te i tym podobne zapytania przerwały nieco rozlewającą się po jego twarzy tęsknotę.

Nareszcie rzekła mu zcicha Gryfina:

— Bądźcie dobrej myśli, rycerzu, nie trzeba tak snadno zrzekać się wszelkiej nadziei. Czego w chwili

obecnej dostąpić trudno, poruczyć to należy czasowi. Ile wasz Zakon naszym zamiarom, tyle ja będę waszym przychylna. Umysł tej młodej dziewczki snadno się dobrimi radami powodować dozwoli. Ale jeszcze nie przeminął czas żałoby po ojcu; wszelkie więc dalsze zachody byłyby próżnemi. Władysław, książę brzeski, jest tak waszym nieprzyjacielem, jak naszym. Może nadejdzie chwila, że tron ten narodowi waszemu przychylniejszy monarcha zasiędzie. Powtarzam przeto, że czas i cierpliwość wiele wam może przynieść dobrego.

— Zbyt jest ostre i cierpkie na dolegliwości nasze lekarstwo — rzekł Dytrych. — Lecz kiedy mądrość wasza, miłościwa księżno, innego na nie nie upatruje środka chociaż z boleścią, poddać mu się wypada. Cokolwiek ztąd jednak wyniknie, wdzięczność nasza waszej łaskawej przychylności wyrówna.

Opuścili wkrótce krzyżacy mury Krakowa, pełni nadziei, że jeśli nie ujrzą, podług życzeń Gryfiny, na tronie polskim czeskiego księcia, tedy przez podniecenie w panach polskich widocznej ku Leszkowi niechęci, a skłonności do mazowieckich książąt, ujrzą zniweczone dawne jego względem Władysława zamiary, a Polskę zawichrzoną domowemi rozterkami. Ten był ich cel jedyny, ażeby tym sposobem usunąć najgłówniejszą przeszkodę, jaką ich Zakon znajdował do wzmaganania się w znaczenie, bogactwa i siły.

Po ich odjeździe zamachy przeciwnych Leszkowi panów coraz groźniejszą przybierały postawę. Warsz, kasztelan krakowski, nie śmiejąc jeszcze jawnie przeciw panu swemu wystąpić, podbudził burzliwego i niepohamowanego w zapędach Krystyana, kasztelana sandomierskiego. Już on się nie wahał przyzywać otwarcie na księstwo Krakowskie i Sandomierskie Konrada, mazowieckiego księcia; nawet za zjawieniem się z jakimkolwiek wojskiem, przyrzekł

mu poddać będące w jego straży twierdze i zamki. Nie mógł się oprzeć Konrad ponęcie rozszerzenia swej władzy i przywłaszczenia swojej dzielnicy tytułu polskiego monarchy. Gryfina, która inny cel zakładała swoim zabiegom, że wstrętem zgłębiła tę przepaść, do której wyrzycia pod nogami własnego męża była tak silną pomocą. Chciała ona wydaniem i poświęceniem burzących się panów polskich wynagrodzić popelnione błędy. Ale obawa wyjawienia zmów jej z Czechami, których ci panowie dobrze byli świadomi, wstrzymywała jej zapędy. Nie ludziła już ona ani Leszka, ani narodu udaną brzemiennością przed niedawnemi czasy; wszystko jednak, co dotąd przedsięwziąć śmiała, utrudniało jej położenie i stosunki tak z mężem, jak i z narodem, bo tylko prosta droga cnoty prowadzi do sumiennego i dobrego pełnienia obowiązków każdego stanu.

W takiej postaci były sprawy państwa, gdy Władysław przybył do Krakowa z polecenia Leszka, brata swojego. Zadrżał on w sercu, dostrzegłszy wątek knujących się zamachów. Zgłębiwszy śliskość kroków Gryfiny; jawne i tajemne biskupa Pawła odgróźki; chwiejącą się wierność Warsza, najpierwszego senatora państwa, a posłyszawszy o buntowniczych Sandomierzanów wybuchach, począł o losie Leszka rozpaczać. Uwagi, które ośmielił się uczynić Gryfinie, bardziej jeszcze rozjątrzyły jej serce ku niemu. Nie było nikogo w stolicy, komuby się poufać odważył. Wszyscy wierni Leszkowi wyciągnęli z nim na lubelską wyprawę. Ci, co zostali, nie mieli już żadnej przychylności dla nieszczęsnego a dotąd bezwinnego monarchy. Sami tylko krakowscy mieszczanie, na których czele był dotąd Betmann, chociaż po większej części z obcych przybyli krajów, przez wdzięczność za nadania i swobody, które otrzymali od Leszka, strzegli mu statecznie poprzysiężonej

wierności, i to było jedyną Władysława pociechą. Nie mniejszych przykrości doznał on w osobistych stosunkach. Pobożna, lecz uprzedzona Jolanta, słuchać nawet o nim nie chciała, a natychmiast znaleźli się tacy, którzy mu przyczynę jej żalu i wstrętu do niego odkryli. Ten cios przeniknął głęboko czule i szlachetne Władysława serce. Nie dozwoliła mu widzenia kaliskich księżniczek Gryfina pod pozorem, że jeszcze nie wyszedł czas trzechletniej po śmierci ojca żaloby, przez który przyrzekły święcie swej matce, iż nikogo z obcych bez jej wiedzy widywać nie będą. Nadaremnie Władysław zbyt blizkie pokrewieństwo na swoją przytaczał obronę. Przezorna Gryfina czuwała nawet bacznie nad tem, ażeby kto nie uwiadomił Jadwigi o bytności brzeskiego księcia. Ledwie za pomocą jednego z krakowskich mieszczan znalazł sposobność przesłaniania jej potajemnie następujących wyrazów:

„Nie wierzaj głosom potwarzy, szlachetna i piękna Jadwigo. Władysław wielbi cię zawdy i całą swą ufność w Bogu a cnocie twojej pokłada.“

Posłyszawszy nakoniec, że wojska mazowieckie go księcia już w Sandonierskie wtargnęły i dwa pograniczne zajęły zamki, powziąwszy oraz jak najdokładniejsze wiadomości o całej obszerności knowanych przeciw bratu zamachów, udał się spiesźnie do Leszka i w drodze nieraz musiał unikać snujących się wszędy Mazurów. Zastał on brata swojego i monarchę w ziemi Łukowskiej nazajutrz po sławnem zwycięstwie, które nad Litwą i jej księciem Witenesem pod Równem otrzymał. Dzień ten okrył sławą polskie zastępy. Co tylko z łupów i niewolników zagarnęła w nowej napaści Litwa, wszystko to odbite i odzyskane zostało. A trupy nieprzyjaciół, dotąd po lasach i polach leżące, o wielkości zadanej Litwie klęski świadczyły. Z jakąż boleścią słuchał

Leszek z ust brata wiernego opisu położenia nieszczęśliwej ojczyzny, z jakim wstrętem wydał natychmiast rozkazy, ażeby zaprzestano ścigać niedobitki litewskie, a obrócono ku własnym krajom i stolicy państwa zwyciężkie proporce!

ROZDZIAŁ II.

Powrót Leszka do stolicy.

Pomimo tych myśli, któremi Leszek stan swój ośadzać się starał, coraz widoczniejsza ogarniała go tęsknota, im bardziej zbliżała się stanowcza chwila, mająca rozstrzygnąć walkę pomiędzy zbuntowanymi poddanymi a przyrodzonym panem. Podczas ciągnięcia wiernego Leszkowi rycerstwa z ziemi Łukowskiej ku stolicy różne a nieobojętne nadchodziły wieści. Wyprawieni naprzód Żegota Krakowski i Janusz Sandomierski, wojewodowie, ci, którzy najwięcej przyłożyli się do zwycięstwa pod Równem, ci, którzy swą wiarą i statecznością powinni byli stać się dla innych przykładem, zamiast utrzymania wzburzonej szlachty w powinnych karbach, zamiast przyniesienia rychłej pomocy nieszczęśliwemu Leszkowi, podbechtani od buntowniczych umysłów, a ujęci obietnicami łaski ze strony Konrada, księcia mazowieckiego, przerzucili się na jego stronę. Wiadomość ta była ciosem śmiertelnym dla Leszka. Jechał on właśnie zadumany nad losem państwa swojego, mając po prawej Władysława brata, a po lewej ręce Mikołaja Zarębę, gdy nadbiegł goniec z tą przerażającą nowiną.

— Więc i najlepsi przyjaciele nasi — rzekł do

nich—więc i ci, których niedawno dzielnego w bojach doświadczyłem ramienia, przeciwko nam, panu swojemu, powstałi? Niedość że było buntowniczej stronie na ścigającym mnie swą nienawiścią Pawle, na dumnym a słabym Warsz, na zapamiętałym Krystynie? trzebaż im jeszcze i tych przeciągnąć, w których wsparcie ufałem jedynie? Cóż pocznę ze słabemi siłami mojemu? Któż mi zaręczy za to nawet rycerstwo, którego pierwsze głowy przeniosły się do nieprzyjacznych obozów? Z kimże pójdę poskromić tę potworną wewnętrzną niezgodę, która stokroć straszliwsza od dzikiego pogaństwa, szarpie skrwawionemi rękoma drogiej naszej ojczyzny wnętrzności?

— Ach, luby bracie! — odpowie na to Władysław. — Bóg i dobra sprawa niech będzie waszą otuchą. Im bardziej wzmaga się nieszczęście, tem mężniej stawiać mu trzeba pogodne czoło. Są jeszcze pośród twego rycerstwa niezachwianej wierności męże, są tacy, którzy z radością krew swoją za sprawę waszą przeleją.

— Dobrze — rzecze mu z głębokim westchnieniem Leszek — lecz na kogóż ci wierni i cnotliwi mężowie oręż swój podniosą? czyż krew przeleją lub od czyich ciosów przywaleni, upadną? Przebóg! nie na Tatary, ani na Litwę, ale na własnych braci uderzą! Oszczędzała nam dotąd tak bolesnej potrzeby Opatrzność. Trzecią już wojnę zakończyliśmy szczęśliwie przeciw nieprzyjaczemu imieniowi polskiemu pogaństwu. Ta czwarta, choćby najpomyślniej dla nas wypadła, będzie zawsze z obu stron najokropniejszą klęską.

— Bóg jeden — odezwał się Zaręba — rozrządza sercami. On, miłościwy książę, zsyła pomyślności i klęski. Jeżeli, jak światu całemu wiadomo, nie macie żadnego ciężącego sumienie wasze wyrzutu, jeżeliście dopełniali tak jak przystoi obowiązków monar-

chy i pana, któż temu winien, że niegodni imienia polaka wicherzyciele przywodzą was aż do tej ostateczności?

— Bóg jest nam świadkiem — odpowiedział Leszek — że się do żadnej nie poczuwamy winy. Wszelkiegośmy dokładali starania, aby poddani nasi mieli w nas ojca, nie pana. Ale na próżno. Odwróciły się ich myśli i serca gdzieindziej, a nasz tak blizki pokrewny, Konrad książę mazowiecki, z którym nas dotąd szczerza łączyła przychylność, Konrad, z jednego szerepu pochodzący książę...

— Nie winuj go, miłościwy panie — przerwał Leszkowi Władysław. — Konrad ma serce szlachetne i umysł od wszelkiego złego daleki. Ale krzywych rad podniety, ale naglące namowy, zwalczyć mogły jego niedosyć mocną przeciw takim pokusom duszę.

— Dałby Bóg — odrzekł mu Leszek — aby to było prawdą. Jeśli się jednak przeświadczymy inaczej, a szczęście nam posłuży, pożałuje on tak ślizkich i niebezpiecznych zamiarów. Zważcie atoli, jakie burze przeciw nam powstają. Już całe Sandomierskie za przewodem Janusza i Krystyna przyjęło księcia mazowieckiego za pana. Wszystkie zamki w Krakowskim ludem jego osadzone zostały. Ostrzegają mię nawet, że to Lubelskie, potrzykroć oswobodzone naszym ramieniem od spustoszeń Tatarów i Litwy, karmi w swem łonie nienawistnych mi przeciwników. Z całego przodków dziedzictwa jeden nam pozostał Kraków. Tam spieszy ze swymi stronnikami Konrad i pewnie nas o dni kilka ubieży. Tam się znajduje moja małżonka wraz z poruczonemi jej straży córkami Bolesława. Jeśli w stolicy państwa Konrad zostanie obwołany krakowskim i sandomierskim księciem, jeśli mu Kraków bądź dobrowolnie, bądź z mu-

su bramy swoje otworzy, wtedy Leszek, wasz dotąd monarcha, a świeży całej litewskiej potęgi zwycięzca, Leszek, który dotąd nikomu, nawet samym wicherzycielom, nic złego nie zdziałał, zostanie z księżcia i pana tułaczem.

— W tem ci to, coście rzekli na końcu, miłościwy panie — odezwał się Władysław — tkwi źródło i przyczyna waszego nieszczęścia. Komu Bóg powierzył berło i miecz sprawiedliwości, ten tylko może być dobrym dla dobrych, a dla złych i wicherzycieli ostrym i nieubłagany stać się powinien.

— Tak mówią ci — odrzekł Leszek — którzy nie doświadczyli jeszcze całego brzemienia najwyższej władzy. Lecz wracając myśli do obecnego położenia naszego, jakkolwiek takowe rozdziera me serce, przecież się nie poddamy rozpacz. Przewidując zdaleka możność dzisiejszych wypadków, zamówiliśmy dla siebie pomoc od Władysława IV, węgierskiego króla a powinowatego naszego. Wyprawiony do niego z Lublina goniec znajdzie go zapewne ku wsparciu naszemu gotowym. Dłatego, lękając się po drodze coraz trudniejszych do pokonania przeszkód, prawym brzegiem Wisły ku stolicy pociągniemy. To nas zbliży do spodziewanych posiłków. Ale droga nasza małżonka, ale stolica państwa...

— Nie lękajcie się o nie — przerwał Władysław. — Poznałem ja skłonność ku waszym rządóm mieszczan krakowskich, zgłębiłem umysł otwarty i rzetelny ich zacnego, chociaż niekiedy śmiesznego wójta, Betmanna. On mi zaprzysiągł, że w najgorszym wypadku bronić będzie zamku krakowskiego do zgonu. Tym sposobem, jeżeli nie przybędzie na czas dla dania odsieczy miastu, twierdza, mogąca wytrzymać trzymiesięczne oblężenie i wiernym osadzoną ludem, długo jeszcze pozostać może w całości.

Tymczasem, zaufani w Boga, spieszymy tam, gdzie nas wzywa gwałtowna potrzeba.

Te słowa uspokoiły nieco stroskany umysł Leszka. Nietylko dla jego pociechy wyrzekł je Władysław w tej chwili. Chciał on przez to niejako utwierdzić się sam w mniemaniu, wpajając je w brata, że zamek krakowski, zawierający w swych murach, co tylko najdroższego było dla jego serca, uważać można za niepokonaną warownię.

Po odjeździe Władysława do obozu Leszka rozjątrzone przeciw temu ostatniemu umysły wybuchły w otwartym buncie, uwolnione od wszelkiej ku temu przeszkody i tamy. Za namową Pawła biskupa zwołał do Proszowic Warsz, kasztelan krakowski, wszystką obecną w tem województwie szlachtę, pod pozorem opatrzenia powszechnego bezpieczeństwa dla toczącej się z Litwinami wojny, wistocie zaś końcem odjęcia władzy i berła Leszkowi. Rychniej jeszcze podobny zjazd sandomierskiej szlachty zebrał się w Sandomierzu pod przewodnictwem Krystyna. Konrad, książę mazowiecki, nie miał z początku ochoty do wspierania tych zamachów przeciw tak bizkiemu krewnemu, jakim był względem niego Leszek. Pan ten spokojnego umysłu i szlachetnego serca długo się wahał w przedsięwzięciu stanowczego kroku, aż nakoniec niepewność jego zwyciężoną została naleganiem Krystyna. Burzliwy ten i niespokojny senator wywodził bliższość praw Konrada do polskiej monarchii i nieprawość mianowania Leszka następcą Bolesława Wstydliwego, bez zgody wszystkich województw, które zostawały pod berłem krakowskich książąt, gdy na to sami tylko krakowianie przystali i gdy dziś, żałując tego kroku, postanowili odmienić mniej zdolnego do przewag rządu pana. Dał się uwieść prośbom i namowom Konrad i przyrzekł stawić się na zjazd sandomierski z woj-

skiem, gotowem ku poparciu wszelkich ułożyć się mających kroków. Tam wypowiedziano uroczyste posłuszeństwo Leszkowi, a Konrad książęciem sandomierskim obwołany został. Ruszyli niebawem wraz z nowym panem rokoszanie, a gdy się ku Proszowicom zbliżyli, wysłani naprzeciw mazowieckiemu książęciu ze szlachty krakowskiej posłowie powitali go na mocy uchwały zjazdowej swoim książęciem i polskim monarchą.

Już tylko jedna stolica czyniła wątpliwem wybranie Konrada. Przeniósł się w jej mury Paweł biskup, lecz większego niż się mógł spodziewać doznał oporu. Pod jego niebytność, przeczuwszy dobrze, o co chodziło, Gryfina zgromadziła na zamku krakowskim przedniejszych mieszczan stolicy. Wystawiwszy im oczy w krótkiej a zwięzłej przemowie, ilé łask i przywilejów od Leszka zyskali, żywymi farbami określiła ważność obecnej chwili. Oto dwa województwa przeciwko przyrodzonemu panu powstały. Gdy on cały się poświęcił obronie zagrożonych od litewskiej potęgi krajów, gdy nowem zwycięstwem pod Równem nowego do powszechnej wdzięczności nabył prawa, wtedy, niepomni swych powinności i przysięg poddani, sztandar buntu podnoszą.

— Wiem ja — dodała — że mężny pan wasz a mój małżonek nie zaniedba sposobnej do pomśzczenia się tych zniewag chwili i że już z dziel-nem wojskiem ku stolicy nadciąga. Lecz nim skutek jego usiłowania uwieńczy, my powinniśmy to miasto w całości od buntu i od broni przeciwników zachować. Jeżeli wraz z nami podzielić zechcecie trudy i niebezpieczeństwa obrony stolicy i zamku, czeka was świetna nagroda i droższe nad wszystko uczucie zachowanej w trudnych czasach wierności. Jeżeli zaś umysł wasz tchnie zdradą...

— Nie sądź nas z taką krzywdą, miłościwa pa-

ni—przerwie jej stary Betmann, wójt krakowski—wier-ni jesteśmy panu naszemu i tę cnotę chcemy krwią naszą przypieczętować. Nie troszcz się, miłościwa księżno, o obronę twierdzy i miasta. To oboje na siebie bierzemy. Jeśli nas przemoc do opuszczenia domów naszych zniewoli, zawarci w tym zamku i w sposobniejszych ku obronie klasztorach, odeprzemy piersiami naszymi wszelkie zamachy i szturmy. Za trzymiesięczną całość tej twierdzy głowami naszymi ręczymy.

Po tem stanowczem oświadczeniu zaczęto się dzielnie do obrony miasta sposobić. Gryfina wszędy się pokazywała na koniu, wszędy zachęcała do wy-trwania w wierności Leszka. Paweł biskup widząc, że nic nie wskóra, oddalił się z miasta i uwiadomił rychło Konrada o tem, co się działo w Krakowie. W niedługim czasie nadciągnęło mazowieckie wojsko, wsparte rokoszan hufcami. Już się wtedy pomiędzy niemi znajdowali wojewodowie krakowski i sando-mierski. Ci dwaj panowie, wróciwszy świeżo z pogromu litewskiej siły, przybywszy pomiędzy zbunto-waną szlachtę, bardziej porywającym buntu potokiem niż skłonnością serc swoich do uczestnictwa działań Konrada zniewoleni zostali. Wszakże ten książę, widząc zawarte bramy stolicy i lud rozstawiony po murach w gotowości do walki, już się chciał cofnąć i wyrzec nienawistnego sobie zamiaru, lecz stał obok niego Krystyn. Ten mu dodał otuchy i serca i wkrót-ce szturm do miasta poczęto. Cały dzień prawie z wątpliwym skutkiem walczone. Poznawszy atoli wyższość sił przeciwników mieszczenie i widząc, że z garstką uzbrojonego ludu rozległych murów stolicy ocalić nie zdołają, cofnęli się w nocy do zamku, osadziwszy wprzód dostatecznym żołnierzem dom Bet-manna, Gródkiem, czyli małym zamkiem nazwany, równie jak kościoły świętego Jędrzeja i Franciszka,

które strzegły przystępu do zamku. Nazajutrz z wielkiem podziwieniem ujrzał Konrad opuszczone miasto i natychmiast zająć je rozkazał. Rozumiano, że to był skutek trwogi lub blizkiej podległości oznaka. Lecz za zbliżeniem się wojsk mazowieckich ku obwarowanym miejscom, chmury strzał i włóczni, wypuszczonych ku następującym wojskom, o błędności powszechnego mniemania stronników Konrada ostrzegły. Złe się powiodły szturm do obydwóch niedawno wspomnianych kościołów. Obleżenie i zdobycie zamku trudniejszym się jeszcze zdawało. Udano się do innego sposobu. Wysłańcy Konrada do twierdzy i miejsc warownych wszędy jedną odpowiedź, wszędy gotowość do najzaciętszej obrony znaleźli. Duszą tych działań była Gryfina, a Betmann niezachwianem ramieniem.

W dniu trzecim od zajęcia miasta wysłał do wójta krakowskiego swego komornika Konrad, przyrzekając wielkie łaski i dobrodziejstwa, jeżeli podda zamek, a grożąc obróceniem miasta w perzynę, jeśli się dłużej bronić i opierać będzie. Przekładał narzeczcie, że gdy cały kraj uznał księcia mazowieckiego za pana, nie przystoi jednemu miastu płochym a bezsilnym uporem ścigać na tak znakomite tyłu zacnych mieszkańców siedlisko wszystkie klęski domowej wojny i okropnego zniszczenia.

— Domy nasze—odpowiedział Betmann z powagą—są w rękach mazowieckiego księcia, ale umysły i serca do Leszka należą. Nie wiązaliśmy się do żadnych rad i buntów przeciwko księciu swojemu i wiązać się nigdy nie będziemy. Niechaj panowie polscy wiedzą, co czynią, a pomań na to, co by istotnie czynić powinni. My raczej najmiłsze sobie rzeczy, a nawet i gardła nasze poświęcić, niżli zaprzysiężoną Leszkowi wiarę przelamać, stałe i niezmiennym umysłem postanowiliśmy.

Po tej odpowiedzi wznowiono szturm. Lecz gdy te nie lepiej się od pierwszych powiodły, zgubnie, nieszczęsna rada, za którą poszedł Konrad, kazała mu uzbroić w głównie i pochodnie ręce Polaków na podpalenie polskiej stolicy. W niedługim czasie okropny pożar zajął najznakomitsze ulice. Patrzyli z zamku obojętnem okiem mieszczanie krakowscy na zniszczenie swych domów i składów, a nieugiętego umysłu Gryfina, dając poklask ich wytrwałości i mężstwu, prowadziła wszędy z sobą młode kaliskie księżniczki, ucząc ich znoszenia z odwagą srogich klęsk domowej wojny, w którą wtrącało nieszczęsną Polskę i położenie kraju i mnóstwo przeciwnych jego spokojności a nieuchronnych stosunków. Widok okropnego pożaru stolicy przeraził mocno serce czulej i cnotliwej Jadwigi. Złorzeczyła ona nieszczęsnym skutkom wzburzonych namiętności, które takiego zniszczenia ojczyzny okrutną były przyczyną.

Tymczasem nadeszła wiadomość, że Leszek z udzielonemi od Władysława, króla węgierskiego, posiłkami zbliża się ku stolicy. Doradzano Konradowi zapobiedz mu drogę i przez cios stanowczy losy państwa rozstrzygnąć. Stoczono bitwę pod Boguciami nad rzeką Rabą. Zwycięstwo przechyliło się na stronę Leszka. Wciągnięty do tej walki pomimo chęci Konrad, rzekł się bez namysłu wszelkich zamiarów i śpiesznie do Mazowsza odciągnął. Pobrani w niewolę najpierwsi buntów dowódcy znaleźli w Leszku wspaniałomyślnego zwycięzcę, upokorzona ich duma łaską odebrała za karę. Z żywym uczuciem niewysłowionej wdzięczności uściskał Leszek na zamku krakowskim Gryfinę i dzielnego a wiernego Betmanna. Pamiątkę wytrwałości mieszczan krakowskich liczne utwierdziły nadania. Z rozdartem sercem poglądał książę na zniszczoną pożarem stolicę

nie przez barbarzyńców lub nieprzyjaciół kraju, lecz przez własnych rodaków. Przebaczył on zbuntowanemu poddanym, ale Konradowi księżciu mazowieckiemu do zgonu przebaczyć nie zdołał.

Jakież było położenie Władysława, gdy wraz ze zwyciężkim bratem wjechał na krakowski zamek, ujrzał piękną Jadwigę obok nienawistnej sobie Gryfiny? Wyczytawszy z pierwszego wejrzenia widoczną obojętność dla siebie, nie śmiał on zrazu zbliżyć się do niej i jakby był winnym istotnie, nie mógł się odważyć na przemówienie jednego nawet wyrazu. Długo patrzyła na niego nie bez żadnego wzruszenia Jadwiga. Znała mu były te, którymi go czerniono, potwarze, nie obca przebiegłość Gryfiny, pod której kierunkiem i wpływem od lat trzech zostawały kaliskie księżniczki. A chociaż księżę krakowski sprzyjał z serca lubemu sobie bratu, przez zwykłą atoli uległość dla żony, która w świeżych zdarzeniach tak wiele przyłożyła się do ocalenia krakowskiego zamku, nie śmiał mu być pomocnym w jawnych już i nietajnych nikomu zamiarach. Więcej Władysław znalazł przeszkód z tej strony, z której się ich najmniej spodziewał. Pokonawszy nareszcie swoje wahania i trwogę, zbliżył się ku Jadwidze i rzekł do niej w te słowa:

— Jakże nam miło, nadobna księżniczko, po tylu okropnych leciach widzieć was w tych miejscach, a widzieć przybraną w nowe powaby i wdzięki, które czas ten tak obficie pomnożył.

— Dlaczegoż tenże sam czas zmienił tak wiele rzeczy i ludzi? — odpowiedziała z niezwykłą obojętnością Jadwiga.

— Zmiana rzeczy — odezwał się Władysław — jest w kolei przeznaczeń świata. Lecz ludzie mogą się jej oprzeć skutecznie, zwłaszcza w uczuciach i w postanowieniach umysłu.

— A przecież tego do wszystkiek zastosować nie można — przerwała żywo Jadwiga.

— Niepodobna być nam rękojmią za innych — odpowiedział Władysław — lecz o sobie ze śmiałością sumieniem powiemy, że ten sam Władysław, któregoście znali na zamku kaliskim; ten sam, który umiał pozyskać ufność godnego czci najwyższej ojca waszego i twoje, piękna Jadwigo, względy, ten sam sława dziś przed waszem obliczem i gotów jest odwołać się do świadectwa Tego, który przenika najskrytsze serc ludzkich tajniki.

— Nam zaś trudno jest i prawie niepodobna wywzajemnić się podobnem dla was uczuciem — przemówiła ze smutkiem Jadwiga. — Przedtem miło nam było widzieć was po chwilach nieobecności, jak na przykład, gdyście z pod Gdańska do Kalisza przybyli, Teraz zaś, teraz...

— Dokończ — rzecze żywo Władysław. Choćby twe słowa były ciosem śmiertelnym dla serca mojego, snadniej mi przyjdzie wszystkie ztąd pochodzące męki wycierpieć, gdy je z ust twych usłyszę.

— Ach, Władysławie — odpowie na to Jadwiga — matka nasza karmi do was nieubłaganą żalostí. Już ona nie może słyszeć o was bez wstrętu, a tutejsza księżna... ach, nie śmiem nawet powiedzieć, widząc jej baczne oczy zwrócone w tej chwili na siebie. O! ile od lat kilku wycierpieć musiałam od ludzi, których zdania o waszych postępach i czuciach tak były sprzeczne z moimi — bo jeśli jest prawdą, co powiadają....

— Kto może wzbronić — odezwał się Władysław — kto jest tak szczęśliwym nareszcie, ażeby uniknął ciosów złośliwej potwarzy? Wiem ja oddawna, jakim czuciem technie dla mnie tutejsza, jak ją nazywacie, księżna. Jej mniemania i sądy mało obchodzą czyste moje sumienie; bo gdyby zli ludzie do-

brze o pocziwych trzymali, byłoby to dla nich najdolegliwszem nieszczęściem. Ale przeciwne mniemanie matki waszej, Jolanty, serce moje boleścią przenika. Nie tajne są nam pozorne może tego mniemania pobudki. Czas ich plonność i fałszywość wyświeśla. Dowiedz się bowiem, że człowiek, który wraz zenną grób ojca waszego nawiedzał, był ten sam, co niegdyś...

Dawno już Gryfina chciała przerwać rozmowę Władysława z Jadwigą. W tej chwili, zbliżywszy się do brzeskiego księcia, dziękowała mu w uprzejmych wyrazach za pomoc udzieloną jej małżonkowi w ostatnich zdarzeniach i krajowych potrzebach.

Wypytywała go ciekawie o szczegóły niektóre mniej świadomych wypadków, a kazawszy skinieniem ręki oddalić się kaliskim księżniczkom i swojemu dworowi, zaprosiła Władysława wraz z Leszkiem do swojej komnaty, gdzie długo na osobności rozmawiali o ludziach i wydarzeniach, które już są czytelnikom naszym z poprzednich opisów wiadome.

Kilka dni spędził Władysław na zamku krakowskim, lecz nigdy nie był tak szczęśliwym, ażeby mógł na osobności pomówić otwarcie z Jadwigą. Wszelkie jego, jakich używał, starania o wywiedzenie z błędu pobożnej Jolanty, żadnego nie przyniosły skutku. Przezorna Gryfina wszędy mu była niepokonaną przeszkodą, oddalając jak najtroskliwiej tych wszystkich od matki i od córek, którzy tylko Władysławowi sprzyjali. Nakoniec gwałtowna potrzeba obrony własnej dzielnicy przeciw nowym a niespodzianym ciocom przymusiła go do rychłego z Krakowa odjazdu. Albowiem księżę mazowiecki Konrad, powracając z bezskutecznej na księstwo Krakowskie i Sandomierskie wyprawy, odnowił dawne roszczenia do Gostynina, który wraz z częścią Kujaw przypadł na Władysława i od lat wielu zostawał w jego dzierżeniu. Księżę ten, zawsze skłonny do usłucha-

nia złej rady, podstał zniemacka pod wzmiankowane dopiero miasto i obległ je z całą swą siłą, do której nawet przyłączyli się Litwini.

Obleżeni wysłali natychmiast do księcia swojego, wzywając jego rozkazów i osobistej pomocy.

ROZDZIAŁ III.

Władysław w obronie swych krajów.

Lotem strzały przebiegł Władysław Krakowskie i Sieradzkie księstwo i już się zbliżał ku murom Łęczycy, w której brat jego młodszy Kazimierz panował, gdy głos mu nieznany spieszącego naprzeciw rycerza wstrzymał go smutnej treści poselstwem:

— Za późno przybywasz, miłościwy księżu, za późno!

— Jakto? — zawoła Władysław — tak silna i dobrze opatrzona twierdza, jaką jest zamek gostyński...

— Przeszła przed dwoma dniami w ręce mazowieckiego księcia — odpowiedział mu rycerz.

— Więc mój dzielny starosta Pakosław, ten, na którego wierności i mężstwie śmiało mogłem polegać... — rzecze z żalem Władysław.

— Póki żył mąż zacny i dzielny — odrzecz na to rycerz — mogłeś się, miłościwe księżu, panem Gostynina nazywać, a w kilka godzin po jego zgonie Konrad opanował wasz zamek. Ale nie siła lub mężstwo, lecz zdrada, a tem boleśniejsza, im mniej spodziewana, pozbawiła was, księżu, tej twierdzy. Któżby mógł był przewidzieć, że rodak i tak blizki krewny bez żadnej przyczyny targnie się na wasze dzierżawy?

Przecież tak się stało wistocie. Przepuszczono przez księstwo Mazowieckie litewskie wojsko, zjawilo się pod Gostyninem i znalazło bramy miasta i zamku zawarte, a załogę gotową do silnej obrony. Wkrótce nadciągnął Konrad, powracający z krakowskiej wyprawy. Mniemano, że sama jego obecność odstręczy od wszelkich nieprzyjacielskich kroków Litwinów, którzy, według wszelkiego podobieństwa, przybyli do wspierania Konrada w dalszych jego zamiarach. Oblężone miasto nie wiedziało bynajmniej, kogo uważać za przyjaciela, a kogo za wroga. Lecz książę mazowiecki karmił w swem sercu złą przeciw wam żądzę. Zmiarkowawszy jednak, że nic nie dokaże siłą, wysłał do Pakosława trzech zaufańców pod pozorem umówienia się o żywność dla swoich ludzi, którzy z Krakowskiego śpiesznym pochodem do Mazowsza wracali. Uwierzył jego słowu daleki od podejrzenia zdrady, której nie znał i którą się brzydził, starosta. A gdy ci zdrajcy, gościnnie na zamku przyjęci i opatrzeni we wszelkie, jakich żądać mogli, potrzeby, już mury twierdzy opuszczać mieli, zbliżył się w nocy Konrad z posiłkowym ludem Litwinów i za danym znakiem szturm przypuścił do zamku. Pakosław mniemając, że sami Litwini byli tej trwogi przyczyną, bronił dzielnie poruczonych swej wierności murów. Pewnieby ten zamach spełził bez żadnego skutku, gdyby jeden z trzech wpuszczonych wysłańców Konrada nie odjął życia mężnemu staroście. Pozbawiona dowódcy załoga słaby odpór dawała. Wtedy natarła Litwa z podwojonym zapałem i w jednej godzinie tak miało, jak i zamek opanowane zostały. Dwustu mężczyzn poległo pod zapamiętałym barbarzyńców orężem, którzy, nasyciwszy krwi i zniszczenia żądzę, puste prawie domy i mury zamkowe w dzierżenie Konrada oddali.

— O! przyplacisz drogo te krzywdy nicobra-

żony niczem przezemnie Konradzie! — zawołał z żalem i łzami Władysław. — Cóż ci zlego działo! wierni moi rycerze, którzy pod gruzami Gostynina polegli? O, nieszczęśliwy kraju, którym pomiatają krwawe domowe niesnaski, a w którym nie masz dość silnej dłoni do powściągnięcia wznieconych od wieku niesnasek! Powracaj, bracie, do domu — rzecze do rycerza, który mu tak bolesne zwiastował nowiny — pozdrów odemnie brata naszego, Kazimierza, którego nagłość potrzeby odwiedzić mi nawet zabrania — donieś mu oraz, że nim się książę powtórnie wypełni, cienie tych, którzy w Gostyninie polegli, pomszczone zostaną.

— Kto idzie? — zawołał stojący żołnierz na straży przedmostowej zamku brzeskiego, widząc trzech jeźdźców, zbliżających się ku murom w nocy, słabo już oświetlonej gasnącem światłem księżyca.

— Swój — odpowiedziano mu natychmiast.

— Co za swój? — zapytał powtórnie żołnierz.

— Przywołaj dowódcę straży, a ten się lepiej o tem przekona.

Na dźwięk trąby i dane hasło otworzyła się z łoskotem furtka zamkowej bramy i rycerz z dobytym orężem, przeszedłszy fosę po spuszczonej kładce, zbliżył się do trzech podróżnych, którzy z nim mówić pragnęli.

Jakież było jego zdziwienie, jaka radość, gdy ujrzał i poznał księżęcia swojego, Władysława, który ze Zdzisławem, wiernym odtąd towarzyszem wszystkich swych kroków i z jednym tylko kopijnikiem, przebiegłszy niemalą przestrzeń kraju, znalazł się na koniec pod murami rodzinnego zamku. Spadł natychmiast most zwodzony, otworzono silne wrzeciadze, któremi na noc brama zaryglowana była. Władysław wjechał krokiem powolnym do opuszczonego od tylu czasów zamku.

— Niechaj mi zbudzą starostę — odezwał się, zsiadając z konia — i niech całe nasze rycerstwo, będące na pogotowiu, w mury zamku zwołane zostanie.

Zamek brzeski, pierwiastkowe Władysława dziezictwo, nie był ani zbyt obszernym, ani też okazałym. Wzniesiony przez Kazimierza, księcia kujawskiego, ojca Władysława, w części z kamienia, a w części z drzewa, otoczony został dość silnym wałem i podwójną fosą. Trzy ośmioboczne wieże zasłaniały go od najsłabszej strony. Środkowa, przez którą wstępowano do samej warowni, prócz herbu księstwa, innej ozdoby nie miała. Wewnętrzna budowa z dwóch się części składała. W pierwszej schronienia dla straży i koni, tudzież składy broni i żywności, w drugiej zaś, nieco szczuplejszej, były mieszkania książęce, starosty i reszty dworu. Staraniem Władysława gmach ten stał się porządniejszym i obronniejszym, tak, iż w późniejszych czasach zdolnym był do odpierania szturmów krzyżackich. Miasto samo, dość ludne i zamieszkałe, liczyło najwięcej drewnianych budowli. Powstający w dzielnicy Władysława Włocławek z położenia swego nad Wisłą ściągał więcej w swe mury mieszkańców i gdyby przeznaczenia Władysława nie były powołały do wyższych zamiarów, pewnieby z czasem przeniósł tam dogodniejsze z wielu względów siedlisko.

W chwili, o której mówimy, zaledwie Władysław rzucił troskliwe oko na poruczone swym rządom miasto; zaledwie po długiej nieobecności wstąpił do rodzinnego grodu, ujrawszy około siebie kilkuset ludzi zebranych i uzbrojonych naprędce, opuścił niebawem zamek brzeski, ubolewając w duszy nad nieszczeńściem kraju i własnem, które go zmuszało w ustawicznych podróżach i wojnach targać siły młodości, mogącej być użytą do szlachetniejszych zamiarów. Ale krzywda, wyrządzona przez mazo-

wieckiego księcia, ciążyła mu na sercu kamieniem. Krew pobitych w obronie Gostynina rycerzy o rychłą pomstę wołała.

— Któż — rzecze do siebie — zechce się naszym usługom poświęcić? kto z mężnych wyciągnie przeciw nieprzyjaciółom pod naszym znakiem, jeśli ci, co dla nas gardła swe dali, będą spoczywali bez zemsty?

Takimi uczuciami wiedziony, zbliżył się wreszcie trzeciej nocy do Płocka, ciągnąc manowcami i mniej uczęszczanymi drogami, dla pokrycia swoich zamiarów i dla ubieżenia snadniejszego niespodziewających się żadnej z tej strony napaści Mazurów. Nie omyliła go nadzieja. Jakkolwiek zamek płocki dość silnym był i warownym z swojej posady; jakkolwiek Konrad, książę mazowiecki, utrzymywał w nim straż liczną i dobrze uzbrojoną, wszelako nie mogła się załoga długo opierać tak dla nagłości natarcia, jak i dla nocnej chwili, daleko sposobniejszej do wyrachowania ciosu niż do obrony niespodzianego napadu. Tym sposobem powetował Władysław swej krzywdy, nawet bez wielkiego krwi rozlewu. Zaledwie zbudzeni zostali ze snu żołnierze Konrada głosnemi hasły rozstawionej po murach straży, już Kujawianie wdarli się byli po drabinach do zamku. Od bicie bram i furtek, wpuszczenie do twierdzy reszty nacierających wraz z Władysławem, pochwytanie tych, którzy się chcieli chronić, było dziełem chwil kilku. Gdy już dzień poczęło, wszystko uległo Władysława potędze. Stawiony przed nim starosta grodowy otrzymał wolność natychmiast i pierwszy pośpieszył donieść swojemu panu o szlachetnej pomocy, jaką spełnił Władysław. Inni więźniowie zatrzymanii zostali w zakład za tych, których oręż litewski oszczędził z gostynińskiej załogi. Nie nadymała bynajmniej ta mała pomysłność serca brzeskiego ksią-

żęcia. Czuł on w niej nową ranę, którą zadać był przymuszony ciału nieszczęśliwej ojczyzny.

Wkrótce nadbiegł ze swem wojskiem Konrad. Lecz zamiast nowych ciosów wojny, za radą mazowieckich panów, poczęto rokowania i umowy. Przyjął Władysław zaproszenie Konrada, a dla okazania mu umysłu skłonnego do zgody i całej swojej ufności, z małym pocztem ludzi zbrojnych przybył pierwszy do jego namiotu. Tkliwym był widok dwu polskich książąt, szacujących się nawzajem, których wróg nienawistny ich ojczyźnie uzbroił przeciw sobie bez żadnej ważnej przyczyny. Z czułością, lecz nie obudzając drażliwości, wymawiał Władysław Konradowi tę smutną konieczność, do której przez niego zniewolonym został. Uznał się pokonanym mazowiecki książę szlachetnością postępów przeciwnika swojego i rzekł nareszcie:

— Nie winuj serca naszego, Władysławie, jest ono czyste w tej sprawie. Winuj raczej uległość złym radom, które nas do tego skłoniły, i zwróć twe oczy ku temu doradcy. On to wciągnął mnie do zerwania braterskiej zgody.

To mówiąc, wskazał na obecnego w swoim namiocie krzyżaka. Rzucił na niego okiem pogardy Władysław, a widząc nieznaną i obcą sobie postać krzyżowego rycerza, rzekł:

— Nie daj Boże, abyśmy kiedykolwiek wzięli pomstę za czyn ten niegodny chrześcijańskiego rycerza.

— Znajdziesz nas zawsze i na wszystko gotowych — odpowiedział krzyżak i oddalił się z namiotu.

— Zawsze ja was spotykam na drodze — rzekł z westchnieniem Władysław. — Może czas przyjdzie, że jedni drugim będziemy mogli ustawić.

Trzy dni trwały umowy o oddanie pobranych nawzajem zamków i więźniów, tudzież o wynagrodzenie krzywd, zdziałanych poddanym Władysława przy zdobyciu Gostynina. Tem snadniej ułożono wszystko, gdy ów wysłaniec krzyżacki po krótkiej z Władysławem, a wyżej przytoczonej rozmowie, opuścił obóz Konrada. Lecz zaledwie wzajemne przyrzeczenia spełnione zostały, okropne wieści o nowym napadzie Tatarów na Polskę trwogą i przerażeniem napełniły najodleglejsze jej zakątki.

Okrutny i nienasycony krwi ludzkiej Nogaj, wódz i tyran tej dzikiej hordy, tenże sam, który za Bolesława Wstydliwego we łzach i gruzach Polskę zanurzył, puścił następnie miecz swój na południowe krainy. Zalana część Węgier bez trudu podnieciła chuć jego do targnienia się na wschodnie cesarstwo. Nie wstrzymał go bystry Dunaj. Już nawet o mury Carogrodu odbijały się jęki dręczonego ludu od niszczącej hordy. Ale greccy hetmani przybyli dość rychło na ratunek świetnej i bogatej państwa wschodniego stolicy. Pobity Nogaj wrócił się znowu na Węgry, gdzie od pokonania dzielnego Beli zapuszczał bezkarnie srogie swoje zagony. Aliści skutek niezbędny krwawych i niszczących wojen, powietrze, rozpostarło nad Węgrami swe kłęski. Obawiając się okropnych jego skutków, powraca Nogaj znanymi sobie szlaki do Polski i wszystko ogniem a mieczem pustoszy. Nie dosyć na tem. Tatarowie kapczacy, inne tej dziczy pokolenie, wygnani doskwierającym głodem ze swych stepów, ruszyli pod wodzą Tulambuga, nakształt niszczącej wszystko szarańczy, udając się prosto ku zbożorodnej a otwartej dla siebie Polsce. Wierni ich sprzymierzeńcy, Rusini, a bliżsi Polscy sąsiedzi, jak zawdy, byli im przewodnikami. Tak gdy z jednej strony rozlał się nakształt lawy ognistej

Nogaj, z drugiej strony kapezacka horda, wpadłszy w Lubelskie, wszystko w swym pochodzie z ziemią zrównała. Oblęgli w krótkim czasie i pobrali Tatarzy zamki obronne. Sandomierz tylko i Łysogórski klasztor wstrzymywały ich oręż. Chronili się ze-wsząd do twierdz i zamków niezdolni ku dźwiganu broni ziemianie. Żony ich i dziatki żebrały litości, szukając wielkimi tłumami najłichszego nawet przytulku. Cały kraj wystawiał rozległą pustynię, nad którą się unosiły wrzaski krwi i łupów nienasyconych morderców albo okropne jęki rozpacz.

Na takie wieści rozbiegli się do swoich dzierżaw i zamków pojednani niedawno z sobą książęta. Władysław, wybraawszy z pomiędzy swego rycerstwa około dwóchset kopijników i zasłyszawszy, że już Tatarzy ocierają się o Kraków, postanowił śpieszyć na pomoc bratu swemu, Leszkowi, wiedziony bardzo szarpiącem jego serce przecuciem niż przyrodzoną mu roztropnością. Cóż mogła zdziałać tak mała garstka najmężniejszego nawet narodu przeciwko tłumom nieprzeliczonym dwóch hord tatarskich? Przecież, wezwawszy Boga na wsparcie, nie wahał się ani na chwilę w swych przedsięwzięciach i krokach.

Okropne było położenie Leszka, gdy go ze-wsząd tak przerażające zaskoczyły wieści. Nie wiedział on, z której strony zastawić się tak groźnej burzy. Od południa szedł Nogaj, a Tulambuga od wschodu. Zamek i miasto w obronnym znajdowały się stanie. Ale nieszczęśliwi mieszkańcy włości i pomniejszych miasteczek, cisnąc się hurmem do stolicy, w której szukali przytulku, wzniciłi nareszcie obawę głodu. Nadto, gdy ta klęska dotknęła Polskę w zimie, nie było podobieństwem nawet zebrania siły zbrojnej i stawienia czoła w polu, dla niepamiętnych oddawna mrozów i śniegów. Postanowiono bronić dzielnie murów stolicy. Lecz żeby ta przed czasem

od przesilonej nie upadła ludności, oddalono z boleścią najżywszą monarchy wszystkich starców, niewiasty i dzieci. Dla przykładu, mającego wielki wpływ na gminnych umysłach, skłoniono najprzód zakonnicę Świętego Franciszka do opuszczenia klasztoru i kościoła Świętego Jędrzeja. Wiadomo jest naszym czytelnikom, że pomiędzy niemi znajdowały się Kunegunda i Jolanta. Przystały one na wszystko i z poddaniem się woli Najwyższego postanowiły wraz z zakonnicami przenieść się do położonego nad Dunajcem pienińskiego zamku. Lecz cała stateczność i spokojność umysłu Jolanty nie mogła jej do tego powściągnąć, gdy się z córkami swemi żegnała. Opuściwszy te młode a dotąd niepostanowione księżniczki i poruczywszy je cudzym staraniom, pierwszy raz może wyrzucała sobie, że dla pobożności zaniechała obowiązków matki. Cieszyła ją Gryfina, przyrzekając, że się nie odłączy od tych drogich, jak twierdziła, sercu swojemu istot. Wkrótce religijne poświęcenie się wzięło górę nad uczuciem Jolanty. Pożegnała nareszcie i uściskała po raz ostatni swe córki z bohaterską stałością, poruczając ich losy nie ludzким staraniom, lecz Najwyższego opiece.

Niezdługo potem zmieniły się postanowienia Leszka i obietnice Gryfiny. Pierwsze natarcie tatarskiej dziczy na mury Krakowa zostało odparte szczęśliwie. Poległo niemało wodzów chciwej krwi hordy, a tłum wojska zaniechał oblężenia na chwilę, oczekując posiłków. Strwożony Leszek oziębłością umysłów polskiego rycerstwa i lękając się, aby w skutku powtórnego a silniejszego natarcia nie upadło miasto, przedsięwziął udać się z małżonką do Węgier dla zgromadzenia sposobniejszej do odporu siły. Myśl nieszczęśliwa, która nie tylko chybiła swego zamiaru, ale nawet okryła go wzgardą przed surowemi potomności oczyma. Zostawiony sobie samemu

Kraków, potrafił, jak się okaże, wstrzymać uzbrojone łukami i szablami pogaństwo; lecz kraj, pozbawiony obecności swojego pana, i nie mające wodza rycerstwo, nie zdołało skorzystać ze skutków tak dzielnego i szczęśliwego oporu. Trwoga ogarnęła umysły na samą wieść odjazdu Leszka. Rozdzierającym serca był widok kaliskich księżniczek, które wprzód matka, a dziś opuszczała Gryfina. Nie mogąc, a może nie chcąc uprowadzić ich z sobą, dla snadniejszego odbycia zamierzonej podróży, doradziła mężowi, ażeby te młode i niewinne istoty odesłać do Poznania pod tarczę najbliższego ich krewnego, Przemysława, nad którymi porucił mu opiekę ich ojciec ostatnią swą wolą. Dodano im straż z czterdziestu kopijników, a dzielny i szlachetny Zaręba, pomimo całą niechęć, jaką dla Przemysława oddychał; pomimo wstrętu, jaki czuł do obmierzłych mu murów Poznania, przez cześć dla zgasłego Bolesława, kaliskiego księcia, idąc za popędem serca swojego, podjął się przeprowadzić tajnymi ścieżkami i manowcami te nieszczęśliwe sieroty do miejsca przeznaczonego na ich przytułek. Zbyt trudne było do wykonania to przedsięwzięcie dla rozlanej naokoło Krakowa Tatarów hordy i dla przebiegających wszystkie okoliczne powiaty chciwych krwi i zdobyczy hufców.

— Zagnam was, szanowne mury—rzekła, oddalając się z zamku krakowskiego, Jadwiga. Nie doznałam pośród was pomyślności, szczęścia, ale dni moje upływały spokojnie. Z tej wyższyzny poglądając codzienie na wznoszące się do niebios i wiecznym śniegiem pokryte góry, podnosiłam myśl moją ku Twórcy wszech rzeczy i czułam bardziej niż kiedy, jak mało ma prawa do pysznienia się z mniemanych swych zalet człowiek. Ta Wisła, poważnie i łagodnie płynąca, nieraz mię rozrywała w tęsknych dumaniach, objając się o twarde skały Wawelu. Jej

upływające wody ku morzu uczyły mię, jak wszystko na tym świecie do morza wieczności upływa. Lecz ileż pociech w każdym strapieniu doznałam, uczęszczając do tej starożytnej a sięgającej pierwiastków chrześcijaństwa w Polsce świątyni! Jej powaga i wspańiałość, złączona z wymownem tyłu grobowców milczeniem, upajała mą duszę nieznaną dotąd słodyczą. Któż wie, co nas czeka w dalszej życia kolei? Osierocone przez ojca, opuszczone od matki, wypchnięte w kruchej łódce na rozbujale życia odmęty, gdzież znajdziemy nareszcie przytułek, gdzież tę, do której wzdycham jedynie, spokojność? Szczęśliwsza Hanno, tyś już stanęła u portu. Złożywszy twe malutkie rączyny i podniósłszy je ku Niebu, przestałaś żyć i kwitnąć. Zgasłaś przed czasem, jak rozwijająca się różyczka, podcięta kosą rolnika. Pochowałam cię, nieszczęsna siostró, pod temi zimnemi głazami, a tem nieszczęśliwsza od innych śmiertelnych, że nie mam już nikogo, coby mię do łona swego przytulił, niko go, kto by się nami na wzór ojca opiekować raczył. Pójdźmy, Elżbieto, pójdź za mną, jedyna już siostró moja, tam, gdzie nas przeznaczenie prowadzi. Ufajmy stale, że Bóg litościwy i dobry nie opuści na zawsze sierot.

Tak wynurzała swe uczucia przy odjeździe z Krakowa Jadwiga i żale nad zgonem Hanny, którą przed niedawnym czasem porwała z jej łona krótką a gwałtowną choroba. Nareszcie siadła na konia za pomocą Zaręby, mając przy sobie z jednej strony siostrę, a z drugiej drżącą od trwogi i zlorzeczącą swej doli ochmistrzynię.

ROZDZIAŁ IV.

TATARZY.

Im bardziej się zbliżał ku Krakowu Władysław, tem więcej spotykał ludu chroniącego się w lasy i odległe krainy przed srogim Tatarów napadem. Od niego dowiedział o tem, co dotąd zaszło pod murami stolicy; od niego powziął bolesną dla serca swego wiadomość, że brat jego, Leszek, opuścił poddanych w chwili, gdy jego obecność najpotrzebniejszą im była, to jest w chwili niebezpieczeństwa i trwogi. Lecz cała jego usilność wybadania uciekających o losie kaliskich księżniczek: czyli zostały w Krakowie, czyli i gdzie wywiezionemi były z murów zagrożonej stolicy, okazała się daremną. Już się znajdował o dwie mile od Skały, postanowiwszy niezmiennie nawet z niebezpieczeństwem życia przedrzeć się ku Krakowu, gdy spotkał kilku pokaleczonych i uchodzących w lasy wieśniaków. Ich postać i świeże rany kazały mu się domyślać, że z pośród Tatarów uchodzą, od nich więc spodziewał się dokładnego o położeniu rzeczy zasięgnąć języka.

— Postójcie na chwilę, dobrzy ludzie — zawołał — a powiedzcie nam, zkąd i gdzie tak śpiesznie dążycie?

— Zkąd — odpowiedział podsiwiaty i raniony wieśniak — łącno wam odgadnąć; a gdzie idziemy, o to moglibyśmy i was wzajemnie zapytać. W świat, w świat ruszamy, mili pankowie; utraciliśmy całą chudobę i cośmy najdroższego mieć mogli i wam raczej w świat, aniżeli naprzód, udać się radzimy.

— Nie do rady wezwaliśmy was, ojczy — rzecze na to Władysław — chcemy tylko od was zasięgnąć, co tam słyszać od miasta?

— Oj licha i bardzo licha, pankowie — odrzekł wieśniak — a jeśli wam rada nasza niebłoga, to i z wami tak będzie niezadługo. Nie chciał ci nas dziś słyszać ów cudny rycerz, co tam się przedzierał od Krakowa ku Szlązku, uprowadzając z dość sutym poczem jakieś białogłowy; za to teraz tarza się w leśniczym żołnierze musieli wyginać do nogi — a te niewiasty, wszystko to poszło, Boże odpuść, tym psom pogańskim na pastwę.

— Jakie niewiasty, ileż ich było? jakiego wieku i kształtu? — zapytał, jakby tajemnym przecuciem tknięty, Władysław.

— Hola, hola! — odpowiedział wieśniak — któż wam zdać sprawę wydola, kiedy tak ręczo i nagle pytacie. Ile ich było? dwie lub trzy podobno; jedna już starka i opętanie otyła, a dwie młodzieuchne, kieby lilije dziewczeczki.

— Dwie tylko — zawołał Władysław — nie byłoż pomiędzy niemi trzeciej dziewięcioletniej dzieciny?

— Nie — rzecze wieśniak — pono nie było; a wrzście, kto tam da pozór na wszystko w takim ścisku i tarapacie?

— To więc nie one — pomyślał Władysław. Lecz powtórnie, jakby obudzony nowym przecuciem, zawołał: — Ojczy, prowadźcie nas natychmiast do ciała owego zabitego, jak mówicie, rycerza; prowadźcie nas w tej chwili, a hojna was spotka nagroda.

— Idźcie sami — odpowiedział wieśniak — kiedyście tak ochotni; jesteście was nie skąpo, ale tam sto razy większa chmara Tatarów; idźcie, my już tam byli i o mało pouchodzili z duszyna.

— Ojcie, nie odmawiajcie nam tej przysługi — rzekł żywo Władysław. — Błagamy was na Boga. A jeśliście tak okrutni i twardzi, wiedźcie, że was do tego zniewolić zdołamy.

— Zniewolić? — odrzekł wieśniak — alboż my są poddani? Takci to zawdy nasi pankowie przewo-
dzą. Jestli pokój, to żeną a żeną biednego kmiecia do pracy, aż styra lata i kości; przyjdzieli trwoga, to pierwsi i chat, i roli, i kmiotka odbiegna. Alboż to inaczej poczęło to nasze krakowskie książe? Spro-
wadzali a sprowadzali, Bóg wie z jakich tam krajów Niemce i nawet jak słuch jest, sami się przestroili na niemca, a dzisiaj, kiedy przypieklę Tatary, to cóż im te przychodnie nadaly? Uchylili się gdzieś tam za góry do Węgier, wystawiwszy nas biedaków na sztych i zgubę. Nie, pankowie, choćbyśta nas obsypali złotem, już my tam naprzód nie wrócim. Pójdziwa gdzie oczy poniosą, bo świat przestronny, a my temu nie krzywi, że nas kmiotków mili panowie nie bronią.

— Pozwólta, kumie — rzekł najmłodszy z wieśniaków — wy sobie nie trwońta czasu, a my tych rycerzy doprowadzim, gdzie każą. Wybacźcie, miłościwi panowie, temu staruszkowi. Żal przez nich prawy, bo oni są bardzo ubodzy. Dziś nad świtanie-
m pochwycili im Tatarzy dwie cudne dziewczuchy, a samą tak umęczyli, że już była bez ducha, gdyśwa się z chat wynieśli. Oj, mają oni czego być żałośni, bo podobnych dziewczuszek nie tak łatwo uświadczy. No, miłościwi rycerze, weźta mię z sobą na koń, a my już z wami do ostatniego kęsa zostaniem. Niech się dzieje wola Boża; bądźcie zdrowi, tatulu.

— Ej, Grzesiu, Grzesiu — rzekł na to pierwszy wieśniak i wam się zachciało ścinać z Tatary. Ale kiedyśta tak uradzili, niechaj was Pan Bóg prowadzi.

— Nie miejta do nas żałości, kumotrze, idźcie

w swą drogę, a my za naszą pójdziemy. W prawo ku krzakom — zawołał na Władysława przemawiający wieśniak — my wam będziemy za przewodnika, bo tam-
tędy nie jest bezpiecznie.

Sprawiwszy swój hufiec Władysław, postępował za świadomym dróg i ścieżek wieśniakiem. Od niego się dowiedział niektórych szczegółów świeżo stoczonej z Tatarami utarczki, równie jak o tem, że owe porwane niewiasty uprowadzili prostą drogą ku Skale.

Weszli w las gęsty, znajdując po drodze pomięszane ciała Tatarów i pokonanych od ich oręża Polaków. Lecz żaden z poległych rodaków nie był znanym nikomu. Nareszcie wskazał wieśniak leżącego na ustroniu pod rozłożystym dębem tego, o którym była wzmianka, rycerza.

Ledwie rzucił na niego oko Władysław, zawołał:

— Wielki Boże — to jest niewątpliwie Mikołaj Zaręba. O nieszczęśliwy a dzielny rycerzu — rzekł, zsiadłszy z konia i ściskając jego już skostniałą prawicę — poległeś w samej sile młodości, poległeś w chwili, w której po twojem ramieniu najwięcej spodziewać się mogła ojczyzna! Ach, patrzcie, bracia, ile mąż ten odebrał ran i ciosów nim skonał! Trzy-
naście ich oko nasze dojrzało; trzynaście, a wszystkie z przodu! Jakkolwiek nieświadomi jesteśmy okoliczności i powodu tej walki, przecieź należy nam wziąć pomstę za krew szlachetną, którą tak obficie barbarzyńcy przeleli. Zostawmy te zwłoki na czas niedługi pod dachem rodzinnego nieba, a nim je ręka litościwa pogrzebie, śpieszmy do pomsty. Są niedaleko ztąd tego walecznego morderce. Nie zważajmy na liczbę, uderzmy śmiało w imię Boga naszego, a pewnie zwyciężymy lub zginiemy śmiercią równie chwalebna!

— Zgoda, zgoda — zawołali kujawscy rycerze.

— Wieśniaku — rzecze Władysław — prowadź nas natychmiast ku Skale.

Ruszyli bez zwłoki. Doskwierające zimno, wiatr silny wiejący od północy i wschodu, zaostrzał. Skrzepłe strumienie i wody dozwalały snadnego przejścia w najprostszym kierunku, błyskając gdzieniegdzie umieszczonymi od powiewu wiatrów kryształami. Skrzyiała pod końskimi kopyty hojnym śniegiem odziana ziemia; gałęzie drzew gęstych zginały się pod białym szronem, wystawiając oczom, olśnionym od blasku świecących się brylantów, widok równie okazały, jak smętny. Drętwiały od zimna ręce i nogi mniej skoro dążących, a mróz, wzmagający się co chwila, najmniejszy oddech żyjącego stworzenia w kłęby dymu zamieniał, okrywając białymi wiszory włosy i brody rycerzy. Już byli na wyjściu z gęstego lasu, już jednolitą barwą okryte pola i łąki przez rzadsze coraz drzewa przeglądać zaczęły, gdy z pomiędzy skał i krzaków zjawia się nagle dziwaczna postać człowieka, w którym Władysław z trudnością poznał znanego mu, tak jak i naszym czytelnikom, pielgrzyma. Zatrzymał on długie zakonne odzienie, lecz zamiast obszernego kapelusza, miał na głowie czapkę skórzaną, którą otaczała gruba mosiężna blacha. Zamiast tykwy, wisiała u boku szabla i pelen strzał kołczan; zamiast wyniosłej laski, niósł w ręku łuk potężny i dziryt dobrze uzbrojony żelazem.

— Tyżes to, mężu pobożny? — rzekł do niego Władysław — co tu robisz i z jakiego powodu uzbroiłeś twe ręce orężem?

— W chwilach powszechnej trwogi i jawnego niebezpieczeństwa — odpowiedział pielgrzym — kto tylko dźwignąć może oszczep lub jakie takie żelazo, powinien się uzbroić dla własnej i drugich obrony. Ale gdzież to śpieszycie, miłościwe książę?

— Ku Skale — odpowiedział Władysław — tam,

gdzie najwięcej Tatarów, tam, gdzie są ci barbarzyńcy, którzy naszego Zarębę zamordowali przed chwilą.

— Niech spoczywają w pokoju polegli — odrzekł pielgrzym — śnać tak Najwyższy rozrządził. Wam o żyjących trzeba mieć raczej staranie. Nie idźcie do Skały, abyście podobnego poległemu nie doświadczyli losu. Lecz udajcie się na prawo, do tej palącej się wioski. Tam jest mniej liczna chmara pogaństwa. Uderzcie tylko żwawo i śmiało, a starajcie się pochwycić żywcem młodego tatarskiego dowódcę w spiczastej czapie zielonego koloru. Ta zdobycz może wam posłużyć do odzyskania ważniejszej. Dalej do dzieła, bo chwila sposobna rychło przemija. Przed nocą możecie powrócić do tego lasu, a kto wie, czy wam znów rady nasze przydatnymi nie będą.

Poskoczył Władysław natychmiast ku ogarniętej od płomieni wiosce, a rozdzieliwszy swój hufiec na dwie części, sam z czołem rycerstwa prowadzony od usługiwego wieśniaka, wszedł w wąwóz głęboki, który go nie tylko przed oczyma Tatarów zasłonił, ale nawet doprowadził bez przeszkody do podwórza jednego tylko całego wśród gorejącej wioski dworku. Ujrawszy z za wyniosłego wiąza rozłożone licznie ognie, a przy nich spoczywających bezpiecznie Tatarów, baraniami okrytych futrami, widząc ich konie powiązane po parze i spokojnie ze spuszczonei łbami stojące, zawołał: — Dalej, bracia! — i w okamgnieniu na rozproszonych barbarzyńców uderzył. Powstał wrzask okropny dokoła, w tej chwili albowiem Zdzisław z drugą połową kujawskiego rycerstwa natarł od wioski. Spadały łby tatarskie, zmiotane od polskich szabli i krew niewiernych zewsząd płynęła potokiem. Wylatuje z opustoszałego dworu młody Tatar, wysmukłego wzrostu i rzadkiej urody, dopada stojącego w bliskości konia, woła głosem okropnym na swoich, aby się dzielnie bronili i w okamgnieniu na Władysława

uderza. Już się ścinać z sobą poczęli, już walka osobista przeciw silniejszemu z przyrodzenia nieprzyjacielowi wątpliwem czyniła zwycięstwo, gdy poskoczył Zdzisław z tyłu i uchwyciwszy Tatara silną ręką za szyję, zwałił go z konia pod siebie.

— Poddaj się — krzyknął Władysław, przykładając mu żelazo do piersi — każ twoim złożyć oręż, bo już miecz zemsty wisi nad ich karkami.

— Wydrzesz mi wprzód życie, nim mię do tej hańby zniewolisz! — odpowiedział leżący na ziemi Tatar.

— Rozbróćcie go natychmiast — zawołał Władysław na swoich — i skrępujcie mu ręce i nogi!

Powiązano bez zwłoki zostających przy życiu barbarzyńców, uwolniono z ich stryczków dwóch jeńców polskich, którzy wyznali, że byli z oddziału Zareby, że ten towarzyszył istotnie (na co struchlał Władysław) kalisłim książniczkom, dla przeprowadzenia ich z Krakowa przez Szląsk do Poznania, które wraz ze swoją ochmistrzynią po nieszczęśliwej walce dostały się w ręce Tatarów; że nakoniec młody dowódca pokonanego w tej chwili oddziału był Mirzą, synem Tulambuga, hana tatarskiego.

— Nędzniku — rzekł, poskoczywszy ku niemu Władysław — wyznaj natychmiast, gdzie są te niewiasty, które dziś rano w twoją się moc dostały?

— Gdzie są? — odpowiedział zuchwale — w niewoli i w takich rękach, z których jej sam zły duch wydrzeć nie zdoła; odesłałem je najpotężniejszemu hanowi, panu i ojcu naszemu.

— Twoja głowa — zawoła Władysław — za ich całość odpowie. Ale nie traćmy czasu. Ty nikczemny — rzecze do jednego ze znakomitszych jeńców tatarskich — jesteś mym więźniem, życie twoje i śmierć są w moim ręku. Daruję cię wolnością i obsypię zło-

tem, jeśli mię doprowadzisz do hana. Zdzisławie, śpiesz za mną. Ten niewolnik będzie naszym przewodcą. Rotmistrz, zdaję wam rządy naszej chorągwi. Weź z sobą tego młodego dowódcę Tatarów — a jeśli mię za dwie godziny nie ujrzysz, lub jeśli się jakiś husiec tatarski zbliży ku tobie, rozsiekaj go na sztuki i myśl o losie dzielnych kujawskich rycerzy.

— Cóż to chcesz przedsięwziąć, miłościwe książę? — rzekł przerażony rotmistrz.

— Nie pytaj o to — odpowiada Władysław. — Wykonaj tylko jak najściślej dane ci rozkazy.

W tej chwili Władysław ze Zdzisławem, mający pośród siebie tatarzyną, któremu dla bezpieczeństwa w tył ręce związane, puścił się drogą ku Skale, gdzie dziki i okrutny Tulambuga, han kopczačkih Tatarów, rozłożył się był obszernym taborem. Na widok dwóch polskich uzbrojonych rycerzy, zbliżających się w towarzystwie skrupowanego tataru, rozstępowały się straż barbarzyńskiej hordy, więcej z podziwienia niż przez wzgląd na głos swojego rodaka, który wołał z całej siły, że ich przed oblicze najpotężniejszego monarchy prowadzi. Tym sposobem przedarli się przez tłumy pogaństwa aż do miasteczka Skąły. Porozszarpywane domy dostarczyły obficie drzewa do ognisk palących się wokoło. Grzeli się przy nich i piekli rozmaite do jadła mięsiwa objuczeni zdobyczą i zgłodniali Tatarzy. Jęk powiązanych stryczkami więźniów, płacz i szlochanie spędzonych kobiet, mających pójść w najokropniejszą niewolę, rozlegał się po całym mieście. W obszernej stodole, z której dach zdjęto, a w której wielki rozłożono ogień, było schronienie i tron Tulambuga. Siedział na rozpostartym a sprabowanym kościelnym kobiercu. Zbryzgana krwią i splugawiona tłustością ława za stół mu służyła. Leżał przed nim kawał niedopieczony baraniego mięsa, które szarpał rękoma za pomocą bogatego puginału. Dzban wielki

gliniany, napelniony był kobylem mlekiem, w którym często gasił pragnienie. Trzech niewolników, odzianych baraniami kozuchy, słuchało jego skinień ze drżeniem, postać jego odpowiadała dzikości narodu, nad którym panował. Do wzrostu niskiego łączył niezmierną otyłość. Twarz okrągła i blada ledwie dozwalała widzieć małe jego, bure i głęboko zakłęsłe oczy. Bogatym futrem obłożona szata splugawiona była krwią i tłustością. Ruda a gęsta i nigdy może grzebieniem nie dotknięta broda, spadała mu do pasa. Jedna zielona i śpiczasta czapka wraz z kindziałem, wysadzonym drogiemi kamieniami, odróżniała go od innych.

— Cóż to jest? — krzyknął chrapliwym i przerażającym głosem, spostrzegłszy przed sobą Władysława ze Zdzisławem i z skrzepowanym Tatarem. — Psy niewierni! czego chcecie odemnie?

— Sprawiedliwości — odpowiedział śmiało Władysław.

— Spełni się ona natychmiast — zawołał han rozgniewany — gdy wasze lby nikczemne spadną z tych karków.

— Ach, nie czyni tego najpotężniejszy monarcho — zawołał, padając na ziemię przybyły wraz z Władysławem tatarzyn — bo droższe nierównie dla was, gwiazdo niebieska, życie, droższe od tysięcy takich niewiernych, odpowie za krew tych Lachów, których masz, światłości nieprzebrana, przed sobą.

— Cóż to ma znaczyć? — wrzasnął, trzęsąc się od gniewu Tulambuga. — Mów, odpowiadaj, prochu nikczemny.

— Syn twój mirza — rzecze spokojnie Władysław — jest w naszych rękach.

— Co! syn nasz mirza, syn najukochańszy — krzyknie han, porywając się oburacz za brodę. — Łżesz, psie niewierny, to być żadną miarą nie może!

— Za nic ważę wszelkie obelgi z ust twoich —

odpowie śmiało Władysław — lecz jeśli nam nie wierysz, pytaj podobnego tobie barbarzyńca.

— Na brodę wielkiego proroka — zawołał z wściekłością Tulambuga, topiąc swe roziskrzzone oczy we wskazanym przez Władysława Tatarze. — Mów, wyznaj podła i nikczemna istoto!

Ten, padłszy na ziemię powtórnie, i bijąc o nią czołem, wymówił nareszcie ze drżeniem: — Tak jest.

Na to słowo, targał włosy swej brody i pienił się od złości Tulambuga. Nakoniec rzekł do tarzającego się w prochu Tatara:

— Wstań natychmiast, nędzniku, i prowadź całe moje wojsko na odbicie tym psom ohydny najukochańszego syna naszego.

— Nie mogę — odpowiedział Tatar, nie podnosząc swego oblicza z ziemi — przysiągłem na świętą brodę proroka.

— Próżne i bezskuteczne byłyby wszelkie twoje zamachy — przerwał Władysław. — Dałem rozkaz mojemu rycerstwu, podług którego, jeżeli za dwie godziny nie wrócę, lub jeśli ujrzą jednego nawet z tej strony zbliżającego się bezemnie Tatara, syn twój Mirza rozsiekanym zostanie.

— Odnii przekłety! — krzyknął Tulambuga, zgrzytając zębami z wściekłości i gniewu. — Niewierny zuchwalcze, uwolnij mi syna, a dam ci w okupie trzy wozy srebra i złota.

— Zatrzymaj złupione ze świątyń naszych i domów niewinnych mieszkańców srebro i złoto — odrzekł Władysław — ażeby zbiór twoich nieprawości wraz z jękiem i łzami niewinnych ofiar pobudziło kiedyś do pomsty nad tobą sprawiedliwego Boga, a słuchaj raczej, jakiego dopominam się okupu. Masz w twoich piętach w tem miejscu nieszczęśliwych mych ziomeków i dzisiejszego poranku pochwyte niewiasty;

oddaj mi tych więźniów w zamianę, a syn twój niewinnie powróci do ciebie w całości.

— Zgoda — odpowiedział uradowany w sercu han tatarski. — Zabierz tych jeńców natychmiast, lecz któż mi za twoją wiarę zaręczy?

— Słowo nasze — rzecze na to Władysław.

— Któż ty jesteś, drobny rycerzu — zapytał z szyderstwem Tulambuga — że słowo twoje ma być tak wielkiej wagi i ceny?

— Jestem Władysław, książę brzeski kujawski, brat Leszka, polskiego monarchy — odpowiedział zadziwionemu hanowi — ale nie dosyć na tem. Prócz wypuszczenia jeńców, o których wspomniałem, wymagam nadto, ażebyś mi przysiągł, że do jutrzejszej nocy nie ruszysz z tych miejsc twej hordy.

— Zuchwały Lachu — odezwie się Tulambuga — gdybyś mi nie zadał najdotkliwszego ciosu przez porwanie najukochańszego mojego syna, dziwiłbym się twojej śmiałości i wzgardzie własnego żywota, ale uciekłeś się do mojej litości i wspaniałości; ta okoliczność silnie za tobą do naszego serca przemawia. Dowiedz się przeto, że natrafiłeś na wyższego i wspanialszego od siebie nieprzyjaciela. Weź z sobą więźniów wszystkich, których los wojny oddał w me ręce, uchodź z nimi bezpiecznie, bo Tulambuga nie ruszy się ztąd do jutrzejszej nocy i to ci na brodę Mahometa przysięga.

— A ja tobie — rzecze Władysław — przysięgam wzajemnie na Święte Imię Jezusa Chrystusa, że w zamianę za tych jeńców powrócę ci syna twojego mirzę. Ten zaś niewolnik, który tu przybył wraz ze mną, wolnym jest od chwili, w której te słowa wymawiam i ten dar lekki przydać mu jeszcze winienem, podług przyrzeczenia naszego.

To mówiąc, rzucił kiesz napelnioną złotem nie śmiejącemu dotąd powstać z ziemi Tatarzynowi.

Przyprowadzono przed oblicze hana z brudnego chlewa wszystkich więźniów. Dwóch tylko wieśniaków było pomiędzy niemi, których miano użyć za przewodników, wszystkich albowiem mężczyzn mordowali bez litości Tatarzy, zatrzymując jedynie młode dziewice i niewiasty. Lecz jakże mocno biło serce Władysława, gdy pomiędzy trzydziestoma niewolnicami, które miał odebrać w okupie za Mirzę, ujrzał Jadwigę i Elżbietę kaliskie księżniczki, i nawet ich letnią ochmistrzynię. Ta ostatnia, wzgardzona od Tatarów dla wieku, nie dała się nawet smaganiem i chłostą od swoich wychowanic oddzielić. Wstrzymał jednak i przytłumił wszelkie swoje wzruszenie z obawy, ażeby dziki Tulambuga, dowiedziawszy się o rodzie niewolnic, zdziałanej nie zerwał umowy.

— Zabierz sobie te nędznice — rzekł han prawie z szyderstwem — a wróć mi syna. Potrafimy dostać tysiące urodziwszych na ich miejsce. A wy, nikczemne, dziękujcie srogiemu losowi, który moje najukochańsze dziecko oddał w ręce tym psom niewiernym.

Nic na to nie odrzekł Władysław, skinął tylko na wybawione z więzów tatarskich niewiasty, aby się za nim udały. Szedł on wraz ze Zdzisławem piechotą przed niemi, oba w rękach prowadzili swe konie. Jednego z oswobodzonych wieśniaków wysłano naprzód, aby o tem, co się stało, uwiadomił rotmistrza kujawskiego rycerstwa. Dwunastu Tatarów wraz z tym, którego Władysław uwolnił, postępowało za nimi z daleka, dla przyjęcia i odprowadzenia do ojca, mającego odzyskać wolność swą mirzę.

— O nasz wybawco! — wołały głosem wzruszonym kaliskie księżniczki — jakimże cudem lub nadzwyczajnem zdarzeniem...

— Przyjdzie czas odkryć to — przerwał im mowę Władysław — teraz dziękować należy w cichości

serca Wszechmocnemu, że was z tak ohydneho wyzwolił jarzma, ale raczcie mi powiedzieć — rzekł do Jadwigi — gdzie jest malutka siostra wasza, Hanna?

— W niebie — odpowiedziała ze łzami w oczach Jadwiga.

— Przebaczcie mi to okrutne zapytanie — rzecze, głębokim smutkiem dotknięty Władysław. — Nie widząc jej z wami, odważyłem się na to, czego w tej chwili z serca żałuję.

Gdy już uszli dwoje staj od Skąły, Władysław ze Zdzisławem ofiarowali swe konie młodemu, znużonym trwogą i przejętym od zimna księżniczkom. W liczbie oswobodzonych branków znalazło się siedm dziewcząt szlacheckiego rodu, pochwyconych z okolic, jedenaście żon i córek mieszkańców Skąły, reszta zaś wieśniaczek, między którymi były dwie córki owego letniego kmiecia, z którym Władysław przed spotkaniem pielgrzyma i pokonaniem mirzy rozmawiał.

Zbliżyli się nareszcie do kujawskiego rycerstwa, które z wszelką przezornością rozstawione było pod lasem, mając pośród siebie skrępowanego mirze.

— Dopieśliśmy celu naszego — rzecze Władysław. — Mirzo, jesteś wolnym i możesz wrócić z twoimi do ojca. — Podziwienie i radość Tatarzyna były bez granic.

— Bóg niech przebywa z tobą! — przemówił do Władysława i puścił się lotem strzaly ku Skale.

Jestże jakie pióro zdolne do określenia tej radości polskich branków, gdy się ujrzały pomiędzy swoimi i gdy obecność żadnego Tatarzyna nie wstrzymywała uczuć długo tłumionych! Jedne całowały ręce i szaty Władysława; drugie, padłszy na kolana, wznosiły swe dłonie do niebios. Jadwiga z Elżbietą i ochmistrzynią płakały z radości, ściskając się nawzajem.

— Na później zostawmy — rzecze Władysław — wynurzenie tego, co nas przenika, teraz trzeba nam

korzystać z wolności działania i czasu. Wy, coście się porodziły w tych stronach, szukajcie sposobów, abyście znowu w moc Tatarów nie wpadły. Te dwie różne wieśniaczki zatrzymuję na usługi księżniczek. Dajcie im konie, abyśmy skorzej te miejsca opuścić zdołali. Wy także — rzekł do ochmistrzyni — przyjmijcie siedzenie na tym wygodnym stępaku.

Urządziwszy Władysław swój hufiec, dał znak do drogi i odtąd ani na krok nie odstępował księżniczek. Któż uczuć serca jego nie pojmuje, widząc go tak blisko ukochanej? Lecz żaden wyraz z ust jego tych uczuć nie zdradził. To wymowne i zrozumiane od Jadwigi milczenie trwało niedługo, bo gdy się zapuścili w las gęsty i gdy się zciemniać zaczęło, zjawił się znany nam pielgrzym, który, wystawiwszy niebezpieczeństwo nocnej przeprawy, zachęcił Władysława do zboczenia na lewo i przyjęcia na nocleg jaskini, położonej w bliskości Prądnika, ku której mu przeprowadzić go wraz z księżniczkami i przez noc umieścić z częścią rycerstwa wziął na siebie staranie. Przystał z ochotą Władysław, tembardziej, gdy spostrzegł, że młode i tylu przygodami znękanе księżniczki drzeć poczęły od zimna, które w tej ostrej porze roku wzmagało się, jak zwykle ku nocy.

ROZDZIAŁ V.

Pielgrzym.

Znane są zwiedzającym północne okolice Krakowa, podziemne jaskinie, położone w bliskości rzeki Prądnika. Od niepamiętnych czasów jedna z nich

nosiła imię Ciemnej, a druga, z powodu kryjówek Władysława Łokietka, Królewskiej przybrała nazwisko. Dziś obiedwie Ojcowskiemi mianują. Pierwszą, jako obszerniejszą i wygodniejszą, obrał był pielgrzym na przytułek dla Władysława, kaliskich księżniczek i części towarzyszącego im rycerstwa. Szalasy z gałęzi okryły przed zimnem konie i tych, którzy po kolei czuwać mieli przez noc nad bezpieczeństwem powszechnem, gdy pomimo zdziałanej z Tulambugą umowy, lękać się wypadało zdrady i niespodziewanego Tatarów napadu.

| Wniście do jaskini, zasłonięte od przystępniejszej strony krzakami i skałami, aczkolwiek szczupłe, było dosyć wygodnem. Za pomocą światła wprowadził do niej pielgrzym swych gości. W dwóch miejscach przy ścianie z litej skały rozpalono węgle, których niemałą ilość przygotowała staranna ręka pielgrzyma. Małe otwory, wykute w skale, wyprowadzały z jaskini dym, pochodzący z węgla, którymi dla utajenia lepszego tej podziemnej kryjówki ogrzewał się samotny mieszkaniec. Gdy się cokolwiek księżniczki ogrzały, oprowadzał je pielgrzym po całej jaskini. Ta w razie potrzeby do dwóchset osób pomieścić mogła. W głębi ujrzano blade światelko połyskującej lampy. Na zapytanie, coby to było, zaprowadził wszystkich przytomnych pielgrzym w to miejsce, gdzie znaleźli ołtarz wykuty w skale. Mensa, schody i dwa słupy były z kamienia. Krucyfiks zaś, w którego podstawie znajdowała się część krzyża, na którym skonał Zbawiciel, i dwa lichtarze były z drzewa i własnej pielgrzyma roboty. | Gorejąca tak we dnie, jak i w nocy lampa, utrzymywała ogień nieodbitnie potrzebny w tem podziemnem mieszkaniu. Zapalono świece i wszyscy przytomni, za wzorem pielgrzyma, ukorzyli się przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa, składając niebu dzięki za cudo-

wne ocalenie. Po dopełnieniu krótkiej a żarliwej modlitwy okazywał pielgrzym swoją sypialnię. Była to część jaskini nieco wynioślejsza i porządnie z trzech stron wykuta w skale. Wilgoć zwyczajna w lochach podziemnych nie miała tam przystępu. Posłanie z wrzosu i suchych liści, łosią skórą pokryte, służyć mogło dla kilku osób wygodnie.

— Miłościwe księżniczki—rzekł pielgrzym—nie gardźcie tem twardem łóżem podziemnego mieszkańca, pustelnicze prowadzącego życie. Po szczupłym posiłku będziecie tu mogły przez kilka godzin użyć wywczasu.

— Nie tak wygodny nocleg—rzekła ochmistryni, która ledwie teraz ochłonęła z przestachu—przygotowały nam w skale te ohydne i dzikie Tatary.

Skład żywności pielgrzyma, który w tej chwili okazywać począł, ściągnął powszechną uwagę. Znaczna ilość suszonych owoców i jagód znajdowała się na kamiennych pulkach, w utrzymanych porządnie glinianych naczyniach, nie zbywało mu ani na krupach dobrze wysuszonych, ani na mące. Obszerny kamienny garnek nieco masła zawierał. Był chleb, w który się przed kilku dniami opatrzył, był dzban świeżego mleka, przyniesiony z pobliskiej wioski ostatniego poranku, była mała flaszcza wina, którą dobywszy z piasku i rozgrzawszy przy ogniu, podał z niej po kilka kropli swym gościom za najskuteczniejsze przeciw wilgoci i utrudzeniu lekarstwo. Postawiono przy ogniu mleko, ugotowane i ofiarowane z kawałkiem czarnego chleba, składało całą wierzę. Trochę suszonych owoców na talerzu drewnianym zakończyło ucztę w jaskini. Pilnujący koni i bezpieczeństwa powszechnego rycerze posilili się resztą mleka i suszonych owoców.

— Teraz, miłościwe księżniczki, czas jest udać się do spoczynku, bo jutro przededniem w dalszą

nam drogę ruszyć i wiele jeszcze trudów użyć wypadnie. Ja będę czuwał nad utrzymaniem ognia dla zmieniających się w straży rycerzy.

Nie dały się długo namawiać znękanie i utrudzone książniczki. Zaledwie Władysław, wyszedłszy z jaskini, urządził za pomocą Zdzisława kolej straży, zaledwie pielgrzym przybliżył dostateczną ilość węgla ku kominom, na których się utrzymywał ogień, zaledwie wskazał mniej wilgotne miejsca, na których część kujawskiego rycerstwa znalazła niemało suchego liścia do użycia spoczynku, już wszystko sen głęboki ujął w swe pęta. Napróżno zachęcał pielgrzym Władysława, ażeby podobnież zażył wywczasu. Niepokojność, w której zostawał, zdaleka sen odpędzała od jego powiek. Ażeby przeto skrócić czasu długiej zimowej nocy, przypomniał pielgrzymowi Władysław daną obietnicę w Kaliszu, że mu kiedyś dzieje życia swojego opowie. Widząc ten, że i Zdzisław uległ z innemi niezbędnej potrzebie spoczynku i że go nikt, prócz Władysława, nie słucha, rozpoczął swą powieść następującemi wyrazy:

— Ulegam żądaniu waszemu, miłościwy książę. Po świeżych dnia dzisiejszego wypadkach w tych miejscach, czuję, że umysł wasz sposobniejszym będzie do przyjęcia wrażeń, które powieść moja na sercu waszem uczynić powinna. Dzieje mego życia znane są całej Polsce, imię wzbudzające wstręt i przerażenie, a ostatnie mojej pielgrzymki zdarzenia, niepodobne nawet do wiary. Ten, który w niniejszej chwili do was, miłościwy książę, mówi, od lat wielu żyć przestał. Zwłoki jego spoczywają w grobie według powszechnego mniemania, a synowie dawno podzielili się smutną po nim puścizną. Lecz plama przez zbrodnię nabytej własności i krwi niewinnie temi rękami przelanej w niezatartych śladach zostaje. Jestem Świętopelk, niegdy książę pomorski i mor-

derca własnego pana, Leszka Białego. Nie dziwię się bynajmniej przerażeniu, które was ogarnia, może nawet nie znajdę wiary i litości przed wami. Przecież to, co wam opowiem, tak jest istotną prawdą, jak skryte są sądy Tego, który włada ludźmi i światem. Nie tajno wam z ojczystych dziejów, jakim zaufaniem obdarzył mię Leszek Biały, wówczas książę krakowski i polski monarcha, a jak tej ufności nadużyć umiałem. Będąc z jego ramienia pomorskim starostą, a baczny świadkiem słabości rządów i pobłażającej dobroci tego księcia, wybiłem się z jego władzy i sam zapragnąłem nad powierzonym mi krajem panować. Wszystko sprzyjało moim zamysłom. Władysław Odonicz, później ojciec Przemysława poznańskiego i Bolesława, kaliskiego księcia, pojął mą siostrę, Helinę, i wspierał nieczne moje zamiary. W wojnach z Polakami i Krzyżakami przebiegłość wystarczała mi za siły, a gdy Leszek zwołał zjazd szlacheckich i wielkopolskich książąt do Gąsawy, ostrzeżono mię rychło, że się zbliża ku mnie chwila okropnej burzy, a raczej nieuchybnej nagrody za moje postęпки i zdrady. Zawrzała piekielna zemsta w mem sercu i dotąd dręczyła mię swemi pożogi, aż póki jej nie zgasilem we krwi przyrodzonego monarchy i pana. Któż nie zna szczegółów tego podstępного morderstwa? Prowadzony do Gąsawy przez szpiegów, świadomych i tajnych ścieżek i wszelkich Leszka Białego układów, rozkazałem napaść na niego, gdy był w łaźni wieczorem. Nie miał czasu okryć nawet swojego ciała jakim takim odzieniem. Przyczajony w krzakach, czekałem na zreczną chwilę, i uchodzącego bezbronnie, a na pół nagiego, tą ręką zamordowałem. Henryk Brodaty, książę wrocławski, razem z Leszkiem używający łaźni, cudem a raczej poświęceniem się Weisenberga, służącego swego, ocalał, ja zaś, nie mając już żadnej w moich zamiarach tamy,

używałem spokojnie tak krwawo nabytego imienia pomorskiego księcia.

Już czas, który najgłębsze ciosy zagładzić jest zdolnym, zdawał się wkładać piętno prawości na moje przywłaszczenia i winy. Bolesław Wstydlivy nie czynił żadnej przeszkody w dzierżeniu księstwa, wydartego polskiej koronie. Ościenni władcy wchodzili ze mną w uroczyste sojusze. Miałem dwóch synów: Mestwina i Wracisława, w których upatrywałem przyszłych dziedziców nabytków moich i władzy. Wcześniej zdziałanem urządzeniem podzieliłem pomiędzy nich księstwo Pomorskie. Lecz wpośród takiego uspokojenia ludzkich umysłów, wpośród mniemanych prawości mej władzy dowodów, powstał w mem sercu głos mocniejszy nad wszystkie ludzkie wyroki, głos obrażonego sumienia, a krew niewinna cnotliwego Leszka, w której się me ręce zbroczyły, we dnie i w nocy zdawała się wołać o pomstę. Nikt jej nie śmiał przedsięwziąć ze śmiertelnych, dopełnił Ten, na którego jedno wspomnienie drża i przepadają zbrodniarze. Niepróżno ktoś wyrzekł, że źle nabyta własność nie trafi do rąk trzeciego dziedzica. Rychło spostrzegłem, jak jęcza niezgody w domu moim założyła krwawe siedlisko. Nienawidzili się moi synowie, a ja, zgłębiając okropne skutki ich niezgód wzrastających codziennie, czując coraz bardziej oburzające się na mnie własne sumienie, nie mając ani w domu, ani za domem pokoju, widziałem zbliżającą się śmierć straszliwą pod najokropniejszą postacią. Nie lęka się jej sprawiedliwy, owszem, widzi w niej łatwe i pożądane przejście z chwilowej wędrówki do lepszego żywota. Ale ten, który raz wzgardził cnotą, który podeptał zuchwałą nogą powinności i prawa, niechaj lekce nie waży tej chwili, która go postawi nad brzegiem wieczności. Patrz, panie, dotąd jeszcze występują krwawe plamy na moje ręce, dotąd, gdy

na nie spojrzę, w tej samej godzinie, w której Leszka z życia wyzułem, taka okropność całego mię przenika, jaka zapewne musi być karą mężobójców, pośród piekielnych katuszy.

Bez żadnej choroby, nawet bez zwykłego przed zgonem osłabienia sił życia, czułem wszelako, że ogień, pałacy moje wnętrzości, musi mię strawić niebawnie. W tym stanie przyszła mi na pomoc pocieszycielka rodu ludzkiego, religia. Znajdowałem się w Gdańsku. Wpośród udreczających mię cierpień, pośród dobijającej życie moje zgrzyoty, przywołałem na ratunek znanego ze swej pobożności kapłana. Zadrżał w swem sercu, gdy mu całe pasmo mych zbrodni odkryłem.

— Świętopelku! — zawołał — proś Boga wraz ze mną, ażeby ci jeszcze dozwolił kilka lat życia na złagodzenie win twoich najostrzejszą pokutą. Po wyznaniu, które z całą skruczą spełniłem, spadł z mego serca ów ciężki i cisnący je kamień, ale razem sił mi zabrakło. Co się później ze mną stało, tego ani wiedzieć, ani opisać nie mogę. To tylko mam dobrze w moim umyśle przytomne, że zbudziwszy się wśród nocy, jakby ze snu długiego, ujrzałem się w izbie czarnym obleczonej całunem, wpośród szczęściu świec pałających i w trumnie. O kilka kroków siedział ów pobożny kapłan, o którym niedawno wspomniałem, i zdawał się być zatopiony w najgorętszych modlitwach.

— Cóż to jest, mój ojciec? — rzekłem głosem zaledwie dobywającym się z mych piersi.

On, spojrzawszy na mnie okiem spokojnem i powstawszy z miejsca swojego, odezwał się z cicha:

— Świętopelku Pomorski, żyjesz-li ty w istocie, lub czyli cię Bóg litościwy a wszechmocny wraca z pomiędzy zmarłych wpośród żyjących dla dopełnienia pokuty?

Na moją odpowiedź rzekł znowu głosem pierwszemu podobnym.

— Już dwie doby upływa, jak cię świat cały za umarłego poczytał. Musiała to być śmierć pozorana, z której w tej chwili przebudzonym zostałeś. Ale lepiej dla ciebie, jeżeli umrzesz w powszechnym mniemaniu. Jeszcze noc trzyma cały zamek w uspieniu. Ja jeden czuwałem z kolei przy twojem ciele. Maszli dość siły, ażeby ztąd wyjść potajemnie i udać się natychmiast w podróż daleką?

Na skinienie potakujące z mej strony, rzekł dalej:

— Weź ten płaszcz i uchodź. Dozwól twym synom panować, sam zaś dla złagodzenia twych grzechów udaj się niezwłocznie na siedmioletnią pielgrzymkę. Masz zwiedzić wszystkie miejsca ze szczególnych łask nieba słynące; udasz się do Rzymu i tam przy grobie pierwszych założycieli świętej wiary twych ojców złożysz wszelkich twych przestępstw wyznanie. Pójdiesz do Palestyny, a po spełnieniu naznaczonej a pewnie ciężkiej pokuty, nim przystąpisz do świętego grobu Chrystusa, masz błagać o rozgrzeszenie ostatnie. Przy końcu siódmego roku wrócić możesz do kraju. Lecz jeśli kto w tobie pozna rys najmniejszego występnego Świętopelka, będzie to znakiem, że Bóg ci jeszcze nie odpuścił twych zbrodni, dlatego powtórnie musisz też samą odbyć pielgrzymkę, aż póki czas i pokuta nie zatrze w tobie nawet śladów najłżejszych dawnej twojej istności. Pamiętaj albowiem, że jedną chwilę zbrodni nie zawsze nawet wiek łez i cierpień zagładza. Idź więc natychmiast w Imię Ojca i Syna i Ducha, a ja biorę na siebie staranie, że cię świat cały za umarłego poczyta.

Pojąc nawet nie zdołam, jakim sposobem w dniu następnym znalazłem się o kilka mil od Gdańska. Słyszałem po drodze rozmawiających o mojej śmierci

i życiu, a zdania niektóre dawnych moich poddanych zgrozą mię ku sobie samemu przejęły. W krótkim czasie cała moja powierzchowność oznaczała z dalekich krajów pielgrzyma. Przysięgłem tego ubioru nie złożyć do zgonu. Pod imieniem Peregryna zwiedziłem Gniezno i miejsce, gdzie niegdyś spoczywały zwłoki świętego Wojciecha. Dzień cały spędziłem na modlitwach przy grobie świętego Stanisława w Krakowie. Przebyłem Węgry, Niemcy i Włochy, w każdym miejscu słynącym cudami szukając religijnej pociechy. Z jaką skruczą rzuciłem się do nóg Klemensa IV w Rzymie, czcząc w nim i głowę Kościoła, i Najwyższego spraw światowych monarchów rozjemcę! Pod moją bytność we Włoszech upadły haniebnie pod mieczem katowskim dwie głowy panujących książąt, to jest nieszczęśliwego Konradyna, roszczonego prawa do Neapoliitańskiego berła, i Fryderyka, księcia austriackiego, jego wiernego przyjaciela. Ten pierwszy przykład okropnej pomsty, wywartej przez Karola Andegawskiego nad jeńcami, których mu oddał w ręce los wojny, oburzył wszystkie książęta i ludy. Po odbyciu nakazanych mi modłów pokutnych przy grobie pierwszych Apostołów i męczenników, przebyłem morze i udałem się do Syrii i Palestyny. Pierwsza kropla czystej pociechy spadła na spiekle od zgryzoty i żalu me serce, gdy oddałem hołd najgłębszego uczucia miejscu, gdzie spoczywały Boskiego Zbawiciela zwłoki. Ach, miłościwy panie, nie masz istotnej rozkoszy na świecie jedno ta, którą z poświęconej od bóstwa czary, a podanej nam ręką religii czerpiemy. Tam bogobojny kapłan przyjął nowe wszystkich mych przestępstw wyznanie i pierwszy raz udzielone mi było odpuszczenie, lecz za nakazem długiej i ciężkiej pokuty. By ją wypełnić, poszedłem na górę Tabor do słynącego z rzadkiej pobożności i obdarzonego duchem proroczym pustelnika

i kapłana. Ten, gdym odkrył mu całe pasmo życia mojego, przestępstw i nakazanej pokuty, użyczył mi rad zbawiennych i ostróg, które nigdy nie wyjdą z mojej pamięci, a które mi wiele ulgi przyniosły.

Czterdzieści dni postu, umartwień i ciągłej modyfikacji przysposobiło mój umysł do pojęcia tajnych rzeczy dla ludzi. Lecz to, co mi odkrył ten mąż pobożny, to, co sam mógł wiedzieć, jakkolwiek jest znakomite i wyższe nad wszelkie domysły, jest tylko jedną małą kropelką, wyczerpaną z nieskończonego morza przyszłości. Już siódmy rok przepędzałem w tej pokutnej wędrówce. Odzyskałem całą część spokoju straconej, ogarnęła mnie chęć oddychania ojczystym powietrzem. Pominę ciężkie przygody, jakie mnie w powrocie do kraju spotkały. Opis ich żadnego niema związku z istotnym wątkiem moich dziejów. Skończył się rok siódmy mojej pielgrzymki, gdym Szląsk przebywał. Chciałem najprzód odwiedzić Bolesława kaliskiego księcia, a syna siostry mojej Helingi; on albowiem ze wszystkich moich pokrewnych ciągle postępował na drodze pobożności i cnoty. Stałem w Kaliszu o wschodzie słońca i wkrótce zdarzyło mi się spotkać tych, którym niedługo znany byłem dokładnie, ale nikt mnie nie poznał. Wiadomo wam, miłościwy panie, że byłem na dworze kaliskiego księcia. Przyjęty uprzejmie przez Bolesława, gdym mu udzielił niektórych wiadomości, zebranych w mojej pielgrzymce, i kilka słów wyrzekł o przyszłości jednej z uspijonych teraz córek jego, dziękował mi z rozczeniem, nareszcie wyrzekł te niezapomniane dla mnie wyrazy: — Mężu pobożny! im więcej was słucham, im się bardziej wpatruję w wasze oblicze, tem większe mnie podziwienie ogarnia. Gdybym nie był przeświadczonym, że wuj nasz, Świętopełk, książę pomorski, przed siedmiu laty wstąpił do grobu i dwóm synom państwo swoje od-

kazał, mógłbym prawie zaprzysiądz, że wy nim jesteście istotnie. — Nie wzruszajmy popiołów tych, co żyć przestali — odpowiedziałem. — Mógłbym się raczej o ich zbawienie. Lecz tejsze chwili, skorom tylko mógł się od niego oddalić, oddaliłem się na zawdy, i według danych mi pierwiastkowo napomnień, począłem na nowo taką samą, jak przed siedmiu laty, pielgrzymkę. Trop w trop szedłem za dawnym moim śladem i wszędy też same odbywałem pokuty i modyfikacji. Ale wiele rzeczy zmieniło się na świecie od czasu mojej pierwszej wędrówki, a co najboleśniejszym było dla mnie ciosem, że ów pustelnik kapłan na górze Tabor już był życie doczesne na wieczne zamienił. Chciałem go badać o wiele jeszcze przedmiotów, których nie mogłem dojrzeć w przyszłości słabym wzrokiem ducha mojego. Lecz Bóg usunął z przedemnie tę oświecającą mój umysł pochodnię, ja zaś za powtórny do kraju powrotem, już od nikogo nawet z podobieństwa do mnie samego niepoznany, obrałem sobie te dzikie i skaliste lasy za przytułek; ztąd niekiedy na krótki czas w różne strony wychodzę, gdzie jednak spodziewam się niedługo dokonać żywota. Ale jeszcze nie przyszła chwila końca mojej pokuty. Dziewięćdziesiąty trzeci rok upływa od czasu, w którym urodziłem się. Widziałem naprzód nieszczęścia rodu mojego. — Dożyłem tego, że księstwo Pomorskie nie doszło trzeciego z krwi mojej dziedzica. Wracisław, syn mój młodszy, po różnych klęskach i zmiennych życia kolejach, skończył dni swoje w mniszym kapturze. — Mestwin zaledwie z pomocą Bolesława kaliskiego zdołał odzyskać swą własność, wzgardził występnie związkami, które prawo Boskie i natury uświęca, porwawszy z klasztoru Bogu poślubioną dziewicę... Lecz cóż to, miłościwy książę, już wasi rycerze budzić się poczynają? Dosyć wyrzekłem na odkrycie wam tego,

o czem dotąd żaden z żyjących z ust moich nie sły-
szał. Czas będzie pobudzić resztę uspiomych i w dal-
szą przed świtem wyprawić się drogę.

ROZDZIAŁ VI.

Przemysław i Ryxa.

Gdy już wszyscy byli gotowi do zamierzonej
podróży, z czułością dziękowały pielgrzymowi kali-
skie księżniczki, za wygodny i bezpieczny nocleg.
Dziękował wraz z nimi Władysław, którego serce
pełne było uczuć, jakie trudne do pojęcia przygody
starca słusznie wzbudzić musiały. A widząc go
uzbrojonego tak jak w dniu poprzednim, rzekł:

— Cóż to chcesz uczynić, sędziwy starcze? —
zapytał.

— Przeprowadzić was — odpowie — mnie tyl-
ko znajomymi manowcami i ścieżkami, aż do miejsc
z których bezpiecznie i wygodnie udać się zdołacie
ku Poznaniowi.

— Jeżeli takie jest wasze postanowienie — rze-
cze Władysław — jeśli nas zupełnie zobowiązać pra-
gniecie, sprzeciwić się temu nie będziemy. Lecz mamy
jeszcze jednego powodnego konia, ufamy przeto, że
na nim wygodniej wam tę podróż odbyć przypadnie.

— Zapomnieliście, miłościwe księżne — odrzekł
pielgrzym — o wiadomym wam ślubie naszym. Prócz
tego, droga, którą przebywać mamy, nie dozwoli wam
słorzej postępować od idących piechotą.

— Któżby z nas — odezwie się Jadwiga —
mógł usiedzieć na koniu, widząc was, letniego sta-
ruszka, trudzącego swe nogi dla naszej przysługi?

— To być inaczej nie może, miłościwa księ-
żniczko — odpowiedział pielgrzym. — Jeszcze lat kilka,
musimy podobnie nasze odbywać podróże, nim nas
Bóg litościwy do innej, a dłuższej nad dzisiejszą, po-
woła. Wreszcie nie idzie tu jak o dwie niewielkie
mile, a potem pożegnamy was spokojnie. Ale czas
upływa, a kto wie, czy nasi nieprzyjaciele nie są
pilniejsi od nas. Dlatego, miłościwy książę — rzece,
obracając się do Władysława — potrzeba wydać hasło
do drogi.

Jeszcze noc głucha nie ściągnęła czarnej swej
zasłony z lasów zamierzchłych i gęstych zarośli,
iskrzące się gwiazdy przyświecały tylko w ciemno-
ści. Lecz gdy ruszyli za przewodnictwem dobrze
świadomego miejsc i ścieżek pielgrzyma, słyhać już
było z blizkiej osady wiejskiej ostatnie piania kogu-
tów, jako pierwszy znak zbliżającego się świta-
nia. Wdzięczna dolina, którą bystry Prądnik prze-
biega, a którą właśnie przebywać poczęli, leżała
martwa i odrętwiała pod śniegiem. Same tylko od-
wieczne skały, między których podwójnym rzędem
wypadało przechodzić, stały w niezmienniej i nieza-
wisłej od pór roku postaci. Widok ich wspaniały
i zachwycający, wtenczas gdy mrużące nurty pò-
toku, żadnemi nie skrępowane więzy, przebiegają zie-
lone łąki, drą się przez najeżone głązy, a zlane
w obszerniejsze jeziora, wpadają z większym hukiem
i pędem na podstawione koła kołających się mły-
nów, dziś w odrętwieniu całej natury ponurym smut-
kiem przenikał. Już się rozwidniać poczęło, gdy
ujrzeli z daleka znaną powszechnie z licznych opi-
sów i obrazów, a dziś zwaną Herkulesową maczugą,
albo Sokolą skałą, przed którą z ciekawości i podzi-
wienia wstrzymać się musieli na chwilę. Jeżeli pa-
smo skał, ciągnących się tą doliną, a rozspanych po
polach i lasach, widoczne okazuje ślady zmian gwał-

townych i dawnych, jakie w tych miejscach zrzędziły żywioły; jeżeli dziwić się musimy, widząc dowodnie, jak wezbrany potok podkopywał stopniami, a narreszcie rozdarł i rozdzielił te od wieków połączone z sobą z litych głazów piętra, kogóż nie uderzy okazały widok tej wyniosłej opoki, która trzykroć większa w obwodzie u góry niżli u spodu, utkwiona ręką wszechwładnej natury, sterczy od tyłu wieków, dzierżąc niezmiennie i równowagę i grożąca, że tak rzeknę, postać? Jeszcze wtedy nie zdobił malarskiego tych miejsc widoku okazały ze śmiałej prostoty zamek Pieskowej skały, który, według wszelkiego podobieństwa do prawdy, tak jak i Ojcowski, był dziełem Kazimierza, syna Władysława, słusznie od potomnych Wielkim zwanego.

Niedaleko od miejsc tych rzucili dolinę Prądnika i w lewo się udali. Zaledwie potem dwie upłynęły godziny, gdy ich przewodnik, wskazawszy im znacniejszą i bardziej od stóp ludzkich utorowaną drogę, rzekł:

— Oto jest gościniec, którym postępując zawsze w kierunku między zachodem a północą, przejdziecie Szląsk, rozłożony przed waszemi oczyma, i snadno bez niebezpieczeństwa dosięgniecie dziedzin Przemysława, poznańskiego i kaliskiego księcia. Radzę przecież unikać Wrocławia, ażeby was nie zatrzymało w podróży, bo według naszej rachuby, niewiele wam zostaje czasu, nim was Opatrzność do nowych powoła zamiarów. Bądźcie zdrowi i pamiętajcie o moich szczerych przestrożach.—To mówiąc, zniknął im z oczu w gęstwinie lasu.

Krótką i wolną od wszelkich nadzwyczajnych zdarzeń była odtąd podróż księżniczek w towarzystwie Władysława i pod zasłoną jego rycerstwa. Jakkolwiek serce Jadwigi przejęte było najżywszą wdzięcznością za nowy dowód poświęcenia się brzeskiego

księcia w oswobodzeniu jej i siostry z tatarskich więzów; jakkolwiek w całym przeciągu drogi okazywane jej względy i czułe starania wygładziły z jej serca pamięć uprzedzeń, które powzięła ku niemu w Krakowie; jakkolwiek w każdym spojrzeniu i słowie wyjawiała się widocznie pierwiastkowa jej przychylność, nie chciał atoli Władysław korzystać z tych przewag, jakie mu nadawały okoliczności, i przez całą podróż unikał osobnej z Jadwigą rozmowy. Wszakże czuła jego troskliwość około wygod księżniczek; nieustanne zabiegi dla sprawienia im słodzących trudów podróży przyjemności nie uchodziły baczного oka Jadwigi. Raz tylko, w dniu tym, w którym ich opuścił Pielgrzym, i gdy się do miejsca noclegu zbliżali, zapytał ją z niejakim żalem Władysław, jak jej się podobał ów czarnoksiężnik, z którym podług rozsianych po Krakowie wieści, miał odwiedzać grób Bolesława, jej ojca.

— Jakże zdołam — odpowiedziała na to — zaspokoić waszą ciekawość, gdym dotąd żadnego czarnoksiężnika nie widziała, oprócz was jednych, którzyście nas cudem z rąk tatarskich wyrwali?

— A przecież — rzecze znowu Władysław — ten, który mi tyle złego narobił, który mnie potępił w mniemaniu matki waszej, Jolanty, jest już wam znanym dokładnie. Był nim albowiem ów pielgrzym, w którego jaskini ostatnią noc przepędziliście.

— Jakto — odrzeknie Jadwiga — miałooby to być w istocie? Czemużeście nas o tem wcześniej nie ostrzegli?

— Musiałem milczeć — rzecze na to Władysław — bo tego żądał odemnie. Więcej jeszcze wam powiem! Jest to ten sam mąż pobożny, który niegdyś przepowiedział ojcu waszemu, że córka jego, piękna i dobra Jadwiga, ma być z czasem królową.

— Jaka szkoda — odpowie nieco zmieszana

Jadwiga—że tak nierychło dowiaduję się o tem; byłabym mu albowiem wiele ciekawych pytań zadała; naprzykład: jaki los czeka ukochaną siostrę naszą, Elżbietę, czy nasza szanowna ochmistrzyni dojedzie na tym stępaku do miejsca przeznaczenia naszego, czyli ten, który najwięcej zasługuje na to ze wszystkich książąt krwi Piasta, królem polskim kiedyś będzie?

W tej chwili wrócił wysłany przez Władysława dla opatrzenia noclegu towarzysz i doniósł, że wszystko jest urządzone po woli i myśli książęcia.

Ósmego dnia podróży zbliżyli się ku murom Poznania. Baczny na wszystko Władysław wyprawił do Przemysława najbliższego sercu swojemu Zdzisława, aby go uwiadomił o wszystkim. Sam tymczasem zatrzymał się na noc w odległej o dwie mile od stolicy wielkopolskich książąt wiosce, w której świeżo wzniesiony z drzewa kościółek, a niedaleko dość schludny i porządny domek plebana, zachęcił go do przyjęcia gościnności w miejscu najspodobniejszym i najdogodniejszym ku temu celowi. Wyszedł na przeciw Władysława i kaliskich księżniczek poważny, lecz jeszcze nie zbyt letni kapłan, trzymając w ręku na obszernej misie drewnianej sól z chlebem, co było znakiem gościnności i uprzejmości w przyjęciu. Jego postać, pobudzająca do czci i uszanowania, długa i już nieco siwizną przysypana broda, czarna i spadająca do ziemi szata, a nadewszystko słodycz wejrzenia i głosu, otwierały serca dla pożądanej ufności.

— Bóg niech przebywa z wami — odezwał się do nich — w Imię Jezusa Chrystusa wnijdźcie w te szczupłe i ubogie ściany i nie gardźcie temi darami, które Ojciec nasz powszechny udzielić nam raczył z swojej szczodroty.

— Pokój waszemu domowi, szanowny kapłanie — rzecze Władysław, wchodząc do nieszczupłej i dosyć chędogiej izby, której całym sprzętem był

stół dębowy, dwie ławki pod ścianami stojące, jedna zaś pomniejsza, oparta o piec z kamienia, obraz ukrzyżowanego Chrystusa na ścianie i niewielka szafa, w której kilka książek leżało. Na mocnym i okopconym od dymu stragarzu spoczywały worki z różnemi nasionami i lekarskimi ziołami; kapłani albowiem byli wtedy najczęściej równie lekarzami duszy, jak i ciała. Dalej nieco leżały drewna z suchej brzeziny.

— Nim Pan Bóg pozwoli ofiarować wam — rzekł kapłan — jaki taki posiłek, tymczasem dobry ogień najpożądańszym będzie dla utrudzonych podróży.

— Nie zadawajcie sobie tyle pracy — odpowiedział Władysław, widząc go sięgającego po stołku do suchych drewek. — I tak sprawiliśmy wam niemało kłopotu.

— Podaliście nam, miłościwy panie — rzecze na to kapłan — słodką sposobność dopełnienia obowiązków stanu naszego.

W dalszej rozmowie opisywał prostemi, lecz pełnemi rozsądku wyrazy wszelkie wydarzenia krajowe. Mówiąc o śmierci Ludgardy, rzekł z westchnieniem:

— Dobra to była, litościwa i bogobojna księżna. Jeśli to prawda, co rozgłaszają ludzie, niech Bóg odpuści tym, którzy nas pozbawili takiego anioła. Pociesza się wprawdzie Przemysław nową małżonką. Jeszcześmy jej nie widzieli, bo niezbyt dawno do Poznania przybyła, ci przecie, którzy mieli sposobność zbliżenia się do Ryxy, tembardziej żałują Ludgardy. Mówią, że niezbyt jest ufną w swej urodzie i pochodzeniu z krwi królów, co jest bardzo niedobrze. W oczach Najwyższego wszyscyśmy prochem, a wyniosłość straciła z niebios nawet aniołów.

Ubodły te słowa Władysława, a nie później, jak w dniu następnym, przekonał się dowodnie, że głos ludu rzadko się myli w swym sądzie.

Przemysław, który po pierwszym spotkaniu się

z Władysławem i oswobodzeniu go z więzów krzyżackich, miał powód do nieufności i pewność nawet niejaka, że ten książę równe z nim powziął zamiary ku osiągnięciu z czasem polskiego berła, przecież dla zachowania samej przyzwoitości nie mógł mu odmówić uprzejmego na pozór przyjęcia. Znakomite przysługi, które oddał kaliskim księżniczkom, a jego najbliższym krewnym, powodowały poznańskiego księcia do czułych dzięków, które przy pierwszem spotkaniu się wynurzył. Smutne przygody księżniczek, ich cudowne wyzwolenie z rąk tatarskich, były powszechnych rozmów przedmiotem.

Zjawiła się nareszcie Ryxa, nowa Przemysława małżonka, której poznański książę przedstawił Jadwigę i Elżbietę, poruczone ostatnią wolą ojca Bolesława jego bezpośredniej opiece. Przyjęła je mile, ale dosyć oziębłe. Ofiarując im swój zamek, rzekła z powagą:

— Tak blizkim krewnym męża mojego nie mogę odmówić jedyne, jaki dla nich pozostaje, przytulku.

Młode sieroty po Bolesławie, który tyle trudów poświęcał dla dobra synowca swojego Przemysława, gdy był pod jego opieką, rozplakały się z żalości.

Za zbliżeniem się Władysława rzekła mu Ryxa:

— Tak młodym jesteście, książę, a tyle już o was mówią ludzie na świecie. Rychło nabyta sława może się stać z czasem trudnym do utrzymania ciężarem.

— Jeżeli co dotąd zdziałał dobrego — odpowiedział Władysław — Bogu to i sprzyjającym okolicznościom przyznaję. Jeśli mi Opatrzność postawi w możności zdziałania jeszcze więcej dla dobra ludzkości i kraju, pójdę za jej skinieniem, jednakże bez szukania płonnej sławy u ludzi. Wam, miłościwa księżno, snadniej daleko przyjdzie niż komu, postępować na świetnej drodze, która się przed wami otwiera, macie albowiem w domu tym świeży przykład

słodczy, bogobojności i cnoty, pierwszej Przemysława małżonki.

— Córka Waldemara, szwedzkiego króla — odezwała się Ryxa — który umiał i dzielnie panować i pogardzić tronem, ma w dziejach własnej rodziny dość świetnych wzorów, za którymi poszedłszy, innych potrzebować nie będzie. Dziś dobro Przemysława i tej nowej ojczyzny stało się jedynym mej troskliwości przedmiotem.

— Chciej dodać, miłościwa księżno — rzecze Władysław — i tego ludu, którego Ludgarda była raczej matką, niż panią.

Po tej rozmowie oddała się Ryxa. Była to pani rzadkiej urody, lecz wyniosłego i chciwego poszanowania umysłu. Jej wzrost wspaniały, twarz pełna, wydatne a piękne rysy, oko czarne, jasne, długie włosy, byłyby z niej doskonałą utworzyły piękność, gdyby w spojrzeniu i głosie miała cośkolwiek ujmującej serca słodyczy. Lecz cała jej powierzchowność bardziejby przystała na posąg młodego i urodziwego rycerza, niż na tę istotę, której przeznaczeniem jest być kochanką, małżonką i matką. Mało zazwyczaj mówiła, a gdy się jej z czem odezwać przyszło, w każdym słowie przebijała się duma i wyższość rodu, która w braku istotnej wartości, tyle między ludźmi nadaje pozornego prawa do wynoszenia się nad innych. Nie lubiła poufałości, z którą Polacy do panujących książąt zbliżać się zwykli, a każde wspomnienie Ludgardy, było ciosem przenikliwym, jej sercu zadany. Dlatego od pierwszego wstępu na dwór poznański zniechęciła Władysława na zawdy. Przecież to, co się dla innych zdawało odrazą, bardzo w niej przypadło do smaku dla Przemysława, który równie wyniosły, lecz skryty, nie mógł podług powszechnego mniemania zgodniejszej ze swym umysłem dobrać sobie małżonki. Lecz lud jego zawsze miał w uściech te słowa: — Co za różnica od dobrej, cnotliwej i ujmującej Ludgardy?

Co chwila prawie przybywały do Poznania wieści i szczegóły ustąpienia Tatarów z Polski i srogiego ciosu, jaki temu krajowi zadali. Wiadomo jest z dziejów, że gdy wracając do swoich norzysk, obliczali zagarniętą zdobycz u Włodzimierza, prócz srebra, złota i rozmaitych kosztowności, samych dzievic polskich różnego stanu, zabranych w okrutną niewolę, naliczyli dwadzieścia i jeden tysięcy. Nie było w Lubelskiem, Sandomierskiem i Krakowskiem rodzin, któraby nie oplakiwała straty kilku osób, z łona swego wydartych. Głos powszechny obwinał srodze o taką klęskę Leszka, który haniebnem do Węgier ustąpieniem wiele się przyłożył do odjęcia męztwa w obronie kraju przeciw tej na wszelkie łupieztwa wyuzdanej dziczy. Kraków, Sandomierz i inne zamki dowiodły, jak snadny był odpór przeciw ich zamachom tam, gdzie dobra wola wspierała dzielność i męstwo. Z radością dowiedziały się kaliskie księżniczki, że matka ich Jolanta, schroniwszy się z siostrami Kunegundą po Bolesławie Wstydliwym i Konstancyą, wdową po Danielu, księżciu ruskim, najprzód do Sącza, a następnie do Pieniny, zamku leżącego u Tatrów nad Dunajcem, przetrwały w bezpieczeństwie wraz z siedmdziesięcią zakonnicami cały napad, aż do ostatnich granic Polski sięgających Tatarów.

Lecz nader bolesną dla serca Władysława była wieść, że Leszek, wróciwszy do Krakowa, sposobił się do wojny przeciw mazowieckim książętom i że przez swą ucieczkę do Węgier zniechęcił ku sobie serca swoich poddanych. Bo gdy zostały wydane wieści na mazowiecką wyprawę, nikt ze szlachty lubelskiej, sandomierskiej i krakowskiej ruszyć się nie chciał z domu. Klęski, zniesione od Tatarów, były dostatecznym pozorem do wymówek, których zła chęć ku panującemu stała się istotną przyczyną. Sami Sieradzanie, jako mało dotknięci od tatarskiego napa-

du, wyprawili się przeciw Mazowszu i nieza długo po żałowali tego przez poniesione szwanki. Wszystko się spiknęło na zatrucie żywota nieszczęśliwego Leszka, którego niedole i błędy brat, szczerze do niego przywiązany, oplakiwał z serca i mocno bolał nad niemi. Już chciał on Poznań opuścić i zakopać się w szczupłych swoich dzierzawach, gdy zjawienie się Henryka, księcia lignickiego, „tłustym“ zwanego, zawiesiło do czasu jego zamiary. Przybył on dla żądania ręki jednej z księżniczek kaliskich. Okoliczność ta dla serca Władysława obojętną być nie mogła, tembardziej, gdy zaraz głosić poczęto, że Przemysław wraz z Ryxą ułożyli sobie zaślubić tego księcia z Jadwigą. Lecz Henryk, pomimo niewielkiej bystrości umysłu, tyle miał rozsądku, iż o tem mówić sobie nie dozwolił. Wiedział on przez przychylną sobie oddawna ochmistrzynię kaliskich księżniczek, iż niewiele dozna trudności w pozyskaniu ręki Elżbiety wtedy, kiedy związek z Jadwigą istotnem był niepodobieństwem.

W niedługim czasie wyjaśniło się wszystko. Ryxa, widząc swoje zabiegi bez skutku, zezwoliła narreszcie na żądania Henryka. Największa trudność była ze strony samej Elżbiety. Nie chciała ona żadnym sposobem wchodzić w małżeńskie związki przed starszą siostrą. Lecz nalegania i prośby kochającej ją Jadwigi tyle nad nią miały mocy, iż nie mając żadnej odrazy do lignickiego księcia, który wistocie był zacnym i łagodnego umysłu mężem, zezwoliła na ten związek, dopraszając się jedynie o niejaka odwłokę dla powzięcia rady i błogosławieństwa oddalonej matki.

Trwały dni kilka uczty i uroczystości z tego powodu na zamku poznańskim, dla zakończenia których Czesław z Chojnicy, podskarbi Przemysława, a jeden z najbogatszych panów wielkopolskich, zaprosił książąt do swego zamku, o trzy mile odległe-

go, na łowy i ucztę, od czego Władysław w żaden sposób wymówić się nie zdołał.

ROZDZIAŁ VII.

Uczta na wsi.

Nim przystąpimy do opisanja tej osobliwszego rodzaju uczty, nie będzie od rzeczy oswoić nieco czytelnika z osobą tego, który ją wyprawiał.

Czesław z Chojnicy był synem największego skapca, jaki tylko mógł żyć na świecie za dawnych i teraźniejszych czasów. Trudno jest wyliczyć wszystkie środki, jakich używał ten człowiek dla pomnożenia swych zbiorów, a przez to, jak twierdził, dla ustalenia losu kochanego jedynaka swojego. Post całoroczny, siedmiokrotne a własnoręczne łatanie zdar-tej odzieży, przyzwyczajanie sług i czeladzi do głodu, ażeby na przypadek wydarzonego w kraju, mogli tem pewniej i bezpieczniej znieść to nieszczęście, nie-używanie światła w nocy, pod pozorem oszczędzania wzroku, wykradanie własnym koniom obroków i siano, wszystko to jest niczem w porównaniu fortelów, jakich się chwycił ten sknera dla szczęścia i przyszłej pomyślności Czesława. Lecz obok tej troskliwości o najistotniejszej zapomniał. Umysł przyszłego dziedzica tyłu skarbów wzrastał wraz z ciałem w zupełnej dzikości, tak dalece, że dopiero w dwudziestym roku młodzieńca przypomniawszy sobie kochający go tatulo, iż go wypada czytać i pisać nauczyć. Długo on opierał się woli ojcowskiej, a nigdy nie mógł tego pojąć dokładnie, na co się przyda nauka temu, kto może mieć tak wiele pieniędzy. Jakoż, pomimo starań i najgorliwszych zabiegów swego nauczyciela, pomi-

mo nieskąpych plag, któremi go do nauki zachęcał, zaledwie tyle dokazał, że w lat pięć umiał przesyla-bizować wielkimi głoskami napisany „Ojczyzna nasza“, a cały kunszt pisania ścisnął w obręb umiejętności postawienia koszlawo siedmiu liter, z których się jego szanowne imię składało. Lecz gdy natura, jako dobroczynna i troskliwa matka, co z jednej strony umie swym dzieciom, to wynagradza z drugiej, przeto nasz Czesław, będąc w dwudziestym piątym roku życia najograniczeńszym z ludzi, taką miał zdolność do rachunków, że bez użycia pióra (którym się brzydził, jak zbrodnia) umiał na pamięć największe sumy zachować, twierdząc wszelako, że odciąganie było najnieznośniejszem dla niego działaniem. Przeświadczo-ny ojciec o tej zdolności, pewny tem samem, że jego długoletnie zbiory nie przejdą z czasem do ludzi, zstąpił do grobu spokojnie.

Ujrzawszy się nasz zacny bohater panem i dzie-dzicem nieskąpych worów złota i srebra, wielu dro-gich i kosztownych kamieni i mnóstwa sprzętów, wzię-tych na zastaw, a spuszczonej przez właścicieli z niesposobności wykupna, ostrygł niebawem w głę-bokim żalu, w którym go zrazu zgon kochanego ro-dzica pograżył.

— Jest czem łzy osuszyć — powiedział do sie-bie — a więc, ojczyzna najdroższy, spoczywajcie z przod-kami w pokoju.

Byłby się pewnie Czesław wykształcił z czasem na godnego następcę swojego ojca, gdyby jego zacni przyjaciele, których po odziedziczeniu takich zbiorów mnóstwo liczył, nie byli wysledzili w jego sercu je-dnej malej słabości, czyli też cnoty, która się w słowniku uczonego Lindego próżnością nazywa. Mało użyli sposobów na przekonanie zupełne, że taki pan i mąż szanowany powszechnie, jak Czesław, nie po-winien płeśnić w wiejskiem ukryciu; że należy mu starać się i otrzymać najpierwsze w kraju urzędy; że

nie godzi się mieszkać w lichej lepiance, mogąc ozdobić Polskę zamkami i pałacami; że wypada koniecznie otoczyć się licznym dworem, założyć około zamków zwierzyńce i ogrody, trzymać myśliwstwo i przynajmniej sto koni na stajni; słowem, użyć tego szlachećnie, a bez rozrzutności, co ojciec z zapomnieniem na swą dostojność i własne wygodę zgromadził. Przypadły zrazu do smaku te zamiary młodemu panu, lecz gdy jeden z wiernych służących przedstawił, że na to trzeba roztrwonić mnóstwo srebra i złota, już się chciał wyrzec wszystkiego i w ślady ojcowskie cofnąć. Lecz usłużni i troskliwi o dobro swego patrona przyjaciele ofuknęli letniego gderacza, twierdząc, że to jest starej daty maksyma. Jakichże podobne, o których mówili, przedsięwzięcia wymagały z kieszeni nakładów?

— Masz miłościwy panie w swych włościach drzewo, glinę, wapno i piasek; masz podostatkiem czeladzi, cóż was będzie kosztowała budowla? Masz rozległe łąki i pastwiska, chowanie koni jeszcze stan dóbr twoich podniesie. Masz obszerne lasy i napelnione zwierzyną, przyczyniż to kosztu, że część jej spędzimy w oparkanione zwierzyńce? Masz tylu kmieci i zagrodników, będzież to dla nich krzywda, że zamiast sieraków, każesz im przywdziać przystojniejsze odzienie? Tylko tępego umysłu i grubych obyczajów ludzie nie zdolają dojrzeć, jakie ztąd dla was i dla waszego pokolenia wyniknąć mogą korzyści.

Od tej chwili Czesław zaprzysiął na kości świętego Wojciecha, że nigdy rad starych głupców słuchać nie będzie i że się we wszystkim zastosuje do chwalebnych i świetnych, prawdziwych swoich przyjaciół zamiarów. Zaczął więc jaknajśpieszniej budować zamki, zakładać ogrody i zwierzyńce, skupować konie i zgromadził około siebie rozmaitych hołotę z okolicznych wiosek, którą swym dworem nazwał; żeby zaś niczego nie zabrakło do świetności

tak przeznaczonego domu, wszedł w związki małżeńskie z Anastazyą z Kurnika, bardziej z bogatego posagu, aniżeli z przyjemności zalotną. Była to trzydziestoletnia dziewczyna, zbyt chudej i wyrosłej postaci, zbyt długiej twarzy, a krótkiego pojęcia, zbyt kwaśnej miny i przesadzonych o swojej urodzie i bogactwie wyobrażeń, ażeby ją kto przed Czesławem starał się pojąć w dozgonne ogniwa.

Takim kwiatem ozdobiwszy swe życie, wybrał się niezadługo na dwór Poznańskiego księcia. Jego niepoczesna postać, twarz drobna i mała, przecięta ustami rozciągniętymi od ucha do ucha, nos splaszczony i kryjący się między najeżonymi wąsami, czoło ledwie na półtora cala wysokie, a głos szepleniący i chrapliwy, nikomu nie czynił zagadki względem wewnętrznej wartości człowieka. Śmieszek książęcy, bez którego żaden się dwór nie obszedł, spostrzegłszy go raz pierwszy i zmierzwszy bacznymi oczyma, zapytany od Przemysława, coby sądził o tym przybyszu — Miłościwy panie — odpowiedział bez namysłu — strwoniłby koszt na czernidło ten, ktoby mu na czole dudka napisał. — Jednakże, pomimo tego mniemania, które wkrótce stało się powszechnem, rok nie upłynął, a Czesław został książęcym podskarbis. Tak rzadkim był wówczas ten bodziec wszelkich rzeczy na świecie, pieniądz, że ci, co go posiadali, jeżeli nie za mędrców, tedy przynajmniej uchodzili za roztropnych i gospodarnych ludzi. Wreszcie biegiłość Czesława w rachunkach z pamięci takiej mu nabiwała wziętości, iż na całym dworze poznańskiego księcia kto tylko chciał wiedzieć, jaki skutek z pomnożenia dwóch przez dwa wyniknie, udawał się po rozwiązanie tej wielkiej zagadki do niego, co mu niezmierną radość sprawiało. Nikt przeto, a nawet sam śmieszek, o którym wspomnieliśmy niedawno, dziwić się nie śmiał, gdy Czesław odrząz tak wysoką otrzymał dostojność.

W chwili, o której mówić będziemy, był on już wcale innym człowiekiem. Pierwiastkowe nieokrzese-
nie ustąpiło polorowi dworskiemu, a obyczajność i uprzejmość, których był ścisłym przestrzegaczem, na
tem zależy, według jego mniemania, ażeby zjawiają-
cym się na dworze poznańskim gościom nie dać ode-
tchu, ustawnie ich badając, czy im na czem nie zby-
wa, czy zdrowi są, czy spali długo i wygodnie, czy uwa-
żają jego broń i szaty, jak im się podobają jego stad koni?

Długo Władysław był nieszczęśliwym jego
troskliwości przedmiotem. Lecz zaniósłszy raz cicho
a bez ogródki do jego ucha gorącą prośbę, aby go
dłużej nie nudził, z takim staraniem i zapamiętało-
ścią opadł za to Zdzisława, iż biedny ten młodzian
już odtąd z jego szponów wyrwać się nie zdołał.

— Gdy zobaczycie nasze zamki, zwierzyńce, o-
grody i stajnie; gdy skosztujecie przypraw i potraw wy-
kwintnych naszej kuchni — rzekł do niego — sposobiąc
się do wiadomej uczt — wtedy dopiero poznacie w ca-
łej obszerności znaczenia, czem jest Czesław z Choj-
nicy, książęcy podskarbi.

W dniu oznaczonym wybrali się zrana książęta
i księżne do odległego o mil trzy od Poznania miejsca,
gdzie już na nich oczekiwał z niecierpliwością gospo-
darz. Stał on w bogatym i połyskującym od srebra
i złota stroju na czele kopijników nadwornych,
o dwoje staj od swego zamku, na wielkim i opasłym
niemieckim koniu, z którego za zbliżeniem się dostoj-
nych gości przywitał ich naszpikowaną łaciną oracyą.
Napisał mu ją książdz pleban. Ten, przebrany za ko-
pijnika dla niepoznaki, każde słowo szeptał mu do
ucha, nim je Czesław wymówił. Tak znakomitego
pióra oracya brzmiała w następującym sposobie:

— *Serenissime Dux!* Oświecona Córo Walde-
mara Króla Szwedzkiego! *Gaudium et honor* ubo-
giemu domkowi naszemu wkrótce niewyniosłe limina,
wstąpić ma niebawnie dzielność i mądrość ożeniona

z pierwszego blasku wdziękami; powaga i rodowi-
tość, mająca zawrzeć świetne Connubium z Cnotą;
et Fortitudo wzdychająca do pięknej nadziei, pomija-
jąc inne splendory *in sago et toga* zdobyte, jednym
świat cały *Majoris Poloniae Heu!* potrafieli się zdo-
być na godne przyjęcie tylu cnót i Eminencyi, które
widzę *pulsantes* do wrót tego zamku naszego. Tu
wypada razem z grzesznikiem zawołać: *Domine non*
sum dignus ut intres, przez te stojące otworem bra-
my. Ale *fiat voluntas tua*. Amen.

Po tej uczonej przemowie prowadził Czesław ksią-
żąt ku bramie zamkowej, gdzie był zgromadzony cały
dwór jego. Nagłość przybycia tak dostojnych gości
sprawić musiała, że większa część tych ludzi, dwor-
skimi nazwanych, nie miała obuwia na nogach.
W ogromnej sieni u schodów czekała na gości go-
spodyni domu z córkami, z których jedna tak wysoka
i chuda jak matka, a druga tak mała, lecz dwa razy
otyłsza od ojca, obiedwie zaś tak ustawicznie na
rozkaz matki książętom dygały, że starsza upadła na-
reszcie przed schodami jak długa, a młodsza tak
mocnego dostała zatachnięcia, iż musiano na jej ratu-
nek przywołać lekarza. Gdy weszli książęta do izby
gościńskiej, rozmaitemi obiciami ozdobnej, których na
każdej ścianie było kilka rodzajów i kolorów, Czesław,
opanowawszy według przyjętego zwyczaju Zdzisława,
wrzasnął mu wielkim głosem do ucha:

— Nieprawdaż jak tu wspaniale i pięknie!

Na odezwanie się Przemysława:

— Obszerny, jak widzę, macie zamek i dosyć
wygodny — nasz miły podskarbi rzekł:

— To fraszka, miłościwe książę, o miłe od
tego miejsca stawiamy teraz sto razy większy.

— Jak piękne obicia na ścianach — przemówiła
Ryxa.

— To fraszka, Miłościwa pani — rzekł urado-
wany gospodarz. — Sprowadzamy z Brabancyi nowe,

na których wzór przez nas samych wydany. Cesarz dla siebie podobne sporządzić rozkazał.

— Wielki to czyni zaszczyt waszemu smakowi — odpowiedziała księżna.

— Jakże daleko — zapytała Jadwiga — rozciąga się ten sad, leżący za zamkiem?

— Tylko dwie mile — odrzekł natychmiast Czesław — szkoda, że pora roku nie pozwala obejrzeć wszystkich bogactw i kosztowności w drzewach i krzewach, których nam dostarczyły obficie trzy części świata. Lecz jeżeli miłościwe panie pozwolą, moglibyśmy przejść teraz do szklarni, czyli ogrzanego sztucznie i dowcipnie ogrodu. Tam rzadkie, wykwintne i najdelikatniejsze rośliny śmieją się z mrozów i śniegów i z najburzliwszych urągają się wiatrów.

Gdy na to wszyscy przystali, prowadził ich Czesław przez ciasne i ciemne kurytarze do budowy tak nazwanej szklarni, w którą gdy weszli, znowu do ucha Zdzisława zawołał:

— Nieprawda, jak porządnie i pięknie, ręczę, żeś wasza miłość nic podobnego nie widział w swem życiu.

Już mu miał Zdzisław odpowiedzieć początkowymi wyrazami jego ulubionego tłómaczenia się sposobu, lecz przyrodzona uprzejmość wstrzymała słuszną poniekąd otwartość.

Dla rzadkości szkła w tym wieku wszystkie okna szklarni Czesława były z grubego skórzanego papieru namoczonego w oleju. Zamiast zwykłych, dziś w podobnych budynkach kanałów piecowych, ogrzewały go dwa wielkie kominy, przy których ustawione w garnkach rośliny po jakimś czasie marnie ginęły. Co się ich rzadkości dotyczy, nie było tam prawie nic innego, prócz drzew bobkowitych, bukszpanu, rozmarynu i kilku krzaków ziół lekarskich.

— Ten rzadkiej piękności rozmaryn dostałem ze Sztokolmu — rzekł Czesław do Ryxy, chcąc przez to w jej sercu mile wzbudzić wspomnienia. — To nadzwyczajnej

wielkości bukszpanowe drzewo przywiózł nam prawie listkiem z Rzymu jeden pielgrzym szanowny. To ziółko, którego imię mam napisane wielkimi literami w mojej sypialni, dostało mi się w podarunku od wielkiego mistrza Krzyżaków, sprowadzone z Syrii lub Palestyny. Racście się zastanowić, miłościwe księżęta, nad korzennością woni każdego listka. — Był to poprostu majeran.

— Prawdziwie — odezwiała się Ryxa — schludnie tu dosyć i pełno mocnego zapachu.

— Wszystko to fraszki — odpowiedział Czesław — względem tej budowy, którą w podobnym kształcie i smaku przy nowym zamku założyć rozkazaliśmy. Szkoda, że nas jutrzejšie łowy w inne wcale zaprowadzą strony. Lecz cóżto? słyszę odgłos trąbki i dzwonów — pewnie już nasz kuchmistrz ucztę księżęcą wypieszył. Ach kochany i jedyny Zdzisławie — rzekł, obracając się do wiernego przedmiotu swych poufań, dopiero to zobaczycie nowego rodzaju diwy i nauczycie się, jeśli tylko zdołacie, jak to potrzeba żyć na świecie.

Ogromne stoły, przy których ochoczy gospodarz usadowił swych gości, zginały się pod ciężarem srebra, miedzi i cyny, a tak wiele miały na sobie rozmaitego jadła, iżby można było bez trudności nie szczupłe wojsko nakarmić. Widziano na nich całego jelenia, umalowanego szafranem. Dzik obłany masłem i kameryzowany ziarnkami pieprzu, trzymał w zębach ogromny pęk bukszpanowych gałązek. Szczupak niepośledniej wielkości obsypany był różnobarwnym makiem w rozmaite floresy i wzory. Zające i króliki pływały w misach nalanych piwem lub miodem, mając w pyskach i uszach kwiaty, wyrabiane z chrzanu. Gospodarz, który nie zasiadał do stołu, lecz sam usługiwał księżętom, uchylając się niekiedy od tej uprzejmości, przychodził do Zdzisława, bez przestania powtarzając te słowa:

— A co, nieprawda, że wytwornie i smaczno!

Miodu i piwa wielka była obfitość, a wina cypryjskie, malmazyje i węgierskie, roznoszono dostawnie. Za każdym zjawieniem się nowego ich rodzaju ogłaszał Czesław metrykę, pochodzenie i dzieje tego, jak sam powiadał, bogów napoju. Przy końcu uczty podano rzadkiego smaku i starości węgryzna. Przemysław, o którym mówiono powszechnie, że dobrego wina nie wyleje za kołnierz, rzekł, skosztowawszy to ostatnie, do promienistego od radości Czesława:

— Przyznać wam muszę, miły nasz podskarbi, że takiego wina dawno nam pić się nie zdarzyło.

— To fraszka, miłościwy panie — odpowiedział gospodarz — mamy jeszcze lepsze w naszych piwnicach.

— Schowajże je waszmość dla lepszych od nas gości — rzekł na to urażony nieco Przemysław.

Poznał przecie swój błąd Czesław; a śmieszek książęcy odezwał się natychmiast:

— Tak mądre słówko uczyniłoby zaszczyt najpierwszemu na świecie śmieszkowi.

Po uczcie prosił gospodarz, ażeby jego dostojni goście raczyli rzucić oko na konie. Było ich w istocie niemało, a niektóre nawet niepośledniej piękności. Lecz przesada, z jaką Czesław o każdym z nich rozprawiał, rodowód, który do każdego przytaczał, zalepty i przymioty, które w długiej osnowie swym spleśniającym wyliczał głosem, tak unękały przytomnych, że wszyscy wyglądali z utęsknieniem końca tej sceny. Wydało się nareszcie, że jedne i też same konie, dla powiększenia ich liczby, po kilka razy przed oczy widzów wracały. Następnie musieli książęta i wszyscy przytomni oglądać zbiór dzikich zwierząt, które na uwiązaniach wiedziono, lub znoszono na rękach do ogromnej i dwoma kominami ogrzanej sieni. Były tam żubry, tury, jelenie, danielle, niedźwiedzie, wilki, lisy, zające, króliki, nawet świnki morskie i je-

że. Za okazaniem każdego nowe wykrzykniki, nowe przytoczenia dziwnych zdarzeń, nowe pochwały. A że rzadka uciecha bez zgryzoty na świecie, przeto nasz Czesław zmartwił się niemało, nie mogąc nigdzie znaleźć Zdzisława, który zmęczony ustawicznym odwoływaniem się do niego, uciekł nareszcie i tak się schował przed jego oczyma, że już nie miał do kogo obracać się i wołać:

— A co nieprawda, że to rzadkie, wspaniałe, jedyne?

Wtem nakryto dwa małe stoliki na środku sieni, w niejakiej odległości od siebie. Za wziętem pozwoleniem od Przemysława, zasiadł przy jednym gospodarz, a do drugiego wszystkich obecnych zapraszał koleją; lecz każdy mu się serdecznie wymawiał, aż Przemysław rozkazał śmieszkowi swojemu dopełnić usilnej prośby Czesława, który natychmiast ogłosił, że dwa wyuczone niedźwiedzie przy dźwięku harmonijnej muzyki będą tańcowały pomiędzy stolikami, bez naruszenia siedzących i samych stołów.

— Pocieszny to będzie zaiste widok — rzecze śmieszek — para dzikich zwierząt, tańczących około tak zacnych i mądrych mężów.

Wtem odezwały się dudy.

— Dalejże Misiu, dalejże Bisiu — zawołał Czesław, tak się zwały albowiem owe uczone niedźwiedzie.

Zrazu posłuszne swym groźnym przewodnikom zwierzęta, tańcowały dość składnie pomiędzy pełnym odwagi Czesławem a niezupełnie dowierzającym ich cywilizacyi śmieszkowi. Lecz Miś bardzo lubił gorzałkę. Zwąchawszy ją na stoliku Czesława, począł się do niej umizgać i stracił zupełnie miarę tańca swojego, a następnie tak się rozzuchwilił, że napróżno dozorca całej swej używał powagi, napróżno wołał na niego i groził. Zniecierpliwiony niedźwiedź rzucił się nareszcie na stolik obiema łapami i ze wszy-

stkiem, co tylko było na nim, obalił go na ziemię. Przestraszony Czesław począł uciekać około drugiego stolika. Niedźwiedź gonił go ciągle i żwawo. Zły przykład pociągnął za sobą kolegę. Nasz śmieszek, prawie na pół umarły, siedział nieporuszenie wtedy, gdy dwa niedźwiedzie, zamiast uciesznych skoków, ścigały koło niego własnego pana. Nakoniec pochwytali ich dozorczy.

Ta scena śmiech powszechny wzbudziła, lecz nie odjęła odwagi gospodarzowi w dalszych rozrywkach, które nastąpić miały z kolei. Bo zaledwie odpoczęli nieco ze znużenia i śmiechu goszczący, gdy Czesław wszedł do izby w ubiorze wieśniaka i tak do Przemysława przemówił:

— Miłościwy panie! lud wiejski, zgromadzony przy murach tego zamku, chcąc wesołością uczyć swego księcia i pana, równie jak tyłu oświeconych, zacnych i wielmożnych gości, doprasza się przezmnie, swojego rządcę i gospodarza, o wolność okazania przed waszem obliczem swojej ochoty przez narodowe skoki i tany.

Skinął głową na znak zezwolenia Przemysław, a w tej chwili gospodarz, uchylwszy drzwi wielkich, głosem, ile być może najdonośniejszym, zawołał:

— Sam, sam, parobki, dziewczuchy i niewiasty. Sam, sam, za mną i dalejże rażno, hoca, hocal!

Gdy Czesław zostawił wieśniaków przyrodzonej ich wesołości i gdy dwie jego córeczki, za pasterki przebrane, zmęczycywszy się należycie przehasanym mazurem, usunęły się na stronę, widok ludu prostego, weselącego się bez przymusu w obecności swych książąt, ze wszystkich uroczystości dnia tego najwięcej ujął goszczących i był im istotnie przyjemnym. Po tym wiejskim balu obawiali się wszyscy nowego wyskoku dowcipu niewyczerpanego Czesława. Lecz ten prawie z płaczem obwieścił, że na zakończenie uroczystości miał być wyprawionym dyalog, napisa-

ny i skomponowany przez księdza plebana, w którym trzy znaczne persony, to jest: rodowitość, wspańiałość i męztwo, miały uczciwie a wykwintnie rozmawiać z sobą na nadwornem teatrum o wypadkach krajowych i szczęśliwych konjunkturach rozmaitych na przyszłość aspektów, wszakże autor i dyrektor tego rzadkiej piękności dramatu, zachorowawszy nagle, zniewolił go, z niewypowiedzianym żalem serca, do odłożenia tej sceny na dzień następny. Okazało się wistocie, że ksiądz pleban, zmęczony poddawaniem Czesławowi słowo po słowie przygotowanej na powitanie książąt oracyi, ochrypli zupełnie, co w całym zamku wielkiego smutku stało się przyczyną, a z czego mocno uradowani goście, mogli nareszcie udać się na spoczynek.

ROZDZIAŁ VIII.

Władysław opuszcza Poznań.

Nie będziemy wzorem Czesława nekali czytelników naszych opisem wszystkich uroczystości i zabaw, na które się wysilił dla uczczenia swych gości. Powiemy tylko nawiasem, że łowy, których Przemysław wielkim był miłośnikiem, odbyły się w dniu następnym bardziej szczęśliwie, niż porządnie. Tak wielki tłum ludu zgromadził na tę ochotę Czesław, że jedni zawadzali drugim, a w zgiełku i hałasie zniknęła prawdziwa uciecha. Nabito jednak mnóstwo zwierzyny, której zarosła wtedy lasami Polska dostarczała bez wielkich zabiegów. Obiad myśliwski, pod wystawionym umyślnie szalasem wśród kniei, tą samą trącił przesadą, jakiej byliśmy świadkami podczas wczorajszej uczt i znów przerażające Zdzi-

sława wyrazi: „a co nieprawda?” brzmiały mu w uszach co chwila.

Gdy już wracano przed samym wieczorem do zamku, napotkał Przemysław wysłaniec krzyżacki, który przybiegłszy gońcem do Poznania i nie zastawszy księcia, puścił się za nim niezwłocznie. Przywiezione przez niego nowiny musiały być niepośledniej wagi, gdy Przemysław, rozmówiwszy się z nim na osobności, rzekł do Czesława:

— Wybaczcie, że na tę noc gościem waszym być nie możemy. Ważne sprawy powołują nas do Poznania, lecz nasza małżonka z resztą goszczących może się u was zatrzymać do jutra.

— Wola wasza, miłościwy panie — odpowiedział Czesław — jest dla nas prawem. Bolejemy jednakże, że wasza miłość nie będzie obecną wyprawić się mającemu dyalogowi, który dziś wieczorem chybić nas nie może.

— Nie zbędzie wam na słuchaczach — odrzekł Przemysław; — zostawiamy wam najzapaleńszego miłośnika podobnych rozrywek, Zdzisława.

Potem, pożegnawszy Ryxę i kaliskie księżniczki i przemówiwszy zeicha do Władysława: „Czekany was, książę, jutro w Poznaniu,” wraz z wysłańcem krzyżackim śpiesznie odjechał.

Nazajutrz od świtu wszystko było w nadzwyczajnym ruchu około poznańskiego zamku. Wyprawiono kilku posłańców w rozmaite strony. Nadworne wojsko Przemysława odebrało rozkaz przygotowania się do rychłej potrzeby. Gdy Władysław wraz z Ryxą i kaliskimi księżniczkami powrócił, dał czas niejaki Przemysławowi do udzielenia odebranych nowin małżonce. Wiedział on dobrze, iż ta pani dzieliła wszystkie jego troski i zabiegi około sprawowania państwa i że Przemysław o wszystkim uwiadamić ją musiał. Wkrótce jednak pospieszył do osobnej księżnicy poznańskiego komnaty, z której za je-

go nadejściem oddaliła się Ryxa. Na jej twarzy malowała się radość, z niejaką niepewnością zmieszana.

— Smutną wam — rzekł do Władysława Przemysław — mam udzielić wiadomość. Brat wasz Leszek, książę krakowski, żyć przestał.

— To być nie może — odpowiedział Władysław. — Nikt zapewne o tem nieszczęściu nie byłby pierwszej uwiadomiony odemnie.

— Zawierzcie temu — odezwał się Przemysław — chociaż snadno nam pojąć, iżbyście wierzyć nie radzi. Krzyżackie wiadomości zawdy się potwierdzają, zwłaszcza, gdy brzmia niemile dla ucha polskiego.

— Nieba! — zawołał Władysław — jeśli to jest prawda, że brat nasz Leszek nie żyje, ujeliście mu ciężaru, który dźwigał z niemalym móżolem. Lecz na jakież ciosy wystawiacie drogą naszą ojczyznę?

— Toć to jest — odpowiedział Przemysław — nad czem się nam bacznie zastanowić wypada. Przez zbieg okoliczności przeciwnych Leszek nie mógł oznaczyć następcy. Mówią, że Gryfina wyrzucił na nim jakieś nieprawne pisma, dla przekazania tronu polskiego Wacławowi czeskiemu.

— To nigdy nie przyjdzie do skutku — przerwał Władysław.

— Tymczasem — prowadził dalej Przemysław — szlachta krakowska wezwać miała do tronu Bolesława, mazowieckiego księcia, gdy brat jego Konrad zawiódł ją w nadziejach dobijania się siłą o ofiarowaną sobie przed niedawnym czasem dostojność.

— I na to — rzecze znów Władysław — nigdy się dobrowolnie nie zgodzimy.

— Władysławie — odezwał się z niejaką czułością książę poznański — chciejcie nas posłuchać spokojnie, a ja wam z całą otwartością serca i zamiary nasze odkryję. Księstwo Sieradzkie należy się wam bez wszelkiej wątpliwości z prawa następstwa, jest to bowiem część dzielniczy ojca waszego. Ale na pol-

ską monarchię, czyli raczej na księstwa: Krakowskie, Sandomierskie i Lubelskie, nie można nastąpić po przodkach, trzeba być raczej obranym. Znacnie to lepiej od innych, jak ważną i korzystną dla ojczyzny byłoby rzeczą, aby te państwa posiadał potężniejszy od innych książę. Tym tylko sposobem możnaby z czasem przywrócić Polsce blask i powagę królestwa.

— Myśli nasze — odrzekł Władysław — od samego prawie dzieciństwa zwracają się jedynie do tak wielkiego celu. Jakkolwiek mamy niezaprzeczone prawo do następstwa po bracie na wszystkie jego dzierżawy i kraje, gdyby jednak wola narodu objawiła się za innym i gdyby ten zdolnym się okazał ze swej strony ku podniesieniu królewskiej korony, kto wie, czybyśmy chętnie nie zdziałali z własnych praw naszych milej dla dobra ojczyzny ofiary?

— Pomówmy bez ogródki — odezwał się na to Przemysław. — Cała Wielkopolska władzy naszej ulega. Pomerania czeka nas z czasem. Wielu przedniejszych panów z Małej Polski wzywa mię do tej przewagi. Ci nawet, którzy pragną z naszej korzyść stać niemocy, Krzyżacy, ofiarują swe wsparcie do osiągnięcia polskiego berła.

— Temu tylko nigdybym ufać nie radził — przerwie Władysław. — Lękać się nam należy nawet darów i ofiar z rąk chytróści.

— Któż wie — odrzekł Przemysław — czyby się nie zawiedli w swoich nadziejach. Jeśliby ich ofiary wypadły z korzyścią dla kraju, pocóż się na ich szczerłość oglądać? Władysławie! wiemy już po części, jakie są serca waszego życzenia. Powierzona od ojca nad kaliskiem księżniczkami opieka daje nam wyłączne prawo stanowczego głosu w ich postanowieniu i losie, a ręka pięknej Jadwigi godna jest większej nawet ofiary. Jeśli więc zechcecie dopomódz do tego, czego po nas dobro ojczyzny wymaga, Przemysław potrafi być wzajemnym,

Nic na to nie odpowiedział Władysław. Zanurzony w głębokich myślach, stał długo naksztalt nie-mego posagu. Napróżno chciał zbadać Przemysław bystrem swem okiem to, co sercem jego mიაło. Dostrzegłszy nareszcie przez chmury przemijających myśli wewnętrzną radości promyk, rzekł do niego z czułością:

— Władysławie, idź i pomów o tem otwarcie z Jadwigą.

Jakkolwiek pożądaną była dla niego każda chwila, w której mógł się zbliżyć do jedynego swych życzeń przedmiotu, przecież tym razem wszedł z zasnuconą twarzą do komnaty księżniczek, a cała jego powierzchowność zdradzała umysł skolatany niepoślednią troską.

— Dla Boga — odezwała się, widząc go w tym stanie Jadwiga — cóż wam się przydarzyło, Władysławie, że pierwszy raz w życiu widzę was znękanych nadzwyczajnym smutkiem? Znany nam jest wprowadzić ten cios, którym was nieba dotknęły. Lecz są inne równie ważne dla was i dla Polski względy, które powinny wziąć górę nad smutkiem. Możecież nam to odkryć, co serce wasze udręcza?

— Jadwigo — rzecze Władysław — czuła, dobra, nieporównana Jadwigo! jestże na świecie jaka tajemnica lub skrytość, którąbym przed twem okiem zataić potrafił. Wiecie to dobrze, że od tej chwili, w której was poznałem, jedynym i najwyższym celem życia mojego jest pozyskanie waszych względów.

— Jeżeli to was — odpowie Jadwiga — takiej troski nabawia, tedy śmiało zaręczyć możemy, iż nie macie się o co frasować. Jeśli zaś godną jestem waszej ufności...

— Do niej właśnie — odrzekł Władysław — uciec się pragnę i z ust twych powziąć dalsze losu mego wyroki.

Tu odkrył Władysław w krótkich wyrazach całą trzęść odbytej z Przemysławem rozmowy.

— Cóż więc postanawiacie? — zapytała z żywością Jadwiga.

— Zrzec się praw naszych — odpowiedział Władysław — a przestawszy na szczupłych po ojcu i bracie dzierzawach, wieść życie spokojne i dalekie od wszystkich świetnych na przyszłość widoków obok lubej i ukochanej istoty.

— Rozumiem wszelako — przemówiła Jadwiga — że na to i naszego zezwolenia potrzeba.

— Mogę o nim wątpić na chwilę — odrzekł Władysław — po tem wszystkim, coście nam tak uprzejmie wynurzyć raczyli?

— Któż to wie — przerwała Jadwiga — czybyście się nie zawiedli? Nie, Władysławie — rzecze z powagą zadziwionemu i jakby od nagłego gromu odurzałemu młodzieńcowi. — Wasza myśl i postanowienia byłyby zaszczytne i przyzwoite, gdyby wam los kazał się urodzić w gminie ludzi, niepowołanych do wyższych zamiarów. Szczęście domowe, jakiego używać może pojedynczy obywatel w miernym urodzony stanie, nie powinno być jedynym przedmiotem życzeń prawego Piastów potomka. Wiem ja, że droga, którą chcesz obrać, prostsza jest i krótsza do osiągnięcia spokojności wewnętrznej, bez których nie ma podobno szczęścia na ziemi. Ale któż wam dał prawo zrzekać się spadającego po bracie i słusznie do was należącego dziedzictwa? Przystanaż na to te kraje, których opiekę chcecie porzucić na los i bez okazania najmniejszej ochoty do spełnienia w tej mierze wyższych Opatrzności wyroków? Nie, Władysławie, jeżeli nasze przyzwolenie koniecznie jest potrzebne w tak ważnej sprawie, nigdy go nie uzyskacie. Znam ja umysł naszego opiekuna i najbliższego krewnego, Przemysława. Wiele on ma świetnych przymiotów, które go czynią godnym berła i najpiękniejszej korony. Ale ten, który ma wstąpić na stopnie poświęcone tronu, ten który ma jaśnieć w blasku monarszym, na wzór

dla ludu całego, powinien przystępować do tego zaszczytu z sercem tak czystem i nieskażonem jak niebo dnia pogodnego, jak to, które nas oświeca, słońce. Tego właśnie nie dostaje Przemysławowi, a zgon cnotliwej Ludgardy będzie na zawdy obarczającym jego sumienie ciężarem. Z jakąż ufnością powierzą się jego monarszej i ojcowskiej opiece tak liczne ludy, kiedy jej znaleźć nie mogła przy jego boku tak czysta i niewinna istota, jaką znał świat cały Ludgardę? Pomnę inne wady, od których żaden człowiek i żaden nie jest wyjęty monarcha, a które nawet zepsuci ludzie zowią w panujących cnotami. Niech oni mienią podejrzliwość przezorną i konieczną ostrożnością, skrytość głębokim rozumem, a chytrość wielką sztuką mądrego ludźmi władania. Niepojęte to są znaczenia dla głowy niewieściej prostych i jasnych wyrazów. Jabym nad nie przeniosła staropolską ufność, otwartość i szczerłość, bo te pociągają ku sobie umysły i serca. Przebaczcie, jeśli waszą skromność obrażę. Nie dlatego, żeście potrafili zniewolić serce szczerzej i prościej Jadwigi, ale dla miłości świętej prawdy, którą od ojca czcić i kochać się nauczyłam, powiem wam otwarcie i bez żadnej ogródki, że Władysław, książę brzeski i sieradzki, zdolniejszym jest nierównie w mych oczach do władania Polską i uszczęśliwienia jej ludów, niż Przemysław, książę wielkopolski i przyszyły dziedzic Pomorza.

— Któżby w sobie nie poczuł szlachetnej dumy — rzecze na to Władysław — słysząc sąd tak pochlebny, wyrzeczony z ust piękności i cnoty? Lecz jeśli pójdę za twojem przeważnem zdaniem, jeśli zechcę dobrać spadającego na nas dziedzictwa, w coż się obrócą jedyne serca naszego życzenia?

— Władysławie — przerwie mu z żywością Jadwiga — ty chyba w Boga nie wierzysz. Jeżeli jego oku miła jest zgoda dwóch serc czystych, jeżeli ich związek nie sprzeciwia się świętym i niecnotliwym

Wszemmocności wyrokom, jacyż mocarze lub króle przeszkodzić temu zdołają, co Bóg swem potężnem skinieniem potwierdził? Może się odwlec stanowcza chwila, lecz nie przeminąć bez skutku. A wreszcie, gdyby dobro tej ojczyzny, do której przyrodzoną miłość wyssałeś z mlekiem, gdyby szczęście tych ludów, do których berła powołanym jesteś, wymagało po tobie tak lekkiej i drobnej z uczuć serca twojego ofiary, nie byłżebyś zdolnym znieść jej z mężką stałością?

— Ach, kochana i cnotliwa Jadwigo — odezwał się z rozczuleniem Władysław — nie rozdzieraj serca mego tą myślą, na której wzmiankę żalność okropna całego mię przenika! Pójdę z odwagą dopomnieć się od swoich i obcych spadającego na mnie po bracie dziedzictwa, dołożę wszelkiego starania do zjednania szczęścia tym ludom, które Bóg przodków władzy mojej powierza, będę pracował nad przywróceniem blasku i potęgi ukochanej ojczyźnie a w nagrodzie mych usiłowań i trudów spuszczę się na nie-zbadane Wszemmocności wyroki. Ale niech mi nikt nie daje do wyboru między berłem świata całego a posiadaniem serca nieporównanej Jadwigi!

— Żegnam cię, Władysławie — rzekła odchodząc córka Bolesława. — Spodziewamy się wkrótce powitać was książęciem krakowskim i dziedzicem polskiej monarchii.

Po tej rozmowie, która zupełnie wopak wypadła Przemysławowi zamiarom, zimne było spotkanie się tych dwóch młodych a jednemi myślami zajętych książąt. Władysław oświadczył, że w tak ważnym przedmiocie musi się porozumieć z bracią, to jest z Ziemomysłem, dobrzyńskim, i Kazimierzem, łęczyckim książęciem. Przemysław w tej odpowiedzi jasną wyczytał odmowę.

ROZDZIAŁ IX.

Opanowanie i utrata Krakowa.

Władysław zebrać mógł jakie takie wojsko na poparcie praw swych do Krakowskiego księztwa. Już wtedy panował w stolicy Henryk, książę wrocławski, przez zabiegi mieszczan krakowskich niemieckiego rodu na tronie osadzony. Ten, widząc zbliżającą się burzę ku sobie, udał się do swych dziedzicznych krajów, spuściwszy obronę Krakowa na Przemysław, sprotawskiego, i Bolesława, opolskiego książęcia. Pod Siewierzem spotkały się wojska szląskie z polskimi. Długo Władysław nie chciał wydać hasła do boju, widząc przeciw sobie rodaków. Gdy jednak rozpoczęte namowy żadnego skutku nie wzięły, gdy szląscy książęta obstawali upornie przy prawie Henryka, przemogła nad wstrętem Władysława niezbędna walki konieczność. Klęska Szlązaków pod Siewierzem była tylko wstępem do straszliwego boju, który się nazajutrz pod Skalą wytoczył. Poległ na placu w samym kwiecie wieku, pełen świetnych nadziei młodzieniec Przemysław, książę głogowski, pan na Sprotawie. Bolesław Opolski raniony, dostał się w niewolę. Reszta wojska poszła w rozsypkę. Gdy w dniu następnym zbliżył się Władysław ku murom Krakowa, wyszedł naprzeciw niemu Paweł biskup na czele duchowieństwa, senatorów i szlachty, witając go krakowskim i sandomierskim książęciem. Na długą i układną przemowę — rzekł mu Władystaw:

— Tuszymy sobie, przewielebny pasterzu, że od-tąd lepiej nam, niż dotychczas sprzyjać zechcecie.

— I skłonność nasza — odpowiedział biskup — i bezpieczeństwo wskazują nam tę powinność.

Miłym i obfitym w świetne nadzieje był wstęp

Władysława na krakowską stolicę. Książę ten w całej sile wieku młodego, pełen dzielności i cnoty, a na dewszystko pełen świetnych o przywrócenie potęg ojczyzny zamiarów, wszystkich dobrze myślących pociągał serca ku sobie. Jedni mieszczanie krakowscy rodu niemieckiego trwali w zaciętym przy księciu wrocławskim uporze. Już nie żył wtedy Betmann, a Fuggier, jego następca w urzędzie krakowskiego wójta, całą duszą sprzyjał Szlązakom. Dlatego, pomimo jawnej radości krajowców z wyniesienia Władysława, tlał w stolicy ukryty ogień niechęci, który wkrótce w zgubny się pożar zamienił. Ostrzegano księcia, że wysłańcy miejscy skrycie i nocami wyjeżdżali dość często ku Szląsk; radzono ostrzejszych uchwycić się środków. Ale szlachetny i sam daleki od wszelkich podejrzeń Władysław, wzgardził niezgodnemi z jego sercem przestrogi.

Zaledwie uwiadomił pokrewne sobie księżęta o szczęśliwym osiągnięciu spadłego po bracie dziedzictwa; zaledwie zgromadził około siebie radę z przedniejszych panów polskich i tej wszelkie swe nadzieje i widoki objawił, gdy pośród ciemnej nocy powstały w mieście tumult zbudził go spoczywającego na zamku. Porywa się z łoża, chwytając za oręż, rozkazuje stanąć straż pod bronią, sam zaś dla lepszego przekonania się o powodach rozruchu bieży na miasto. Krzyki walczących po domach przeświadczały go, że nieprzyjaciół wkradł się do murów, a odgłosy, niech żyje Henryk, niech ginie Łokietek! (tak albowiem dla małego wzrostu nazywany był Władysław od ludu) przekonały go o roztropności przestrogi, które usunął na stronę. W tem położeniu rzeczy chce się schronić do zamku, ale Szlązacy, wpuszczeni w miasto przez Mikołajską i nową bramę, obszedłszy około kościoła Świętej Trójcy, już Grodzką ulicę napelniali morderstwem i krzykiem. Schroniony do klasztoru Świętego Franciszka i chcący się do dzielnej przygotować obro-

ny, spotkał tam wiernego sobie Zdzisława, który mu doniósł, że mieszczanie krakowscy, sprowadziwszy w jaknajwiększej cichości wojsko Henryka, księcia wrocławskiego, wpuszcili je o północy czterema bramami do miasta, że ci z jego żołnierzy, których rozłożono po domach, rozbrojeni przez mieszczan lub pobici przez Szlązaków, żadnego mu nie przyniosą ratunku, że liczne wojsko Henryka już naciera na zamek, że jedyną do zbawienia drogą jest uchylenie się z murów Krakowa.

Nie chciał poddać się tej radzie Władysław. Kazał zatarasować wszystkie do klasztoru przystępy, uzbrajał czeladź klasztorną i do dzielnej zachęcał obrony, postanowiwszy w tem położeniu oczekiwać blizkiego poranku.

— Nie może ich być tak wiele — rzekł z uniesieniem — aby podolali liczbie Polaków, a gdy dzień ich zdradę oświeci i gdy się nasi o mojej obecności dowiedzą, pośpieszą uwolnić nas z tej niespodziewanej klauzury i pomszczą się na zniemczonych Szlązakach tak ohydneho podstępu.

— Miłościwy panie — odpowiedział Zdzisław — całe miasto jest z nimi w zмовie, trudno nam będzie nawet w tem ukryciu jutra doczekać, bo już wiedzą, żeście wybiegli z zamku na miasto i już was wszędy szukają.

W tej chwili wzmógł się zgiełk około Franciszkańskiego klasztoru. Zbrojne żoldactwo z orężem i z pochodniami w ręku zaczęło do bram szturmować.

— Otwórzcie — wołano na potrwożonych mnichów — otwórzcie, lub was z dymem puścimy, tu się ma Władysław znajdować!

— Tak jest — odezwał się z okna bramy, do której szturmowano — jest tu Władysław, ale się was zdrajcy nie lęka i wkrótce zuchwalstwo wasze ukarze.

— Niech żyje Henryk! — odezwały się liczne głosy, tłukąc kamieniami i siekierami do bramy.

Już były pękły pierwsze zapory; już łoskot szturm tłumiał buntowne okrzyki, a jeszcze Władysław trwał mocno w przedsięwzięciu swoim bronić się do ostatniego i drogo swe życie sprzedać.

Ten upór w złą myśl pobudził Zdzisława, że go gwałtem prawie ze schodów bramy sprowadził i do drugiego wywiódłszy podwórza, rozkazał silniej jeszcze zaprzeć drugą, przez którą przechodzić musieli szturmujący bramę.

— Zaklinam was na Boga — rzekł — ratujcie drogie dla nas i dla ojczyzny życie!

Gdy się szturm wzmagał co chwila, Władysław ze Zdzisławem, za radą przełożonego klasztoru, zrzucili swoje odzienia, które dla niepoznaki zatopiono w studni, a przywdziawszy mnisze habity, spuścili się po sznurach z okien klasztornych za miejskie mury.

Właśnie od strony zwierzyńca żadnego nie było obcego żołnierza, a zgiełk, coraz mocniejszy przy kościele Świętego Franciszka, przez mury tylko przenikał.

Uradowany Zdzisław, że mu się zrećźnie udało uniknąć wraz z Władysławem broni Szlżzaków, podniosłszy oczy w tej okropnej nocy ku niewidomym gwiazdom, dziękował w cichości ducha Opatrzności, że ich z tak bliskiego niebezpieczeństwa wyrwała. Potem obadwa w tej nowej dla siebie postaci oddalili się od murów zdobytego przez wojsko Henryka Krakowa.

Krótko trwał szturm do klasztoru Świętego Franciszka. Gdy już Władysława nie było, sami mnichowie otworzyli bramy. Długo ich dręczono, ażeby wskazali, gdzie się ukrył Łokietek. Lecz wszystkie groźby, prześladowania i męki rozbiły się o ich niezachwianą stateczność. Nazajutrz załoga zamkowa, powziawszy wieści o zniknięciu Władysława, poddała się przewyższającej Szlżzaków sile. Przychylni Wła-

dysławowi Polacy opuścili tajemnie stolicę, a Paweł biskup, który nie miał szczęścia do wszystkich prawie krakowskich książąt, został wtrącony do więzienia w imieniu Henryka, obwołanego powtórnie księciem krakowskim, sandomierskim, lubelskim i polskim monarchą.

Powziawszy ślady ucieczki Władysława, Szlżzacy rozesłali natychmiast liczną pogoń z tym jak najsurowszym rozkazem, ażeby go żywego lub nieżywego przystawić.

Drżały na tę wieść przywiązane do ojczyzny serca; nie tajno było nikomu, że Władysław, uchyliwszy się z Krakowa, samowtór z trudnością ujęć zdoła.

Półki noc trwała, uchodzili bezpiecznie przebrani za mnichów Władysław z wiernym Zdzisławem. Szleszczący gdzieś i niedawno wyrwany z pod kajdan zimy Prądnik, kierował ich kroki ku dzikim i lesistym okolicom, które przebiegał, a które im w części były znane. Lecz zaledwie oddalili się o milę od Krakowa, światło dnia pogodnego przymusiło ich do szukania przytułku. Zapukali z wolna do chaty młynarskiej, a letnia niewiasta otworzyła im niskie drzwi ubogiego mieszkania.

— Bóg z wami, ojcowie — rzekła, spostrzegłszy dwóch ludzi w zakonnej odzieży.

— Nie moglibyście nam, matko — przemówił Zdzisław — udzielić krótkiego pod tym dachem schronienia.

— Z ochotą — odpowiedziała — wnijdźcie, ojcowie, do tej chatki i pobłogosławcie tym, którzy w niej mieszkają.

Przyjawszy skromny z mleka posiłek, prosili o miejsce do spoczynku, twierdząc, że utrudzonym nocną z Krakowa ucieczką przed szczęką oręża Szlżzaków i klęskami zdobytego miasta nieuchronny jest spokojny do wywczasu przytułek.

Strapiona ich powieścią młynarka i drżąca o życie męża, który dniem wprzód wyszedł do miasta,

wskazała im bróg czystej słomy, w którym przespać się mogą spokojnie. Przyjęli jej ofiarę i udali się natychmiast za udzieloną im radą.

Zdzisław znużony usnął zaraz głęboko, lecz przemyślający o świeżych zdarzeniach Władysław, już, już dosiegający celu swych życzeń i tak rychło ze szczytu potęgi strącony, niedawno pan obszernych krajów i polski monarcha, dziś tulający się po własnej dziedzinie w mniszkiej kapicy, niedawno donoszący wszystkim książętom o swoim wyniesieniu, dziś, przed dojściem nawet tych wieści, z berła przodków wyzuty—przez cały ten dzień, który dla niego zdawał się być wiekiem, nie mógł ani na chwilę zmrużyć ociężałych swych powiek. Częste psów szczekanie i rozmaite ludzkie głosy zniewalały go do pilnej na wszystko, co się działo około niego, baczności. Nieraz wyraźnie słyszeć mu się zdawało swe imię. Szczęk broni i dzikie żołnierstwa wykrzyki, przeświadczały go, że musi on być ich poszukiwan przedmiotem. Często chodzono wokół broga, w którym leżał ukryty. Lecz gdy usłyszał, lub mu się słyszeć zdawało płaczące jęki niewiasty, która mu dała przytułek, i wzywające litości głosy, które wziął za skutek męczarni zadawanych dla odkrycia jego schronienia, wzruszony do głębi serca nieszczęściem, jakie ściągnął na ludzi niewinnych przez samo zbliżenie się do ich mieszkania, zbudził śpiącego Zdzisława i sam się chciał wydać w ręce szukających go żołnierzy.

Z trudnością wstrzymał Zdzisław to uniesienie szlachetnej duszy, co mu się zaledwie powiodło, zaklinając go na imię ojczyzny i cnotliwej Jadwigi. Pod wieczór ucichła grożąca im burza. Gdy więc noc okryła swym kirem wszystkie przedmioty, wyszli jak tylko może być najciszej ze swojej kryjówki, a nie chcąc tych, przy których chatce byli dotąd schronieni, nowego nabawiać kłopotu i zachowując

wynurzenie wdzięczności do lepszych czasów, ostrożnie i przezornie w dalszą puścili się drogę.

ROZDZIAŁ X.

Niebezpieczeństwa Władysława.

Od trzech godzin szli ciągle bez żadnej godnej wspomnienia przeszkody. Zaledwie znaczne ścieżki prowadziły ich przez zarośla i lasy. Mijali troskliwie wszystkie mieszkania i chatki, z obawy, aby gdzie nie napotkać rozsypanego po całej okolicy żołnierstwa. Już znużenie brało górę nad ich siłami, gdy wdrapawszy się od Prądnika ku wyniosłej skale, blask światelka ujrzeni. Tu postanowili szukać schronienia, tembardziej, gdy im głód i zimno dokuczać poczęło. Lecz zbliżywszy się do miejsca, które było celem ich kroków, zdziwili się mocno, nie widząc dachu. Namacawszy wszelako drzwi niskie, zakołatali do nich pocichu.

— Bóg z wami — odezwał się z pod skalistego mieszkania głos im nieobcy i po krótkim oczekiwaniu otworzyły się drzwiczki, a światło bladej lampy błysło przed ich oczyma.

Jakże się zdumiał, jak się uradował Władysław, spostrzegłszy wychodzącego przeciw sobie znanego mu, równie jak Zdzisławowi, pielgrzyma.

— Tyżś to w tych miejscach, mężu pobożny? — zawołał pierwszy Władysław.

Błysnął na niego żywszym wzrokiem od światła lampy, którą miał w ręku, nasz pielgrzym, a w tem miejscu pustelnik, i rzekł, najmniejszego nie okazując zdziwienia:

— Rączo biegań, jak widzę, koła czasu, jeszcze tak rychło nie spodziewałem się ujrzeć was w tem ustroniu. Ale niech będzie pochwalone to święte Imię, przed którym drżą źli ludzie i piekielne potęgi. Spełniły się przeznaczenia wyroki: poddajmy się ich woli z pokorą. Wnijdźcie więc do tej pustelni, bo temu rycerzowi — rzecze, wskazując na Zdzisława — niedogodne jest, jak widzę, mnisze odzienie i niedość go zasłania od zimna.

— Jak okropna zmiana niestatecznego losu przywiodła nas do tego smutnego stanu! — przemówił Władysław z wetchnieniem.

— Wiem o wszystkim — odpowiedział pielgrzym — i spodziewałem się, że wkrótce mogę się stać użytecznym dla tych, którzy chcący lub nie chcący Kraków opuścić musieli.

— Ale dlaczego? — zapyta go znowu Władysław — zastajemy was w tem dla nas nieznanym miejscu?

— Tu jest od niedawnego czasu — odpowiedział pustelnik — stalsze nasze mieszkanie, bo już sprzykrzyły się ustawne po świecie wędrówki i ten, którego zwaliście dotąd pielgrzymem, osiadłszy w tem miejscu, pod temi skałami, znanym jest powszechniej pod imieniem pustelnika z kaplicy Grodzkiej.

— W temże to miejscu Salomea wiodła żywot pobożny? — zapytał Władysław.

— Nie inaczej — odrzekł pustelnik — i między temi odludnemi skałami, a uświęconemi cnotami bogobojnej pani, a córki Leszka Białego, dopełniam pokuty za ciężkie winy względem jej... — Wtem, rzuciwszy oko na Zdzisława, któremu tajemnica jego dziejów świadomą nie była, dodał: — Ale na cóż wam przywozić na pamięć zbrodnie zuchwałego i niegodziwego Świętopelka? Milej wam pewnie będzie z ust moich powziąć wiadomość, że nad skałami, tworzącymi ściany naszej pustelni, wznosił się niegdyś śla-

wny w dziejach wojen domowych polski i warowny zamek, Skałą nazwany. W nim następnie przemieszkowały wraz z Salomeą Bogu poświęcone dziewice. Lecz gdy ich klasztor przeniesiono w mury Krakowa i gdy czas wywarł swą potęgę nad opuszczonym zamkiem, uniosłem z dawnej a upadającej kaplicy zamkowej to, co jeszcze pozostało z przedmiotów czci i uszanowania, poświęconych obrzędowi świętej naszej wiary, a wykuwszy dla siebie w głazach to szczupłe, które widzicie, mieszkanie, obok niego nową założyłem kaplicę, którą wam muszę natychmiast okazać.

Weszli do przyległej kapliczki. W niej, oprócz ołtarza i naprzeciw niego leżącej ławki z kamienia, nic więcej widać nie było.

Po złożeniu głębokiego przed ołtarzem pokłonu, rzekł znowu pustelnik: *Annę Małą* *M. M. P.*

— Ta ławka wiele mnie pracy kosztowała, ale też warta jest niemało. Podnieśmy ją nieco złączonemi siłami. Widzicie ten otwór? Tędy, spuściwszy się do podziemnego lochu, można ująć snadno przed oczyma całego świata. Ta jaskinia łączy się przez podziemne przejścia z ową obszerną, w której przed niedawnemi czasy spoczywaliście po oswobodzeniu z rąk tatarskich kaliskich księżniczek. Gdy nas nie stanie, możecie kiedyś z tego odkrycia korzystać.

Spuszczono ławkę na miejsce, na którym spoczywała zwyczajnie, a gdy do izdebki wrócili, radził im pustelnik, po użyciu szczupłego posiłku, udać się do wczasu.

— Kto wie — odezwał się do nich — jaki wam jutro nocleg przypadnie?

Usłuchali zbawiennej rady, a pustelnik, nie gasząc światła, otworzył ogromną księgę i w niej całą swoją zatopił uwagę.

Ledwie upłynęła godzina od chwili, w której Władysław ze Zdzisławem, leżąc na gołej ziemi, zda-

wali się niejakiego używać wywczasu, gdy szczęk oręza i silne do drzwi stukanie baczność pustelnika wzbudziły.

— Otwórzcie—zawołano odedrzwi—a otwórzcie natychmiast, w imieniu Henryka, krakowskiego i wrocławskiego księcia. Głos ten nie zostawił żadnej wątpliwości względem zamiarów tych, co się zbliżali.

— Zaraz, zaraz — odpowiedział pustelnik. — Wytrwałość i milczenie — rzekł przytłumionym głosem do zbudzonego Władysława.

Za otwarciem szczupłych drzwiczek ujrzał czterech zbrojnych szląskich żołnierzy, których przywódca, zostawiwszy dwóch na straży, wszedł z jednym do pustelniczej izdebki.

— Musicie nas ścierpieć na czas niedługi — rzekł tenże do pustelnika — tyleśmy się nawłóczyli po lasach i skałach, że potrzebujemy spoczynku.

— Możecie go użyć podług waszej woli — odpowiedział pustelnik — o ile szczupła nasza pustelnia dozwoli.

— Niech kaci porwą — rzekł pierwszy — tego waszego przekłętogo Łokietka. To musi być lis tego szczwany, kiedy się nam tak gracko wywinał. Takieśmy go mądrze podeszli w Krakowie, że chociaż, jak mówią, czuje gdy trawa rośnie, a przecież nas nie przewąchał, aż gdyśmy byli wśród miasta. Ucieka do jakiegoś tam klasztoru. My za nim. Tłuczemy, szturmujemy, wybijamy. Sam na te uszy słyszałem, jak nam przygryzał z tej mnisiej nory. Dobywamy jej nakoniec. Przetrząsamy wszystko, aż do mysich kryjówek. Patrz, ojczu, zniknął, jakby wpadł na dno piekielne. Ale cóż to za smyki leżą tam w kącie na ziemi?

— To są zakonnicy podróżni, którzy się przebiegają ku Wielkopolsce — odrzekł pustelnik.

— Zkąd oni się tu przywlekli? — zapytał Szlązak.

— Podobno od Krakowa — zawołał pierwszy —

to mogą być podejrzone ptaszki. W tych czasach nikomu, nawet mnichom, wierzyć nie można. Dajcie mi światła, niech ja im zajrzę w ślepie.

— Nie budźcie ich, błagam was — rzecze pustelnik, ledwie teraz przysnęli, a przyszli tu bardzo strudzeni.

— Jakieś zakazane twarzyska — odezwie się szląski rycerz. — Zostawmy ich tak do jutra, przy dniu snadniej ich obejrzyć przyjdzie. Słuchajcie, staruszk, nie zasłyszeliście czego przypadkiem o tym niegodziwcu, którego wy Władysławem, a my nazywamy Łokietkiem? Mówcie otwarcie, a jeśli byście go wytropić zdołali, ręczę wam, że ta pustelnicza chatka, mogłaby się bez cudu na piękną kamienicę zamienić słuchajcie mnie z uwagą, tysiąc sztuk czystego złota wyznaczył nasz książę za głowę żywego lub nieżywego Łokietka.

— Co, tysiąc sztuk złota! — zawołał pustelnik — piękna to sumka i za 30 lat trudno podobnej uzbierać, a pewnie nam tak długo żyć nie przypadnie. Ej, gdybyśmy o tem wprzód nie wiedzieli, kto wie, czybyśmy wam nie wyświadczyli tej małej przysługi, bo choć on lisem, jak mówią, podszyty, ale i my nie z jednego pieca chleb jedli. Powiedźcież mi, jak ten Łokietek wygląda?

— Jest to — rzekł Szlązak — mała i niepoczesna figura, tylko się brodą a wąsami nadstawia. Widzieliśmy go dokładnie w bitwie pod Skalą. Latał jak opętany, a bił, tłukł, siekł, kaleczył, jak gdyby mu kto sto rąk przypawił. Ale się temu dziwić nie można, bo twierdzą powszechnie, że on ma z dyablem przymierze, a my, prości i prawowierni ludzie, chcieliśmy go zwyciężyć orężem! Wielkaż to sztuka pokonać blahe i ulomne stworzenia mocą piekielną?

— Jużem rozumiał — odezwie się pustelnik — że trzymam jedną ręką za worek z tysiącem sztuk złota, bo widziałem temi oczyma dziś, przed samym

zmrokiem, jak coś podobnego zmykało tam oto tą nad rzeczką ciągnącą się doliną i pewnie ten zbieg nie doszedł dalej, jak do Pieskowej Skały. Ale kiedy twierdzicie, że on ma z dyablem przymierze, to będzie trudniej daleko. Tacy ludzie mogą na dzień przynajmniej pięćdziesiąt mil ulecieć. A wreszcie musicie wiedzieć, że bies ma prawo siedem razy przez dobę coraz to inną wziąć na się postać. Już człowiek, już ptak, już mnich lub żołnierz, już zając, już niemiec w kusej katanie. Macież wy z sobą wodę święconą?

— Toć to jest nasze największe nieszczęście — odpowiedział Szlżak. — Wczoraj przez cały dzień ścigałem go trop w trop. Ci mówią: tedy przeszedł przed chwilą, ja za nim, a tu myk wiewiórka. Drudzy powiadają: za ledwie pół godziny ubiegło, jakśmy go widzieli. Dalejże my ścigać, a wtem spostrzegamy krogulca. Ledwie wyszliśmy z lasu, patrzymy, jak się coś pławi w mniszym kapturze. To on — zawołałem z radością — bracia! dalejże za nim, dopędzamy niebawem, aż tu zamiast tego, cośmy dopiero widzieli, pokazuje się wół, czy osioł. Jakżo można było czarownika ułapić? A nasz komendant jak najsurowiej przykazał koniecznie schwytać go i nie powracać do Krakowa z próżnemi rękoma.

— Ale cóż wam złego wyrządził Władysław — zapytał pustelnik — że go tak zawzięcie ścigacie?

— Co złego? — odpowiedział z żywością żołdak — oj bracie, niemało on napieklł biedy poczciwym ludziom na ziemi. Kto mu dał prawo odbierać naszemu książęciu Henrykowi podległy mu Kraków i związanemu z szatanem trapić lud jego rycerski i zacny? Przecież to nasi książęta na Szląsku od starszej linii Piastów pochodzą; przecież to piękniej ulegać cesarzom lub królom czeskim, niż lada jakim wojewodom lub starostom, a ten wichrzyciel chciałby wszystko pomieszać i zburzyć. A wreszcie nie byłżem ja

to w bitwie pod Siewierzem i Skałą? Służyłem pod znakiem Przemysława głogowskiego na Sprotawie. Co to było za zacne i poczciwe panisko! Sam król czeski kochał go jak brata. Patrz, proszę, staruszk: ten niegodziwy Łokietek jak zaczął krzyczeć i wołać na swoich kopijników przeklętych, jak uderzą na nas z tyłu gdyby zdrajcy, tak nasz kochany książę spadł z konia. — Pardon, pardon! — zawoła. — Nic z tego — odezwie się tam gdzieś przyczajony Łokietek i skłuli go na śmierć, gdyby jakiego warchlaka. O, nigdy ja temu zdrajcy nie zapomnę śmierci mojego pana!

— Wszystko to, coś wypłół, fałszem jest — odezwał się ze swego legowiska zniecierpliwiony Władysław.

Dreszcz śmiertelny przeniknął w tej chwili strwożonego i, jak się snadno domysleć, nie śpiącego Zdzisława.

— A tobie cò do tego — odezwał się Szlżak — ty czarno okapiona paiko?

— Co mi do tego? — rzecze znowu Władysław — wiedz przeto, że nie pozwolę nikomu czernić Władysława, choćby on był wrocławskim książęciem, a nawet i królem czeskim, nie dopiero jurgieltowym knechtem.

— Knechtem! — krzyknie rozgniewany Szlżak. — Ja jestem szlachcic tak zacny, a może i lepszy od waszych książątek. Komu to wdawać się do rozmów rycerskich! Jak będzie mowa o chórze lub brewiarzu, o diurnale lub mszale, o habitach albo sandałach, o paskach lub trepkach, o refektarzu lub kuflu, to mi wasze na plac wyjeżdżaj, lecz o czem innem wara! albo ci krótko a węzłowato tą gandziarą odpowiem.

— U was Niemców, albo raczej zniemczających Polaków — odrzeknie Władysław — może tylko jednemu herzogom mówić jest wolno. U nas nie zawarte usta nikomu. Wiedz przeto, że twój Przemysław

ślaw Sprotawski zginął pod Skalą najprzód dlatego, że go niemieckie lancknechty sromotnie odbiegły, a potem, że nie chciał przyjąć żadnego miru, czyli po waszemu pardonu; a ktokolwiek śmierć jego Władysławowi przypisze, ten jest nikczemnik i kłamca.

— Co? — rzeknie zdziwiony Szlżak — on tak o bitwach rozprawia, jak gdyby mu po dobrej konsolacji zapustnej śniło się, że z paskiem w ręku uwijał się pomiędzy zbrojnymi w szable i dzidy hufcami? Słuchajno, ty musisz być lisem w skórze baraniej, a ja mam sposób nietrudny domacania się prawdy. Wstawaj mi natychmiast z tego barłogu.

— Nic z tego nie będzie — odpowiedział śmiało Władysław.

— Co, on jeszcze hardy — zawołał pierwszy — hola! lancknechty, zwlecście mi tego tam mniemanego zapewne mnicha i przywieďte tu przed moje oblicze.

Zdziwił się niemało Władysław, widząc w tej chwili wchodzących do pustelni dwóch sążnistych żołnierzy, których obecności nie domyślał się bynajmniej.

W tym stanie rzeczy próżny był opór przeciwko sile; gdy więc podniósł się z ziemi, poprawiając nieco kaptura, odezwał się pustelnik do dowódcy szlżskich żołnierzy:

— Wybaczcie temu biednemu bratu, którego zły duch do sprzecznania się z wami nakłonił.

— Nie dbam ja wcale o jego zuchwalstwo — odpowiedział mu Szlżak — ale wszystko mi się zdaje, że to ptak podejrzany, trzeba mu więc zajrzeć w oczy dokładnie. Chodź tu bliżej i nie zadzieraj tak głowy do góry, jak gdybyś chciał gwiazdy na niebie rachować. Tak kusy, jak tamten, ale grubszy cokolwiek, a ta broda i wasy niepodobne do opisu. Nie wiem prawdziwie, co sądzić. Zkądś tu przywłókl się?

— Z Krakowa — odpowiedział Władysław.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Po co?

— To do mnie tylko należy.

— Gdzie iść zamýślasz?

— Tam, gdzie mnie prowadzi moja potrzeba.

— Chodź tu ty drugi i długi braciszku — rzekł, wskazując na Zdzisława — to smyk nielada, lecz mniejsza o to. Ale, ale — przemówił, odwracając się do swoich — jakież to były te mnichy, do których Łokietek przedwczoraj w czasie szturm schronił się przed nami?

— Jeśli mię oczy nie mylą — rzekł z nich jeden — taka jest ich odzież, jak tych dwóch, którzy tam stoją przed wami.

— Na moją głowę — odezwał się dowódca — to być może wistocie. Miłe braciszki, czyście wy mnichy, czyli nie, powódrujecie natychmiast z nami do Krakowa; tam się wszystko wyjaśni.

— Aieź — odpowiedział Zdzisław — nam nie w tę stronę droga wypada.

— Nie szkodzi — rzecze mu na to Szlżak — nie jeden z ludzi gdzieindziej zmierza, a trafi tam, gdzie nigdy się nie spodziewał.

— Ależ ten gwałt — zawołał Władysław — to znieważenie zakonnej sukni, którego się nie dopuścili nawet dzikie Tatary...

— Jeśli wam chodzi o suknie — odpowiedział Szlżak — to je natychmiast zwlec z grzbietów waszych rozkażę; wszakże ktoś tam wyrzekł: że cnota, nie odzież, czyni zakonnika.

— Nie urągaj nam — odezwał się Władysław — i wiedz o tem, że chyba gwałtem.

— Tak jest, gwałtem — krzyknął Szlżak — kiedy nie chcecie inaczej. Hej, lancknechty, powiążcie mi natychmiast tych szumnych kapłanów. To zuchwalstwo, ten głos, ta wiadomość rzeczy i wypad-

ków, terazbym mojej zdobyczy za sześćset sztuk złota nie sprzedał. No, dalej do stryczków.

— Szlachetni rycerze Henryka wrocławskiego księcia — zabrał głos pustelnik — ci biedni zakonnicy wiedzą dokładnie, że wyższej sile opierać się trudno, a potem nie mają oni innej broni, oprócz tych podróжных koszturów. Błagam was przeto, nie kaźcie ich wiązać, chyba gdy się z nimi w drogę udacie lub gdy wam będą oporni.

— My też z nimi — odpowiedział dowódca — niezwłocznie do Krakowa ruszymy, wszak już i świątać poczyna.

— Kiedy tak — odezwał się znów pustelnik — niech się spełni wola Boża. Ale mając do czynienia z rodakami i chrześcianami, ufam, że nie odmówicie im tego, co każdemu z nas po nocnym spoczynku przepisuje świętej wiary naszej obyczaj, a szczególnie tym, którzy chodzą w tej sukni. Wiem to dokładnie, bo ten sam noszę mundur, co oni. Raczcie więc zważyć, że nam nie wolno ruszyć się krokiem z tego miejsca, na którym nocowaliśmy, przed odmówieniem przepisanych pacierzy.

— Mniejsza o to — rzecze dowódca Szlązaków — niech się pomodlą, byleby tylko niedługo, bo miłsza jest Bogu krótka, a z serca modlitwa, niż próżne klepanie pacierzy.

— Zostawmy ich sumieniu i woli dłuższą lub krótszą modlitwę — odrzekł pustelnik — ale nie bądźmy im w tej mierze przeszkodą. Dlatego niech się udadzą do tej ciemnej kaplicy.

— Co, tu jest kaplica? — rzecze zdziwiony Szlązak — jeśli w niej modlić się mają, muszą ją wprzódy obejrzeć, bo u nas mówią, że bies czasem i po kaplicach drzemie. Gdy ja tam wejść, wy bracia — odezwał się do swoich — nie spuszczaćcie ich z oka.

Wziął światło, wszedł do kaplicy, wszystko obej-

rzał, wszystkiego się dotknął, a powracając, mówił do siebie:

— Ołtarz tylko wykuty w skale i ławka ze skały; żadnej kryjówki i jedne tylko drzwiczki, przy których sami usiąść musimy. No, wnikńcie i odprawcie tam swoje pacierze, tylko niedługo. Tę lampę i ćwierć godziny czasu zostawiam wam na to.

— Więcej im nie potrzeba — rzecze pustelnik — idźcie więc, bracia. Wszak prawda, że tam nic nie ma, prócz ołtarza i kamiennej ławki.

Te słowa domawiając, rzucił bystrem okiem na Zdźisława.

— Tak jest, nie ma nic więcej — odpowiedział Szlązak, zamykając sam drzwi do kaplicy, do której wszedł był Władysław ze Zdźisławem i siadając przy drzwiach na zydelku drewnianym. — Choćby się w ptaków zamienić mogli, nie wylecą mi z tej klatki. No, stary pustelniku, cóż mówisz o naszej zdobyczy?

— Macie wprawniejsze od nas oko do odkrywania głębokich tajemnic; lękam się przecież, aby wasze zabiegi nie były daremne.

— Daj mi, powiadam ci raz jeszcze, sześćset sztuk złota — przemówił Szlązak — za tego kusego mnicha, a pewnie ich nie wezmę.

— Ja zaś — odpowiedział pustelnik — nie dałbym nawet halerza z wielu i bardzo ważnych przyczyn, z których najmniejsza jest ta, że nie mam wcale pieniędzy. Ale mogę wam bezkorzystnie udzielić tego, na czym nie zbywa naszej ubogiej pustelni. Oto jest wyborna wrocławska wódeczka. Noc zimna, ranek wilgotny, dzień długi, a do Krakowa opętane trzy mile. Możeby nie wadziło napić się trochę.

— I owszem i owszem — odrzekli razem wszyscy szląscy żołnierze — prosimy, zwłaszcza kiedy wrocławska.

— Prawdziwa wrocławska, z tego tam domu, co to stoi w rynku na rogu pierwszej ulicy...

— Tak jest, tak — odezwali się znowu wszyscy — pewnie od naszej kmotry, pani Szpekowej.

— Nieinaczej — rzecze pustelnik — zapomniałem tylko jej nazwiska. A co, jak wam smakuje?

— Suta, cudna, wyśmienita, szumna.

— Może jeszcze po jednym?

— Zgoda, zgoda — odrzekli razem.

— Ach, dalibóg — odezwał się z nich jeden — pijąc tę wyśmienitą wódeczkę, myślę, żem do Wrocławia powrócił.

— A mnie — rzekł inny — widzi się w tej chwili, że mam przed sobą cały rynek naszej stolicy, jakby na dłoni.

— Hola, hola, koledzy! — zawołał dowódca — żebyście zaś sobie nie pozwolili zanadto. Wiecie, że nam potrzeba w drogę, a Bóg wie jeszcze, co nas może spotkać nim do Krakowa wrócimy.

— Ej, cóż to znaczy — rzecze pustelnik — dla takich rycerzy po dwa kubasy. Ale, ale; mam ja tu jeszcze kawałek solonego mięsa.

— A może i trochę masła? — zapytał jeden ze Szlązaków.

— A może i bułeczkę chleba? — odezwie się drugi.

— Wyśmienicie — krzyknęli chórem, widząc kiwającego głową pustelnika — to będą wyborne buttersznicle.

— A potem — rzekł pierwszy — znów po kubeczku.

— To się samo przez się rozumie — odpowiedzieli: *Das versteht sich*, jak mówią nasi dobrzy sąsiedzi, buttersznicle i schnaps, to jest brat i siostra.

Gdy się zabierali do krajania chleba i mięsa, rzekł wreszcie jeden ze Szlązaków:

— Poczciwy eremito, słuchajno, ty pewnie musisz być nasz landsman, bo ja, jak dawno żyw jestem, u żadnego z tych Polaków nie kosztował ani

takiego schnapsa, ani też widział choćby kawałek podobnego pekelfleisza.

Wtem dowódca, zrywając się ze swego siedzenia, zawoła:

— Jezus und Marya. Cóż to tak stuknęło w kaplicy?

— To musiał kawał kamienia oderwać się od skały — odpowiedział pustelnik, który najlepiej domyślał się przyczyny tego hałasu.

— Niepodobna — rzekł na to pierwszy — muszę ja sam zobaczyć.

— *Ach lieber Herr Leutnant* — zawołał jeden z żołnierzy. — Buttersznicle gotowe, jeszcze jedna tylko minuta.

— *Holl sie der Kukul* — odpowiedział niespokojny dowódca i porwawszy lampę, otworzył drzwi, prowadzące do kapliczki.

— *Himmel und Erde!* — zawoła głosem żałości — uciekli, skryli się, zniknęli! Koledzy, szukajcie i przetrząśnijcie wszystko. Ale nie, trzymajcie raczej tego starego franta. Zdrajco, chodź tu natychmiast i przyznaj się, gdzie ich ukryłeś. Powiedz, lub cię każę zabić, zamordować, zamęczyć.

— Jeżeli śmierć moja przyda się wam na co — rzecze spokojnie pustelnik — zadajcie ją natychmiast. Przeżyłem już lat dziewięćdziesiąt i kilka, niewiele mi się przeto należy na świecie. Ale jeśli się chcecie własnymi oczyma przekonać o prawdzie, patrzcie dobrze na wszystkie strony kaplicy, gdzie jest najmniejszy otwór, którędyby wyjść mogli? Wszędy skała, a skała; wszak się od was ani na krok nie oddaliłem; a samiście we drzwiach siedzieli.

— To pewnie być musiał ten sprzymierzony z szatanem Łokietek — rzecze dowódca, targając włosy na głowie. — O, ja nie mądry! jużem go trzymał w mych szponach, jużem sięgał rękoma worka z tysiącem sztuk złota i ten trup skościał wyrwał mi z gardła tak

piękną zdobycz... Więc na toś nas tak łudził? Przypłacisz mi drogo tę sztuczkę. Zwiążcie go dobrze, koledzy, on za tamtych pójsć musi z nami do Krakowa.

— Właśnie tam wybrać się chciałem — odrzekł pustelnik — a z wami będzie mi i bezpiecznie i weselej.

— Uradujesz się ty pewnie — przerwie mu Szlżak — gdy cię przed naszym dowódcą stawimy i gdy ci na pierwszym wstępie sto fukłów zaliczyć każe.

— Dlaczegożby miał ten dowódca — odpowiedział pustelnik — biednego starca mordować?

— Żebyś wyśpiewał prawdę — zawoła z gniewem Szlżak.

— Ja ją bez żadnego przymusu nietylko jemu, ale każdemu chętnie odkryję.

— Powiedz mi więc, zuchwalcze — przemówił pierwszy, a powiedz rzetelnie, byłże to wistocie Łokietek?

— Ja tak rozumiem — odrzekł niezmieszany pustelnik.

— Co, on tak rozumie? — krzyknął, nie mogąc się wstrzymać od gniewu Szlżak — tyś się tego domyślał, albo raczej tyś był pewnym i nie ostrzegłeś nas o tem?

— Wszakżeście twierdzili — rzecze na to — że go znacie dokładnie i żeście go gdzieś tam w bitwie pod Skałą widzieli.

— Inna rzecz w bitwie — zawołał pierwszy — a inna rzecz w mniszej kapicy. Ale ty chytry lisie...

— Nie przypisuj mi chytrłości — przerwał mu mowę pustelnik — staw się raczej na mojem miejscu. Gdyby jakie nieszczęście, które zbyt często i ludzi pospolitych i książąt dotyka, gdyby los jaki przeciwny przywiódł twojego pana, Henryka wrocławskiego, do szukania w twym domu przytułku i gdyby go tam ścigając nieprzyjaciele dosięgli, powiedz, czy

wydałbyś go w ich ręce? Nie zapewne, jeżeli cokolwiek pocziwości mieści się w twem sercu. Próżno nam chcecie waszego narzucić Henryka. Władysław jest naszym przyrodzonym panem i być nim musi koniecznie. Nie widzicie wy jeszcze, że go ręka Wszechmocności przed waszą bronią i wzrokiem zasłania? Jużście go dosięgali w Krakowie, jużście go trzymali w tem miejscu; tymczasem (o próżne zabiegi dowcipu i siły!) on, jak to nieprzeniknione powietrze, zniknął z przed oczu waszych i dojsć nawet nie możecie, którędy? Jeżeli dla przestrogi na przyszłość dotknęła go klęską i przeciwnościami Opatrzność, nie sądzić, że to jest dziełem waszej przewagi. Bóg jeden jest tylko potężnym i wielkim, a jego wyroków żaden rozum nie zbada, żadna siła oprzeć się im nie zdola. Precz więc z Henrykiem, bo Władysław, syn Kazimierza, musi być naszym królem i panem, a ten, któremu dzisiaj służycie: ten, którego znaki i herby na wieżach krakowskich jaśnieją, może w chwili, gdy to przemawiam, oddałby wszystkie korony i skarby za kroplę wody na ugaszenie ognia gorączki, co jego wnętrzości przenika. Dalej, śpieszcie tam, gdzie was zle wróżby prowadzą, już jestem gotów do drogi.

ROZDZIAŁ XI.

Kraków panów odmienia.

Gdy omyleni w swoich nadziejach Szlżacy wlekli skrupowanego pustelnika w mury Krakowa, Władysław ze Zdzisławem, spuściwszy się w lochy podziemne (czego się łatwo każdy domyśli) przez otwór przykryty kamienną ławką, korzystali z czasu i z odkrycia, jakie im pustelnik na ich szczęście po-

przednio uczynił. Ale blizka zgaśnięcia lampą, którą z sobą wzięli w te podziemne kryjówki, wzbudziła w nich silną obawę zablakania się w ciemnych przepaściach. Były tam miejsca pozwalające wygodnego przejścia, miejsca ręką natury wykute w skałach, lecz były i takie, przez które zaledwie pełzając, przecisnąć się zdołali. Już blisko godzinę strawili, szukając z troskliwością mogącego ich wyprowadzić otworu. Z dogasającą lampą gasły w nich pochlebne zrazu nadzieje, a zajmowała ich miejsce okropna obawa. Już byli przeświadczeni, że im ze znużenia lub głodu dokonać przyjdzie żywota; już polecali los swój i życie w ręce wszechwładnej Opatrzności, gdy z nagłą rozprzestrzeniły się przed nimi skały i wkrótce z najżywszą poznali radością, że się w tej jaskini znajdują, która ich przed niedawnym czasem uchodzących jak tatarskich wraz z kałaskimi księżniczkami przyjęła. Padli na kolana obadwa, a w chwili, gdy składali pokorne dzięki Bogu za wybawienie ich z tego okropnego stanu, światło lampy skończyło. Nowa bojaźń ogarnęła ich zmysły. Nie wiedzieli, co mają począć w tem, raczej zwierząt drapieżnych, niż ludzi schronieniu. Napróżno upatrywali światełka, które niegdyś widzieli przed ołtarzem, znajdującym się w jaskini. Przypomniał sobie Zdzisław, że dwa kominy, na których zwykle rozniecano ogień, były przy ścianie ze skały, co go skłoniło do szukania ich, macając pilnie i zwolna rękoma. Długo zawodziła go powzięta otucha. Nareszcie namacał miejsce pełne popiołu, który rozgarnąwszy powoli, dostrzegł isierkę ognia, tlejącą jeszcze w niedopalonym węgielku.

Żaden skarb, znaleziony w łonie ziemi przez chciwego łakomca, nie wzbudził tyle radości, ile ta drobna isierka.

— Tu, panie, tu się raczcie przybliżyć! — zawołał na oddalonego w inną stronę Władysława.

Natychmiast zebrawszy kilka węgli, dmuchać

i zwolna je rozżarzać począł i w krótkiej chwili przekonali się dowodnie, że się istotnie w znajomym miejscu znajdują. Niebawem odkryli zapas węgla i smolnych szczapek, które im zamiast lampy służyły. Trafili i do ołtarza i ujrzeni przed nim zagasić lampę z niedostatku oleju. Znaleźli nakoniec i niejaki posiłek w zapasie żywności, przygotowany ręką pustelnika, a tak go bardzo potrzebowali obadwa.

Przepędziwszy spokojnie i bezpiecznie całe dwie doby w tej podziemnej kryjówce dla zatarcia śladu swojej ucieczki, ledwie w trzeciej odważyli się wyrzucić na świat położonym w bliskości Prądnika otworem. A gdy spokojność całej okolicy przeświadczyła ich o oddaleniu wszelkiego niebezpieczeństwa, z nowymi siłami odwagi w dalszą zabrali się podróż.

Przedzierając się ku Sieradzowi, znaleźli sposobność zamienienia zakonnej odzieży na wieśniacze sieraki. Nie zbywało im na pomocy ze strony mieszkańców włości, ani na wiadomościach o krajowych wypadkach. Z nich się dowiedzieli, że szląskie wojsko poprzestało na opanowaniu Krakowa i że wysłane przez Władysława rycerstwo na objęcie księstwa Sandomierskiego, nie znalazłszy nigdzie oporu, zajęło spokojnie zamki Wiślicy, Oblekonia i Sandomierza i że je dzierży dotychczas w imieniu swego księcia i pana. Ta okoliczność skłoniła Władysława do zmienienia drogi, tak, że zwróciwszy swe kroki w Sandomierskie, w niedługim czasie znalazł się wraz ze Zdzisławem pomiędzy swoimi. Zdumiało się wielce sandomierskie i sieradzkie rycerstwo, widząc pośród siebie ukochanego księcia, o którego losie i życiu rozmaite i sprzeczne biegały pogłoski.

W tej chwili Kraków, czterykroć od śmierci Leszka Czarnego zmieniwszy pana, wystawionym był na nowe i szybko po sobie nadbiegające różnego losu koleje. Gdy pogoń szlaska przywiodła do murów

tego miasta letniego pustelnika, stawiono go natychmiast przed groźnym wojsk Henryka Wrocławskiego dowódcą. Jego odpowiedzi na wszystkie pytania, jego sędziwość i śmiałość, z którą wyznawał, iż był sprawcą oswobodzenia Łokietka, nie odkrywając atoli sposobu, przez który wykonał to dzieło, niemałe na umysłach sprawiły wrażenie. Lecz gdy duchem proroczym, jak niegdyś w pustelni, tak przed obliczem przedniejszych Szlżaków, przepowiadał zgon ich książęcia i pana i gdy w niedługiej chwili nadbiegły z Wrocławia goniec doniósł im o niewątpliwości tego wypadku, przerażenie ich podziwieniu się zrównało.

Uwolniono z więzów nadzwyczajnego starca, szanując w nim męża, w którym duch wyższy nad pojęcie spoczywał, i poczęto myśleć o środkach ostrożności, jakie im nakazywała śmierć Henryka, Pocziwym zwanego. Wkrótce dowiedziano się w Polsce, że ten książę, schodząc ze świata bezdzietnie, księstwo Wrocławskie Konradowi Głogowskiemu, a Krakowskie Przemysławowi Wielkopolskiemu odkazał. Ustąpili Szlżacy z polskiej stolicy, która w imieniu nowego pana przez Wielkopolanów zajęta została.

Dotknęły mocno te wieści Władysława. Wiedział on dobrze, że w Przemyśławie znajdzie potężniejszego przeciwnika od innych. Brzydząc się jednak samą myślą wojny domowej, długo nic nie śmiał przedsięwziąć na poparcie praw swoich do Krakowskiego księstwa, mimo nalegań wiernych sobie Polaków. Wtem nowy nieprzyjaciel obudził go z niepewności, w jakiej zostawał, naraziwszy niebezpieczną Polskę na nowe zawichrzenia i klęski.

Był nim Wacław, król czeski, pan naówczas potężny, a dla łagodności rządów od poddanych Dobrym nazwany. Za naleganiem Gryfina wysłał on do Polski nieszczerupłe wojsko, pod sprawą Tobiasza biskupa z Pragi, któremu Przemysław, książę wielkopolski, niezwłocznie odstąpił Krakowa. Natychmiast

zaleli Czechowie księstwo Krakowskie i znaczną część sandomierskiego, Wiślica i zamek Obleski uległy ich przewadze. Lecz Władysław, zgromadziwszy swe wojska pod murami Sandomierza, postanowił mocno stawić dzielne czoło całej wojsk czeskich potędze, do czego warowność posady i poświęcenie się jego rycerstwa świętej sprawie ojczyzny wielką mu były pomocą.

Mało jest miejsc w Polsce tak z samego przyrodzenia ważnych, tak zdolnych do korzystnej i uporczywej obrony, jak to, na którym mury Sandomierza wzniesione zostały. Wyniosłość wzgórza, panującego nad obszerną równiną, mnóstwo wąwozów, które wprzód przebyć wypada, nim się zbliży ku miastu, wspaniała Wisła, która, przyjąwszy w swe łono obfite wody Sanu, z bogatym plonem rzek spadających od Tatrów, upływa ku morzu, sposobność do opatrywania mieszkańców w rozliczne płody, jakich Szlżak, Podgórze krakowskie i samo pasmo gór dzielących Polskę od Węgier dostarcza, żyzność okolicy i położonych ku południowi pagórków, na których utrzymywano winnice, z wielu względów dawały Sandomierzowi pierwszeństwo nad samym nawet Krakowem. Nie doszło do potomności imię założyciela tego znakomitego miasta. Kazimierz, Sprawiedliwym nazwany, zostawszy w roku 1168 książęciem sandomierskim i lubelskim, najwięcej się przyłożył do ozdobienia go w gmachy, których ślady długo przeświadczały o troskliwości tego pana około dobra poddanych. Liczne klęski, złane na Polskę, nie oszczędzały Sandomierza, aczkolwiek ten warowniejszym był nad inne miasta. Pierwszy napad Tatarów w roku 1240 zadał mu cios okropny. W lat dziewiętnaście potem kusili się powtórnie Tatarzy o zdobycie Sandomierza, wiedząc z pewnością, że się mnóstwo bogatszej szlachty w mury tej twierdzy schroniło. Czego oręż nie zdołał, dokonała zdra-

da. Wierni sprzymierzeńcy i przewodnicy Tatarów do Polski, Rusini, uludzili nieprzezornego Krampe, sandomierskiego starostę, wywiódłszy go z murów warowni, pod pozorem zawarcia dogodnej dla obleżonych umowy. Dociekl podstępny nieszczęśliwy dowódca, ale już było za późno. Tłumy dziczy wcisnęły się do zamku i nie spodziewających się zdrady Polaków z bronią w ręku napadły. Dotąd trwa okropna tej rzezi pamiątka, w której do ośmiu tysięcy ludzi różnego wieku i stanu zginęło. Wszystkie dostatki uniesione w mury warowni i miasta, poszły na łup zwycięzców. Szczęśliwiej dla Sandomierza zakończył się napad Tatarów na Polskę pod panowaniem Leszka Czarnego. Wzmocnione mury zamku i miasta, za staraniem tego księcia zdołały odwrócić najuporczywsze natarcia, a odtąd Sandomierz zwracał na siebie większą bacznąść tych, których uznawał za panów. Dostyc miał czasu Władysław przed nadciągnięciem Czechów do opatrzenia się w żywność i inne ku obronie potrzeby. Tu oczekiwał na nieprzyjaciół w groźnej, ale spokojnej postawie, i wkrótce tamte miejsca stały się placem równie znakomitych walk i zapasów, jakimi były te, które pod murami Sandomierza w roku 1809 oręż polski wslawiły.

Ostatnia bitwa, na którą mury sandomierskie w tych czasach patrzyły, wielką klęskę Czechom zadała. Niemalę łupów i więźniów dostało się w ręce zwycięzców. Podział pierwszych odbył się w jak największym porządku. Przewodniczył Zdzisław, który, według powszechnego sądu, najwięcej się przyłożył do odniesionej korzyści. Lecz gdy obliczano i spisywano jeńców i gdy polscy dowódcy, zwyczajem wieków dawniejszych, poczęli dla siebie wybierać tych, których do swych usług przeznaczyć chcieli, posiadanie jednego jeńca rzuciło kość niezgody pomiędzy trzema rotmistrzami, która o mało nie stała się zgubną dla całego wojska. Więźniem tym był

ośmnastoletni młodzieniec, nadzwyczajnie pięknej urody. Każdy z upierających się przy nim wywodził swe prawa i niebezpieczeństwa, na jakie się przy pojmaniu onego narażał, żaden nie chciał ustąpić drugiemu. Napróżno Zdzisław starał się pojednać zwaśnione umysły. Napróżno, chcąc znaleźć pozór do usunięcia sporów, pytał się jeńca o stan, ród i nazwisko.

Rzewnemi łzami zalany, nic nie odpowiadał na pytania. Sami Czechowie, zajęci w niewolę, nie mogli dać o nim dokładnych wiadomości Polakom.

Za powtórzonem naleganiem nareszcie drżącym głosem przemówił, że to, o co go badano, samemu tylko księżęciu odkryje. Gdy spór gorszący wzmagął się co chwila, gdy przy każdym rotmistrzowi zgromadziło się niemało ludzi i gdy ci sobie nawzajem orężem przegrzała poczęli, ostrzeżony książę wyszedł ze swego namiotu i jednym poważnym spojrzeniem zwaśnionych do uciszenia się zniewolili.

— Chcecieżli, bracia — zawołał — dzikich naśladować Tatarów? Chcecieżli po świetnej walce burzliwością i niekarnością zdobyte podeptać zaszczyty?

Uwiadomiony Władysław o prośbie jeńca, kazał mu udać się za sobą i wszedł z nim sam na sam do pobliskiego namiotu. Uplynęła godzina, a powaśnieni rotmistrzowie nie śmieli przerwać cichości, oczekując niecierpliwie księżęcego wyroku, komu ten jeńiec przysadzonym zostanie.

Wyszedł nakoniec Władysław, na jego twarzy malowało się mocne wzruszenie. Rzuciwszy wzrok bystry na otaczające go rycerstwo, wyrzekł głosem spokojnym:

— Jeniec, o którego się waszmość spieracie, do nas odtąd należeć będzie. Z walki, którąśmy razem stoczyli, tej jednej dobijamy się nagrody.

Wrócili, szemrząc, na swoje stanowiska, jeszcze mocniej tym wyrokiem rozjątrzeni rotmistrzowie i z nie-

małemu podziwieniem dowiedzieli się potem, że Władysław, odprowadziwszy osobiście przywłaszczonego sobie jeńca do Sandomierza, porucił go staraniom pewnej poważnej matrony. Ta okoliczność dała pochop do dalszych poszukiwań i wniosków. Naza jutrz głosić poczęto, że jeńcem była przebrana za rycerza wyższego rodu czeska dziewczica. Dodawano nawet, że Władysław wybrał się dnia tego jak najraniej dla odwiedzenia jej w mieście i że tam bawił tak długo, aż póki go nie ostrzeżono, iż wojska rzeskie w nagłym odwrocie spieszenie ku Krakowu uchodzą.

Ta wiadomość pobudziła Władysława do rychłego pochodu. Wydawszy tajemne rozkazy względem jeńca swojego, ruszył za Czechami bez zwłoki i już mijał osadzoną nieprzyjacielską załogą Wiślicę, spiesząc za głównem wojskiem, gdy mu zabiegli drogę wysłańcy z tego miasta, żebrząc o uwolnienie z pod obcego jarzma.

— Miłościwy panie — rzekł jeden — zaledwie przeżyliśmy dni piętnaście od poddania Czechom naszego miasta, a już poznaliśmy dokładnie, co to jest obca przemoc i jarzmo. Domy nasze stoją otworem dla nienasyconego łakomstwa dowódców, a żony nasze i dziewczki (o hańbo!) posługiwać muszą, niby niewolnice, dumnym zwycięzcom. Nie masz dnia, ni nocy swobodnej. Bezustanku nas żoną do podwód lub do naprawy murów i strzelby. Wyczerpały się nasze spiżarnie i lochy, a obawa głodu, jeśli nas rychło wyzwolic nie raczysz, równa się samej rozpacz. Gdyby chodziło o podział ostatniego kęsa chleba ze swym ziomkiem, miłoby było głodu nawet przy cierpieć, ale oddawać resztę chudoby obcemu, który naszym braciom przegraża i jeszcze się z niedoli naszej uraga, to jest, czego znieść nie możemy. Zaklinamy was, panie, przez miłość rzeszczeńliwej ojczyzny, ulituj się przywiedzionych do ostatniej niedoli!

Rozczuliły serce Władysława te jęki wiernego ludu. Ze wszystkich miast polskich Wiślica dla położenia swego nad bystrą Nidą, dla żyzności pól i rozległości pastwisk, dla sposobności do budowy przez obfite kopalnie wapna, kamienia i gipsu, najmilszem miastem była dla niego.

— Powiedzcie braciom naszym w Wiślicy — rzekł do wysłańców Władysław — że jutro nas ujrzą pomiędzy sobą. A jeśli Bóg ojców pobłogosławi dzisiejszej nocy naszym zamiarom, ślubuję Mu wzniesienie świątyni pośród murów waszego miasta, która okazałością budowy jednemu tylko kościołowi Maryi Panny na rynku krakowskim ustąpi.

Dotrzymał Władysław jednego tej samej nocy, a drugiego z przeciągiem czasu. Szturm do Wiślicy, za umówioną pomocą mieszkańców, powiódł się nad wszelkie nadzieje. Oszczędzono załogę przed natarczywością i rozjutrzeniem zwycięzców.

Nazajutrz równo ze świtem, wjechawszy Władysław do miasta, przyjętym został jako wybawca od ludu. Cisnęli się starzy i młodzi na powitanie tego walecznego księcia. Niewiasty i dzieci całowali tę rękę, która ich uwolniła od jarzma. Kapłani błogosławili orężowi, który tak dzielnie błyskał i gromił wpośród zawziętych wrogów na zagładę ojczyzny. Otoczony wiernym swym ludem, sam oznaczył miejsce, na którem ślubowaną Bogu świątynię wzniesie postanowił, a która do dziś dnia uderza okazałością i poważną prostotą swojej budowy.

ROZDZIAŁ XII.

Piękną branka.

Gdy doszła do Krakowa wiadomość o klęskach Czechów, przestach ogarnął stronników Wacława,

a najszczególniej Gryfinę i niektórych mieszczan stolicy. Znali oni nieugięty umysł księcia, przeciw któremu powstał. Dlatego gotowali się we dnie i w nocy do zaciętej razem z Czechami obrony. Widziano wtedy mieszkańców Krakowa ostrzających miecze przeciw swym ziomkom. Byli tacy i ze szlachty, którzy dla osobistych widoków łączyli się z nieprzyjaciółmi ojczyzny na zagładę własnych braci. Takie są skutki wojen domowych i niepewności następstwa tronu. Niestety! każdy z porwanych tą burzą tworzył sobie oddzielne bożyszcze, któremu cześć monarszą składając, wcześniej obliczał mogące się ztąd pozyskać korzyści.

Przybył wkrótce w mury Krakowa Tobiasz, biskup praski, bez wojska. Poniesione pod Sandomierzem klęski, zostawione w Wisłicy i zamku Oblekońskim załogi, które się nakoniec w moc Władysława dostały, stopiły do mniejszej połowy groźne niedawno Czechów zastępy. Ta szczupła siła zaledwie wystarczała do obrony Krakowa. Lecz przeznaczony na dowódcę Hinko Berka godnym był przeciwnikiem Lokietka. On jeden nie upadał na umyśle. Urządziwszy resztę wojsk czeskich i gotowych do obrony swych murów mieszczan, zaręczył Tobiaszowi, że jeśli żyć będzie, przez rok cały nie ujrzy miasto na swoich wieżach innych znaków, prócz znaków Wacława. Polegając na tej rękojmi, albo raczej udając to przekonanie, którego nie dzielił, opuścił śpiesznie biskup praski mury Krakowa razem z Gryfiną, która poczęła z swej strony nie dowierzać czeskiej opiece. Przeniósłszy się księżna do Pragi na resztę dni życia swojego, poczuła z czasem wewnętrzne zgryzoty, że swemi zabiegami naraziła Polskę i Czechy na krwawe wojny i ciosy. Znienawidzona od własnych, stała się nakoniec pośmiewiskiem u obcych, którzy się wkrótce na jej umyśle i sercu poznali.

Tymczasem Wacław, powziąwszy niepomyślne

wieści o wojsku swem w Polsce i swobodniejszy w domu, za przybyciem Tobiasza biskupa i ciotki Gryfiny do Pragi wybrał się ku Krakowu na czele znakomitej siły, do której Otto, margrabia brandeburski, niegdyś jego opiekun, a zawsze nieprzyjazny Władysławowi, przyłączył się osobiście i z niemalym wojskowym posiłkiem. Ciągnęli śpiesznie na odsiecz Krakowa, który zaledwie przed ich przybyciem nie upadł, pomimo zaręczeń i dzielności Hinkona. Tak był bowiem czynnym Władysław, tak umiał dniami i nocą zręcznie nacierać na miasto lub udawać pozorze natarcia, że nie dozwolił wojsku czeskiemu ani chwili spoczynku. Już całe księstwo Krakowskie miał w swojej mocy; już nawet po kilka razy zajmował przedmieścia stolicy i znów je opuszczał dla wywabienia Czechów w otwarte pola. Raz udawał, że zrzekłszy się swoich zamiarów, cofa się w knieje i lasy, drugi raz, jakby nagle wzmocniony przybyłymi posiłkami, zamykał twierdzę i gotował się do zdobycia jej szturmem. Zdawało się, że wszędy się znajdował i że go nigdzie nie było. Znekany ustawicznymi walkami Hinko, za uzyskaniem rozkazów króla swojego, rozpoczął namowy o zawarcie rozejmu. Dogodnym był i dla Władysława krótki spoczynek. Nie myśląc nigdy przyzwolić na żadne z Czechami umowy, przystał wszelako na zawieszenie broni od doby do doby. Napróżno udawali się do polskiego obozu wysłańcy Hinkona, a nawet krakowscy mieszczanie. Są wieści, że pomiędzy innemi warunkami była mowa o wydaniu owego tajemniczego więźnia, czyli raczej czeskiej niewiasty. To tylko pewna, że Władysław kazał ją z Sandomierza do Wisłicy, a ztamtąd do Czerwonego Prądnika sprowadzić i że nikomu nie było wolno do niej przystąpić, oprócz samego księcia.

Gdy więc zawarty rozejm pozwolił mu na dłuższy czas oddalić się od swoich, przybył Władysław

samowtór przed wrota tego domu, w którym pilnie strzeżona mieszkała, a oddawszy swego konia kopijnikowi, wszedł dla odwiedzenia swej branki i zastał ją rzewnemi łzami zalaną. Była to dziewczica tak mało zwyczajnej piękności, że jej rysy pojedynczo uważane nic w sobie nie miały znakomitego; przecież połączenie ich w jedną postać tak było dziwne i ujmujące, że najdoskonalsza piękność nie mogłaby jej nigdy wyrównać. Włos czarny i połyskujący nigdy na bielszej nie spoczywał szyi, a bystre i podobnego włosom koloru oczy, dziwnie ożywiały twarz bladą, na którą za najmniejszym wzbudzeniem wewnętrznych uczuć około dwóch dołków jagód różowy występował rumieniec. Jej zęby nie były utoczone pod miarą, lecz nadzwyczajna ich białość tembardziej w oczy wpadała, że się okazywały zbyt rzadko z pod ust wąskich i koralowych. Piers, niezbyt wyniosła, zdawała się źle odpowiadać jej wysmukłej kibici; lecz za najłżejszem wzruszeniem jej serca mniemałbyś, że w niej wszystkie namietności obrały sobie ruchome siedlisko. Od chwili pojmania jej pod Sandomierzem, zrzucając rycerską odzież, właściwego płci swojej używała ubioru. Czarny kolor był dla niej najulubieńszym kolorem, co tak podnosiło jej płeć delikatną i białą, że ta, jak blask śniegu w dniu pogodnym, zdawała się razić oczy swoją świetnością. Ale cóż się porówna z rozmaitością uczuć, które jej sercem miotają? Już wesół jak dziecko, już w grubej pograżona rozpacz, już gotowa do wynurzeń najserdeczniejszych, już podejrzliwa i milcząca jak posąg, już błogosławiąca położeniu swojemu, już zlorzecząca tym wszystkim, którzy z nią mieli jakowąś styczność w swem życiu, już śmiejąca się aż do osłabienia, już jęcząca jak nieszczęśliwa i rzewnemi zalana łzami.

Gdy więc do niej zbliżył się Władysław, pełen względów i szacunku dla kobiet, lecz nie gardzący bynajmniej tą słodką rozkoszą, jakiej pełnemi rękami

udziela miła z płcią piękną rozmowa, będąc już oswojony z umysłem tego dziwnego a tak potężnego utworu, rzecze do niej:

— Od którejże strony powiewa wietrzyk swem skrzydłem ulotnem na piękną naszą brankę?

— Ach, Władysławie — odpowiedziała mu na to — płakałam rzewnem i długo, a płakałam jak dziecko, jak odstąpiona od całego świata istota, jak nieszczęśliwa, która własnego zgubiła kochanka, jak najnędzniejsze stworzenie, wystawione na wszystkie koleje srogiego losu i na śmiertelne ciosy potwarzy. Tyle już ubiegło czasu, jakeście mię odwiedzić zaniebdali. Myślałam w duszy, że tu już nie wróćcie w swem życiu. Płakałam, pomnąc na ród mój, ojczyznę i nieszczęśliwą miłość. Ale gdy was ujrziałam, nagle zatamowały się łzy moje. O! Władysławie, wy jesteście najwspanialszym, najmiłszym, najgodniejszym uwielbienia księżciem i gdybym się na to śmiała odważyć, całowałabym waszą rękę, jak rękę mojego ojca, dobrodzieja i brata, lub nawet jak rękę mego...

— Zapominacie się, piękna dziewczico — przerwał jej Władysław — tyle razy słyszałem, że wasze serce przebywa w czeskim obozie, a na teraz w murach Krakowa.

— Niech zginie na wieki — odrzekła z uniesieniem — ten okrutnik, niewdzięcznik, tyran i morderca! O! jakbym się cieszyła, gdyby się kiedy dostał w moc waszą. Wyżebrałabym sobie od was jego osobę, a wtenczas nie byłoby rodzaju dręczeń i upokorzenia, przykrości i wzgardy, którejby nie doznał odemnie. Prawda, że on mię kochał nad życie, że mi wszystko z największym poświęcał zapalem, że to był mąż pełen najszlachetniejszych uczuć i niezachwianego ramienia, że przy jego sercu spoczywałam bezpiecznie, że na jedno moje skinienie gotów był skończyć w przepaść i narazić swe życie na tysiączne

niebezpieczeństwa i ciosy. Jam go też z serca kochała. Dla niego zapomniałam własnej dostojności i gniewem króla brata mojego wzgardziłam. Dla niego poświęciłam wszystko, co tylko może posiadać kobieta. Teraz nawet, gdy to mówię...

— Kochasz go pewnie nad życie — dodał Władysław — widząc, że się zastanowiła na chwilę.

— Bynajmniej; jeśli jest jeszcze jaka kropelka tej słabości w mem sercu, którą sobie wiecznie wyrzucam, wysącze ją, wycisnę i nawet nie zostawię po niej pamięci. Cóż jest miłość? Jest to zapewne ta zgodność uczuć i ta harmonia między dwoma sercami, która, podobna do dźwięku nastrojonej harfy, co chociaż w różnych strunach zawarty, brzmi jednak zgodnie dla ucha. Ale ta boska harmonia, ta zgodność dźwięków nieporównana z niczem, skonała na zawsze w rozdziałającej nas przestrzeni. Już drugi miesiąc jęczę i niszczeję w niewoli, w którą wpadłam z jego przyczyny. Cóż on zdziałał od tak długiego czasu dla oswobodzenia mojego? Uzbroidł się silniejszym niż dotąd orężem? Wzgardziłże dla mnie niebezpieczeństw i śmiercią? Podburzyłże własnych lub obcych dla wydarcia mię z więzów? Wyprawiłże do nas jakiego posła, któryby mi oznaczył, chociaż odległą mego wybawienia godzinę? Ach! gdyby nie wy, wrpaniałomyślne księżę, jużby nieszczęsna Adelajda dawno przepadła z rozpacz. Czegóż tak smętni na mnie poglądacie oczyma? Pewnie waszą Jadwigę taką piękną obdarzyły Nieba, że przy jej wdziękach żadna ze śmiertelnych porównania wytrzymać nie może. Jużem ja o niej często i wiele słyszała od tej szanownej matrony, która jest dla mnie aniołem stróżem i prawdziwą w okropnej niedoli pociechą. Ale i serca dziewic czeskich nie są ze skały. Umieją one czuć mocno. Pozwólcie, niech wam zaśpiwam ułożoną przez Zawiszę piosenczkę czeską o Libussie i Przemysławie. Lecz wy mię nie

śłuchacie bynajmniej, a to jest bardzo niegrzecznie. Otóż to takimi są wszyscy mężowie. Więcej ich obchodzą te krwawe boje, te sprowadzające przekleństwo ludów walki — źródła wszelkich nieszczęść na świecie, aniżeli pozyskanie najświetniejszej korony, którą dać może serce kobiety.

— Nie wątpię — odpowiedział Władysław — że ten, ktoby wasze serce pozyskał, znalazłby pewnie skarb niewyczerpany, często sobie przeciwnych, lecz zawsze ujmujących i osładzających to życie wdzięków. Ale najpierwszym przymiotem czystego a pocziwego serca jest stałość.

— Komuż to — zawołała Adelajda (bo tak ją już od tej chwili nazywać będziemy) — i kto tu będzie o stałości rozprawiał? Jeżeli ona jest podobną dla stworzeń złożonych z najniestateczniejszych i najsprzeczniejszych z sobą żywiołów, przynajmniej nie mogą się nią pochlubić mężowie. Chciejli, abym z dawnych i nowych dziejów wyliczyła wam tysiące przykładów niewierności, niestateczności i zdrady płci waszej? Cóż zyskała na tem dobra, łatwowierna, a nieszczęśliwa Ludgarda, że dotąd swego okrutnego małżonka wielbiła, póki jej życia nie wydał? Byliżbyście wy, panie, tym feniksem wśród ludzi, o którym wszyscy rozprawiają, a nikt go na żywe oczy nie widział? Trudno jest wprawdzie zaprzeczyć, że w ryśach waszych jest coś nadzwyczajnego, co was od innych odróżnia. Nigdy podobny ogień nie ożywił takiego oka, jakim jest to, które raczyliście ku mnie obrócić. To serce pełne jest szlachetnych uniesień i podług powszechnego zdania, samą tylko cnotą oddycha. To ramię, tak dzielne w boju, dotąd się nie zmazało żadnym niegodnym cnotliwego postępkim. Jakżebym rada, aby na jedną chwilę widzieć to bóstwo serca waszego, tę uwielbioną od was Jadwigę? Jakżebym chciała wybadać te czucia, które oddycha, te myśli, które ją zajmują, te zdolności i przy-

mioty, któremi ją tak hojnie obdarzyć musiały nieba? Ach, Władysławie, błagam was i proszę, opiszcie mi to nadludzkie stworzenie, które podobne waszemu serce, tak przywieźć i zniewolić umiało.

— Nic snadniejszego — odrzekł Władysław. — Do wdzięków, udzielonych jej nieskapą przyrodzenia ręką, dodaj to wszystko, co tylko ma skromnego prawdziwa cnota, ujmującego skromność, łagodnego dobroć, powabnego i zniewalającego serca otwartość, a będziesz miała żywy obraz Jadwigi.

— Przebaczone mi, miłościwy panie — odezwała się z widocznym uczuciem zawiści Adelaida. — To, coście mi w tej chwili odkryć raczyli, wystarczyłoby na zjednanie szczęścia dla jakiego spokojność kochającego nad wszystko ziemianina, lub zajętego rachubami zysków kupca. Ale dla przyszłej małżonki tak znakomitego księcia, a może nawet i polskiego monarchy...

— Nic więcej niepotrzeba — przerwał z żywością Władysław. — Małżonka najznakomitszego nawet cesarza lub króla powinna być jedynie matką ludu swojego i tego potomstwa, którem ją niebo obdarzyć raczy. A jeśli tylko rzetelną szczęśliwość dożgonnego swego towarzysza mieć będzie na celu, wyliczone przymioty aż nadto wystarczą ku temu.

— Są przecież wypadki — rzecze po chwili milczenia Adelaida — w których świetne przymioty, przenikliwość i bystry rozum, a nawet sama zdolność zniewalania umysłów pierwszych w kraju mężów, może posłużyć ku osiągnięciu wyższych zamiarów, do których wzywa niekiedy monarchów Opatrzność. Są czasy, w których prosta dobroć, a nadewszystko mniej przezorna otwartość, może to popsuć i zniweczyć, czego wymaga wielka kraju potrzeba. Wtedy podobno bylibyście radzi tym przymiotom w małżonkach waszych, które dziś tak lekce cenicie.

— Przebaczone mi nawzajem — odpowiedział Władysław. — Szukając małżonki, przestaniemy na tem,

cośmy upatrzyli w Jadwidze. Ale chcąc znaleźć kochankę...

— Jakto? — przerwała mu natychmiast Adelaida. — Więc w tym kraju innych przymiotów potrzeba na kochankę, a innych na żonę? Co do mnie, ten, który ma być naszym mężem, musi być wprzód kochankiem.

— Lecz, jeśli rozsądnie postępować chcemy — przemówił Władysław — do najważniejszego w życiu wyboru, jakim jest wybór jedynej towarzyszki dni naszych...

— Rozsądnie? — przerwała znowu Adelaida. — Jacyż z was ludzie, gdy w sprawie serca chcecie się wprzód radzić rozsądku? Teraz się nie dziwuję bynajmniej, dlaczego słońce tak niechętnie i późno ogrzewa te kraje, gdy tyle dobroczynnych promieni, któreby mogło obracać ku upłodnieniu waszej ziemi, marnować musi na rozgrzanie serc tak zimnych, jak te wieczne śniegiem okryte Tatry, jak te nieczułe głązy, które z łona ziemi wydobywacie, na obraz i podobieństwo ożywiających was uczuć? Teraz bardziej niż kiedy błogosławię niebom, że mi się Polką urodzić nie dały. O szczęśliwsze nierównie Czechy! O droga ojców mych ziemio! O Prago, wdzięczna i wspaniała królów naszych stolico! Kiedyż cię ujrzę? Kiedyż na twojem łonie usłyszę te harmonijne dźwięki, do których twoich mieszkańców samo przyrodzenie nakłania? Kiedyż będę świadkiem tych igrzysk, w których piękność odbiera hołd nieobludny i jawny od zrzeczności i męztwa?

— Nie troszczcie się tak bardzo — rzecze Władysław. — Może ta chwila już nie jest daleką. Dowiedzcie się albowiem, że Wacław, król czeski, za kilka dni może stanąć w Krakowie.

— Co? — odezwie się Adelaida — Wacław, król czeski, ten monarcha od ludu dobrym, a od własnej rodziny tyranem nazwany; ten, który wyrzucił z na-

danego mu przez Ottokara ojca księstwa Opawskiego, Mikołaja, własnego i mojego brata?...

W tej chwili mocny hałas przed domem prze-rwał żywe Adelaidy wyrazy i wzbudził uwagę ksią-żęcia. Chcąc się przekonać o istocie rzeczy, wybiegł natychmiast Władysław i z niemałym podziwieniem ujrzał przed drzwiami pustelnika z grodzkiego lasu.

Nienawykły do przeciwności starzec, chcąc wejść do tego domu, w którym Adelaida mieszkała, doznał niemilego od straży oporu; a gdy usiłował wcisnąć się, pomimo wszelkich przełożeń, odepchniętym został nareszcie. Dlatego podniósł głos, który natychmiast uciszył, gdy ujrzał wychodzącego książęcia.

— Co tu porabiasz, mężu pobożny? — zawołał Władysław.

— Toż samo pytanie właśnie wam zadać chcia-łem — odpowiedział pustelnik.

— Odejźmy na stronę — rzecze mu książe — a tam swobodnie opowiecie nam powód waszego przybycia.

— Władysławie — zabrał głos pustelnik — przy-szły polski monarcho, nadziejo całego narodu! pra-wdaż to, co o was głosy powszechne roznoszą? Jakto, ten, który sobie obrał za wzór zgasłego w Bogu Bo-lesława, czczonego od obcych i swoich kaliskiego księcia; ten, który się stał oblubieńcem córki jego niewinnej i cnotliwej Jadwigi, dziś, zapomniawszy o wyniosłości przeznaczenia swojego, u nóg jednej branki trwoni czas drogi, mogąc go użyć szlachetnie na wybawienie Polski z pod obcej przemocy?

— Starcze — odrzekł z widoczną żałością Wła-dysław — drugi raz już w życiu, jedną i tę samą dać ci muszę odpowiedź. Jeśli się chelpisz nieplon-nie, że umiesz czytać w przyszłości, dlaczegoż obcą ci jest daleko snadniejsza sztuka czytania w sercach człowieczych?

— Łatwiej jest — rzecze na to pustelnik — z przy-

czyn świadomych dociekać najodleglejszych nawet skutków w przyszłości, niżeli przenikać serca, gdy je zamroczy obluda.

— Chodź — zawołał z żywością Władysław — i o istocie prawdy sam się przekonaj własnymi oczyma.

Te słowa mówiąc, ujął pustelnika za rękę i wpro-wadził do Adelaidy mieszkania.

— Przebaczcie — rzekł do niej — że się ośmie-lamy gwałcić wasze rozkazy. Warowaliście sobie, ażeby przez ciąg waszej niewoli żaden się do was nie zbliżył mężczyzna, prócz Władysława, i to wam dochowane zostało. Uczynicie jedno względem tego pustelnika wyjęcie. Jest to mąż oddany Bogu i cały zatopiony w wieczności. Widział on wiele krajów i ludzi i zna dokładnie wasz kraj i rodzinę, a stule-tnia prawie sędziwość wyłącza go, że tak rzekę, z rzędu żyjących. Jednogodzinna z nim rozmowa zastąpi do-świadczenie lat wielu. Możecie mu śmiało troski wa-sze i czucia powierzyć. Wreszcie od woli waszej za-leżeć będzie dłuższa z nim, lub krótsza rozmowa.

Oddalając się śpiesznie Władysław, rzucił żywe swe oko na twarz zdziwionego urodą i postawą Ade-laidy starca, a dopadłszy konia, udał się na przejrze-nie stanowisk wojska swojego.

Ledwie upłynęła godzina, gdy powracając, spo-tkał pustelnika, wolnym od Prądnika idącego krokiem.

— Władysławie — przemówił do książęcia — za-wstydziliś stojącego u wrót wieczności starca, postę-puj zawdy drogą cnoty, a Bóg ojców błogosławi ci będzie.

Ścisnąwszy podaną sobie pustelnika rękę Wła-dysław i nic nie odrzekłszy, odjechał śpiesznie do obozu.

ROZDZIAŁ XIII.

Wacław król Czeski w Polsce.

Dnia następnego zerwanym został rozejm z Czechami. Przeświadczony o słabości sił czeskich Władysław postanowił tej samej nocy silnem uderzeniem na Kraków uprzędzić przybycie Wacława. Jakkolwiek Hinko Berka z rozkazu swojego króla starał się po kilka razy wchodzić z Władysławem w układy, nie przeto jednak ostygł w swem męstwie. Bronili się dzielnie po za murami Czechowie. Doznawszy przeto silniejszego niż się spodziewał oporu, zrzekł się nareszcie przedsięwzięcia swego Władysław i z nie-małą stratą od murów Krakowa odstąpił.

Właśnie nadeszły wieści, że Wacław z Ottonem, brandeburskim margrabią, i z potężną siłą Czechów, Morawców i Brandeburczyków zbliżał się ku polskiej stolicy. Dlatego Władysław, zgromadziwszy wszystkie swe wojska, przemyślał o użyciu wszelkich sposobów na odpór tak przeważnej potęgi. Lecz nieba chciały w tej chwili nowem nieszczęściem doświadczyć jego stałości i męstwa. Wspomnieliśmy powyżej o Witehesie, książęciu litewskim, i o jego duchu wojennym. Dotąd on nie spoczął, póki nie upatrzył sposobnej pory do pomsty na Polakach za klęski odniesione poprzednio. Niechętni Leszkowi Czarnemu, a później nawet Władysławowi, mazowieccy książęta, poczęli się z Litwą kojarzyć. Związek Bolesława z Zofią, córką Trojdena, litewskiego książęcia, ułatwił zawarte na zniszczenie Kujaw przymierze. Przeciągnęła Litwa bez przeszkody przez mazowieckie ziemie i już poczęła ogniem i mieczem pustoszyć dziedziczne Władysława krainy. Na tę wiadomość poskoczył do Kujaw waleczny książę, zostawiwszy większą połowę

swego rycerstwa w bliskości Krakowa pod wodzą Zdzisława.

Piękna branka dla większego bezpieczeństwa do Wiślicy uchyloną została.

Połączył się z Władysławem brat jego młodszy, Kazimierz, książę łęczycki. Oba śpieszyli dniem i nocą na ratunek uciśnionym od nieprzyjaciela Brześcianom. Poruszeni niedolą chrześcijańskich ludów Krzyżacy, pierwszy raz odłożywszy na stronę wszelkie rozterki, które ich z Polakami waśniły, przysłali do Kujaw nieskape w ludziach rycerskich posiłki. Mistrz ich nowy, Meynhard de Querwald, nie odzie-dziczył bynajmniej nienawiści, którą ku Władysławowi Konrad de Tierberg oddychał. Stoczona atoli bitwa wypadła na korzyść Litwinów, którzy złupiwszy wszystko, co tylko pod ich ręce podpadło, wrócili bezpiecznie przez Mazowsze do swojej ojczyzny.

Gdy się to działo, Wacław król czeski przybył do Polskiej stolicy. Wojsko jego, podzielone na dwa zastępy, weszło w części ze swoim monarchą w mury Krakowa, w części zaś pod wodzą Ottona, dawało pilne baczenie na snujących się w bliskości Polaków. Przyjmował Wacława na czele duchowieństwa i szlachty dogorywający już Paweł, biskup krakowski, który przez lat trzydzieści kilka zajmując ten dostojny urząd w kościele i senacie, tyle już widział panujących w Krakowie, tyle zmian przeżył i tyle w nich ucierpiał, że zwrócony na drogę powinności i cnoty i w ostrej pokucie szukający pociechy dawnych swych błędów, z obojętnością poglądał na kolej rzeczy światowych, już znikających przed jego oczyma. Polecony przez Gryfinę szczególnym względem Wacława, nie okazał bynajmniej tej gorliwości w służeniu jego stronie, jakiej się po nim ten monarcha spodziewał. Nie do smaku nawet przypadła mu krótka i drżącym głosem wyrzeczone mowa, którą młodego powitał monarchę, a która była w następujących wyrazach:

— Miłościwy królu! Od zgonu ostatniego krakowskiego księcia i polskiego monarchy, Leszka, piątego pana wita w osobie waszej miłości to starożytnie miasto, niegdyś królów naszych stolica. Przynosząc waszej królewskiej miłości hołd należnego uczczenia, wielbimy i szanujemy niezbadane Opatrzności wyroki. Ja, wiekiem pochylony starzec i tylu zmian ledwie pojętych świadek, błagam w modłach codziennych Boską Wszemmocność, ażeby, zabaczywszy wielkie nasze grzechy i winy, dozwoliła nam, aby na chwilę przed zgonem ujrzeć gasnącemi oczyma ustalone rządy tej ziemi.

Zdziwił się Wacław niemało, gdy wjechawszy na zamek krakowski i zajmwszy królewski majestat, zaledwie ujrzał kilku znakomitych panów polskich, składających mu winne monarchom uczenie. Prócz mieszczan stolicy, którzy widocznie sprzyjali panom spokrewnionym z Niemcami, a przez to samo przenosili nad innych Wacława, niektórzy tylko urzędnicy krakowscy pokazali się na zamku. Jakkolwiek był tem do żywego dotknięty, rozmawiał z nimi łaskawie i wielkie im wystawiał korzyści, jakie przez połączenie z Czechami spłynąć miały na Polskę. Lecz gdy sam pozostał ze swymi, zapytał z żalością świadomego spraw tego kraju Hinkona:

— Gdzież jest naród, który, podług słów waszych wzywa nas jednogłosem do berła? Gdzież jest ten tron, który za pierwszym zjawieniem się naszym mieliśmy zasiąść bez najmniejszego oporu? Jeśli nam władzy nad Polską krwawo dobijać się przyjdzie, możemyż ufać, aby lud, przymiewolony orężem, chętnie nas swoją czią i miłością otoczył?

Te prawdy osłabiał, ale nie zbijał pozornemi słowy wojsk czechów hetman. Twierdził on, że w rozdzieleniu umysłów i po tak srogich wojnach należy oczekiwać wszystkiego od czasu; że Polacy, jeszcze

niedosyć świadomi przybycia do stolicy nowego pana, polkwapią się wkrótce z powinnym hołdem ku niemu; że bojaźliwszych powściąga dotąd bliskość wojsk Władysława, które snadno można rozgromić pod niebytność tego czynnego księcia.

Nie dał się uwieść tym słowom Wacław. Pan ten, z przyrodzenia wspaniałego i otwartego umysłu, dla podniesienia blasku swej sławy gotów był kilka nawet koron na swoich skroniach zjednoczyć. Jego związki z rosnącym codziennie w potęgę Habsburga domem, zwierchność lennicza, którą sobie nad szlzązki przywłaszczył książęty, nareszcie widoki osiągnięcia węgierskiego tronu, które się później wydały i spełzły, jego wiek młody i żądza sławy, każały mu pochlebne okiem poglądać na pomnożenie swej siły polską koroną. Lecz przeciwności, jakich na wstępie doświadczył, wzbudzały w nim wstręt do przedsięwziętych już kroków. Wreszcie hojny, przystępny i miłujący uciechy, przez krótki czas swego w Krakowie pobytu umiał pozyskać serca tych, którzy się do niego zbliżali.

Innym zupełnie był Otto, margrabia brandeburski, dawny opiekun Wacława, a dziś współnik oręza dla utorowania mu drogi do polskiej korony. Oddawna nieprzyjazny Polakom i chciwy ich poniżenia dla własnej korzyści, nie wstąpił nawet do Krakowa z Wacławem, przez pogardę narodu. Rozłożywszy swe wojsko po okolicznych włościach, ciemnił lud nędzny, bez uwagi, że takim postępowaniem odwracał serca od tego, któremu pomoc przynosił. Nastawał on mocno o zaniechanie środków łagodnych ku pozyskaniu Polaków, doradzając użycie oręza, tembar-dziej, gdy pod niebytność Władysława, zatrutego w Kujawach, pokonanie słabych sił jego za snadne z wielu względów uznawał.

Wkrótce jednak przeświadczył się o mylności swego mniemania. Władysław, nadbieżawszy z Ku-

jaw pod Kraków, tegoż samego jeszcze wieczora upatrzył sposobność oznajmienia nieprzyjaciółom, że się przed nimi znajduje. Widząc przy objazdzie polskich stanowisk, że hufiec Brandeburczyków, z czterechset ludzi złożony, wpadłszy do pobliskiej wioski, zajął się bardziej plądrowaniem domów, niż potrzebną w czasie wojennym bacznością, aż pod noc dopuścił im wszelkiej swawoli. Lecz zaledwie się zmierzchno i zaledwie niemieccy rycerze, przymroczeni trunkiem, do spoczynku się zabrali, wpadli na nich Polacy, mając na czele swojego księcia, i taką im klęskę zadali, iż ledwie garstka Brandeburczyków mogła się ratować ucieczką. Ścigał ich Władysław aż pod sam obóz Ottona, który, przerażony tumultem i uciekających krzykami, a wśród ciemności nocnych nie dość mogący stanu rzeczy rozpoznać, wołał się schronić do miasta, aniżeli stawić mężne czoło w przygodzie. Zły przykład dowódcy pociągnął za sobą podwładnych. Uciekali Brandeburczycy co żywo, chociaż ich nikt nie ścigał, gdyż Władysław, przestając na odniesionej korzyści, nie chciał się daleko pod Kraków zapędzać, ażeby całej siły wojsk czeskich nie ściągnąć na siebie.

Nazajutrz spostrzegłszy Wacław wchodzącego margrabię na zamek krakowski, rzecze do niego:

— Przecież raczyliście nas odwiedzić w Krakowie.

— Miły bracie — odpowiedział margrabia — do kroćset dzid i oszczepów, ten Łokietek musi być istnym szatanem. Dopiero się ścinał z Litwinami w Kujawach, jużci go mamy przed sobą. Radbym, żebyście mu kiedy, tak jak my, w oczy zajrzeli.

— Złe powiedziano — odezwał się Wacław — że strach ma oczy sokole. Po wczorajszej przygodzie raczej mu wzrok sowi przyznać należy. Gdy bowiem wśród nocnej walki widzieliście tak dobrze Łokietka...

— Snadziej wam, widzę, dworować — przerwał margrabia — niż opatrywać bezpieczeństwo wojsk waszych i nowego tronu.

— Właśnie w tym celu chcieliśmy się porozumieć z wami — odpowiedział Wacław i do oddzielnej izby margrabię wprowadził.

Skutkiem narady książąt i znakomitszych dowódców, ujrzano w polskim obozie czeskie poselstwo. Odrzucił wszelkie warunki Władysław, twierdząc, że panu obcemu nigdy nie odstąpi praw swoich. Resztę, o czem się układano i mówiono, głęboka tajemnica pokryła. Lecz w dniu następnym przybyła znowu z Wiślicy do polskiego obozu Adelaida, przybyli także i czescy posłowie. Mówiono, że gdy ci ostatni już w późnej godzinie do Krakowa wracali, orszak ich pomnożył się dwiema osobami na dzielnych koniach, co polskie rycerstwo w podejrzenie rokujących się umów wprawiło. Wszakże od tej pory przestano o pięknej brance rozprawiać i gdzieby się podziała, nikt o tem z pewnością nie wiedział. Głoszono na końcu, że Władysław otrzymał list własnoręczny od króla czeskiego Wacława, z którego osnowy uradował się niemało.

Gdy ani groźby, ani słowa łagodne, ani świetne obietnice na przyszłość nie mogły przywieść Władysława ku odstąpieniu praw swoich do Krakowskiego księstwa, gdy dobywanie Wiślicy i Sandomierza niemałe przedstawiało trudności, przedsięwziął Wacław przenieść wojnę w księstwo Sieradzkie i najazdem dziedzicznych Władysława krajów zniewolić go do opuszczenia okolic Krakowa. Udał się trop w trop za wojskiem czeskim i brandeburskim Władysław, a napadając je ustawnie i szarpiąc pomniejsze oddziały, niemało mu w ciągnięciu sprawił kłopotu i szkody. Gdzie tylko się Wacław zatrzymał, chcąc Polakom stawić czoło i do walnej bitwy przymusić, cofał się natychmiast przed nim baczny na wszystko

przeciwnik. Jak tylko po daremnem oczekiwaniu na walkę ruszyli dalej Czechowie, w krótkiej chwili wdziali następujących za sobą Polaków. Ten rodzaj wojny, nader korzystny dla Władysława, przy czynnej ze strony mieszkańców pomocy, zgubnym był dla Brandeburczyków i Czechów. Przyciągnęli nareszcie pod Sieradz i natychmiast go dobywać poczęli.

Nie mógł miasta uchronić od upadku Władysław. Pomimo całej usilności tego księcia i licznych przeszkód, wzięte i złupione zostało. Lecz zamek sieradzki, daleko warowniejszy od miasta, otoczony błotami i liczną opatrzoną załogą, wszelkie usiłowania Wacława daremnemi uczynił. Po bezskutecznych szturmach i licznych stratach odstąpili nareszcie od swego zamiaru Czechowie.

Złe powodzenie w Polsce i domowe sprawy przymusiły Wacława do spiesznego ku murom Krakowa odwrótu. Adolf z Nassawy, obrany po Rudolfe niemieckim cesarzem, zdawał się umacniać na tronie Habsburga. Nie przewidując Wacław rychłej losów jego odmiany, a wezwany uroczystem tego monarchy poselstwem do zaręczenia córki swej Agnieszki z synem jego Rupertem, pospieszył wkrótce dla skojarzenia tego związku do Pragi. Wojsko jego w odwrocie znowu trapiione było nieprzystannymi Władysława podjazdami, który znowu całe księstwo Krakowskie, oprócz stolicy, pod moc swą zagarnął.

Lecz w krótkim czasie po odjeździe z Polski Wacława nowe klęski dotknęły i boleścią napęłniły serce Łokietka. Tatarzy wpadli do Polski i wydarli mu nadzieję snadniejszego niż w innej chwili opanowania Krakowa. Ale napróżno pokwapił się w Lubelskie dla uczynienia pomsty za sprowadzone na kraj ten klęski. Dzikie hordy, rychłej jeszcze niż się zjawiły, przysnęły. Równy z niemi Witenes, książę litewski, najechał powtórnie Kujawy, a napadłszy nie-

spodzianie Łęczycę, ogniem ją i mieczem spustoszył. Dzielnym Kazimierz, nieodrodny brat Władysława, wsiadł na karki uchodzącemu do swoich krajów z łupami pogaństwu i doścignął je u Sochaczewa. Lecz Bolesław, książę mazowiecki, od niejakiego czasu przychylny Litwinom, wstrzymał Kazimierza zapędy nadzieją dogodnej umowy, do której się obrał za pośrednika. Trwał ułożony rozejm, gdy dzika Litwa, niepomna na dane uroczyste słowo, bezpiecznego Kazimierza zniemacka napadła. Poskoczył żywo do broni waleczny książę i już odpierał walczące przeciw prawu narodów pogaństwo, gdy ugodzony od strzały poległ śmiercią mężnego. Za zgonem wodza poszło wojsko kujawskie w rozsypkę.

Tak spełzła nadzieja świetnej pomsty na Litwie i wydarcia z rąk łupieżców licznej a bogatej zdobyczy. Tak poległ w samej sile wieku najmłodszy brat Władysława, ostatni z pięciu synów Kazimierza, kujawskiego księcia, w którego dzielności i cnocie największą ufność pokładał Władysław, a którego dziedziczne księstwo Łęczyckie pomnożyło przyrodzonym spadkiem Władysława dzierzawy.

ROZDZIAŁ XIV.

Przemysław królem.

Gdy się toczyła krwawa i uparta walka o polskie berło pomiędzy Wacławem a Władysławem Łokietkiem, spokojnie lub obojętnie poglądali na nią inni polscy książęta, a ludy ich władzy podległe, widząc, jakie nieszczęścia ściagał na siebie plac tak srogich zapasów, oczekiwały w milczeniu, która strona przemoże nareszcie. Jak snadno odstąpił Wacławowi!

Przemysław praw swoich do Krakowskiego księstwa, widzieliśmy powyżej. Świadomą była dla całej Polski niechęć, którą ku Władysławowi oddychał, a którą następnie podzielili z nim mazowieccy książęta. W takim zwaśnieniu umysłów i zawikłaniu wzajemnych stosunków trudno było upatrzeć chociaż odległą przyszłą pomyślność dla Polski nadzieję.

Lecz ciągle klęski i nieszczęścia krajowe zbudziły nareszcie z odrętwienia szlachetniejsze serca. Od niejakiego czasu poczęli się z sobą naradzać o ratunku ojczyzny wielkopolscy panowie. Przedpełko, wojewoda poznański, blisko stuletni starzec, tenże sam, któregośmy na początku niniejszej powieści, walczącego przeciw Brandeburczykom obok Bolesława kaliskiego widzieli, nie dokładając się bynajmniej do wzywania na tron Przemysława, wielkopolskiego księcia, zwołał zjazd wolny senatorów, urzędników i szlachty do Gniezna. Po uczynionym porządku rycerskiego koła wniesiono na dębowym krześle długą, białą brodę, licznymi bliznami i znakomitą zasługą poważnego starca, który, jak skoro okazał chęć przemówienia do zgromadzonych, głuche natychmiast dookoła osiadło milczenie. Podniósłszy się tyle, ile mu dozwalały siły, Przedpełko i skłoniwszy się nieco obnażoną z włosów głową, mówić począł temi prawie słowami:

— Miłościwi panowie i bracia! Drugi wiek kresu swego dobiega odtąd, gdy Bóg Wszechmocny, Bóg ojców naszych, odwrócił od tej ziemi swe litościwe oblicze. Jestli tu kto z was, miłościwi panowie i bracia, kogoby Opatrzność równą naszej obdarzyła starością, niechaj wystąpi i poprze nieudolne nasze wyrazy, niech to opowie, co słyszał od przodków o tej miłej ojczyźnie, dziś już stojącej nad samym brzegiem przepaści. Ale napróżno uglądam w całym tem kole dawnych kolumn naszej potęgi i siły. Zstąpiły one razem z lepszymi czasami do gro-

bu, a z całej ich świetności nic nie zostało, krom garści popiołu. Liczne krwawej dziczy napady, wojny domowe i obce, sroższe nad wszystko żal i tęsknota, strawiły przed czasem tych mężów, co niegdyś byli postrachem nieprzyjaciół, chlubą i zaszczytem narodu. Ja jeden jeszcze, stuletni bez mała starzec, tulam się sam pomiędzy śladami klęsk obecnych, a świetnymi pamiątkami przeszłości, pamiątkami, których jedno wspomnienie te oczy już gasnące w ławie zamienia potoki. Z pierwiastków świata toczą się nędzne ludzkie sprawy zmienną i rozmaistą koleją. Widzieliśmy nieraz, że gasnące i zbywające dawnej świetności narody z czasem się wzmogły w krzepkość i siły, a z samej przepaści upodlenia i zguby wzniosły się nakoniec do szczytu potęgi i chwały. Lecz wtedy tylko Bóg tego cudu dozwalał, gdy w nich uczucie cnoty i własnej godności nie wygasło do szczętu. Ufajmy dobrze, miłościwi panowie i bracia, że dogorywające pomiędzy nami tych uczuć iskierki, rozniecone dzielnością i mężstwem, mogą jeszcze w jaśniących zabłysnąć ogniskach. Jeszcze kochamy tę ziemię, która nas swymi płodami wykarmia, jeszcze złożonych w jej łonie przodków naszych kości nie odbieżyliśmy nikczemnie. Odważmy się tylko wyrównać im w cnocie, a martwiejąca już napół ojczyzna przy sercach naszych odżyje. Jakichże nam środków użyć wypada, abyśmy przez siebie lub przynajmniej w miłych naszych następcach tak upragnionych dobili się korzyści? Jedno jest tylko w blahem naszym mniemaniu na śmiertelną chorobę ojczyzny lekarstwo, chorobę, która trawiąc i wycieńczając jej siły zniemga, ciśnie ją rychło na maryl, jeśli nie pospieszymy z ratunkiem. Potrzeba nam bardziej niż kiedy powszechnego ojca i pana, potrzeba nam jedynowładcy i króla. On jeden, zgasiwszy blaskiem korony świetność udzielnych książąt, potrafi wrócić powagę berłu, tronowi majestat, uszanowanie prawom a rozpię-

chłym dzieciom jednejże matki ojczyzny spokojność potęgę i siłę. Jeśli więc, miłośnicy panowie i bracia, uczuliście te prawdy, jeśli z serc waszych nie wygasa do szczytu starożytna cnota, jeśli milujecie tę ziemię, na której wzrosliście i w której macie znaleźć błogi spoczynek, do sławy dziedzicznej, jaką wam przekazali przodkowie, nie wahajcie się dodać imion zbawców i odrodzicieli ojczyzny, połączcie się z nami i przystąpcie w dniu tym, mającym zasłynąć na wieki, do obrania jedynowładcy i króla. Może być czas stosowniejszy do tej przewagi, niż ten, któregośmy nareszcie dożyli, może być zdolniejsze ku temu miejsce nad to, w którym nas obecna zgromadziła potrzeba? Rzućmy tylko nieobojętne oko na wszystko, co nas otacza dokoła? Tu jest pierwsza kolebka ojczyzny. Tu pierwsi nasi książęta i króle mieli swe siedlisko i gniazdo, od którego samo starożytne imię tego miasta pochodzi. Z tych murów rozszerzyli władztwo swe nad ludami i rozprzestrzeniali na wschód, zachód i południe swoje dzierżawy. Ta okazała świątynia była najpierwszym świadkiem ich holdu, który otrząsłszy się z pogańskich błędów, Bogu prawdziwemu złożyli. Tu niegdyś znakomity następca odwiecznych Cezarów pierwszą koroną skronie Chrobrego uwieńczył. Tu jest siedlisko pierwszego w kraju pasterza, którego szanowne oblicze w tem kole widzimy, a który sam jeden ma prawo światowego mocarza na pomazańca Boskiego zamienić. Tu wszystko się zbiega i łączy, wszystko na nas nalega i woła, abyśmy, nie schodząc z miejsc tych, albo dopięli jedynego celu powszechnych życzeń narodu, albo pogrążeni w rozpacz z niemożności ratowania ojczyzny, zagrzebali się w jej gruzach...

Głos ten, wyrzeczony z powagą i czuciem, a wyrzeczony przez usta tak sędziwego starca, który kreśląc stan kraju i jego potrzeby, zdawał się odmładzać w czerstwości i siłę, wzbudził niepoślednie wrażenie.

Wszyscy zawołali natychmiast: — Zgoda, zgoda!

Lecz gdy inni z kolei mówić poczęli, gdy Jakób Świnka, acybiskup gnieźnieński, w długiej i wymownej treści rozszerzył się o przymiotach i osobach książąt, którzyby mogli być wezwanymi do tronu, a nikt dotąd nie śmiał wyraźnie oświadczyć, kogoby pragnął za króla, znaleźli się tacy, którzy rozmaite i sprzeczne z sobą poczęli wyluszczać mniemania.

Na zapytanie przez jednego z wojujących, kto ma być tym pożądanym od wszystkich monarchą, jedni za Przemysławem, drudzy za Wacławem, inni za Władysławem, inni zaś za Bolesławem mazowieckim odzywać się poczęli. Każdy z tych książąt nie szczupłych liczył stronników. Wszyscy wysławiali przymioty polecanych przez siebie, a wytykali wady tych, których inni podawali do tronu. Poczęły się głośnie i żwawe sprzeczki, nie mógł ich uśmierzyć Przedpełko.

Nareszcie, czego nie zdołał rozsądek, dokazała śmieszność. Jeden z wotujących albowiem, rozszerzwszy się długo nad przyczynami wstępu i niechęci ku wszystkim książętom, o których była mowa, i każdemu z nich jakąś łatkę przypięwszy, doradzał zjazdowi, ażeby pominąć wszystkich obcych i swoich książąt, jako mniej zdatnych do berła, i obrać raczej królem jakiego pocziwego a rozsądnego szlachcica.

Śmiech powszechny stał się odpowiedzią na ten głos uczony, a wtedy wojewoda poznański, zebrawszy wszystkie zdania na jedną ośnowę, przemówił w następujących wyrazach:

— Miłośnicy panowie i bracia. Czas jest okazać światu przykład jedności i zgody w tak ważnem, jakie nas zajmuje, dziele. Przodkowie waszych miłościów wielcy Polacy, zawdy przodkowali przed inną bracią, ile razy szło o wielką sprawę ojczyzny. Z ra-

dością widzimy, że wszyscy prawie ku jednemu dążyć chcemy celowi. Są w tem kole niektórzy z małych Polaków, a ci nam ręczą za udział swych braci w postanowieniu naszym, jeśli takowe, duchem roztropności natchnięte, niezaprzeczonem piętnem powszechnej zgody oznaczone zostanie. Pocóż nam szukać króla w odległych krajach i stronach, mogąc go znaleźć tuż przy nas w osobie Przemysława wielkopolskiego księcia? Jest on kością z kości odwiecznych naszych monarchów i panów i w nieprzerwanem następstwie od Mieczysława Starego, syna Bolesława Krzywoustego, pochodzi. Przewielebny arcybiskupie, raczcie imię jego całemu kołu wymienić, a my w jedności serc i umysłów wykrzyknijmy w duszy:

— Niech żyje Przemysław I, król polski!

Gdy arcybiskup podniósł swój głos poważny i Przemysława królem polskim mianował, całe zgromadzenie, pociągnięte tym przykładem, poszło za zdaniem Przedpelki i wymienionego króla obwołało panem i dziedzicem polskiego tronu.

Wtedy ujrano jawne powszechnej radości znamiona. Ściskali się sędziwi starcy, oblewając się łzami i winszując sobie nawzajem, że im Bóg pozwolił dożyć tak szczęśliwej chwili. Młodzi, podając sobie braterskie dłonie, przysięgali przed obliczem Nieba, że obranego króla wspierać i bronić będą do zgonu. Wszyscy udali się za dostojnym arcybiskupem do starożytnej gnieźnieńskiej świątyni dla złożenia Bógu, rozdawcy koron, najżywszych dzięków, które już w późnej nocy, przy blasku pochodni i tysiącznych świateł, odśpiewaniem hymnów radości ukończonemi zostały.

Pośpieszył niebawmie do Gniezna król Przemysław z małżonką swą Ryxą i z całym dworem. Kwapili się na zapomniany prawie obrzęd ukoronowania obranego monarchy, najbliżsi biskupi i palacy, po-

między którymi widziano Wysława Kujawskiego, Jana Gierbisza poznańskiego i Jana Romkę wrocławskiego, biskupów. Jan Muskata, obrany po zmarłym Pawle z Przemankowa krakowskim biskupem, przybyć nie zdołał, już dla przeszkody od wojsk czeskich, w których rękę zostawał Kraków, już dla niepewności, co przedsięwzięcie Władysław, który całe księstwo Krakowskie, oprócz stolicy, zajmował.

Nie będziemy opisywać obrzędu koronacji Przemysława. W czasach niepewności i domowych zawichrzeń, a powszechnego z tyłu klęsk przez Polskę wycierpianych ubóstwa, powaga zastąpiła wspaniałość. Widziano atoli na nim niemało panów polskich, między którymi przewyższali innych okazałością, na jaką tylko zdobyć się mogli, Natęczowie. Grzymalczyki, Zarębowie, znakomite w Wielkiej Polsce rodziny, równie jak i Szwemowie, najzamożniejsi z Pomorzan. Niewielu Małych-Polaków do Gniezna przybyło; ci jednak sumiennie zaręczyć mogli za zgodę swoich współbraci, których nieszczęścia krajowe zatrzymały po domach.

Jakób Świnka, arcybiskup gnieźnieński, w obecności wymienionych niedawno biskupów, ukoronował Przemysława i Ryxę, podług zwyczajnego obrzędu.

Jadwiga, księżniczka kaliska, jako najbliższa krewna nowego króla, stała przy stopniach tronu na czele znakomitszych pań polskich, które posługiwały królowej. Uczta uroczysta na zamku zakończyła dzień ten wiecznie pamiętny. Przedpelko, wojewoda poznański, który się najwięcej przyczynił do tak szczęśliwego wypadku, wkrótce po koronacji Przemysława z radości unuzenia zamknął dni pełne zasług i chwały.

Ale ciekawość powszechna zwróconą była na to, jak przyjmą wiadomość obrania Przemysława inni polscy książęta. Ci, którzy panowali na Szląsku, odłączeni sercami od dawnej matki ojczyzny,

a skłonnością i obyczajami zbliżeni do Niemców i Czechów, zachowali obojętne milczenie. Mazowiecy pośpieszyli niebawnie z wynurzeniem hołdu nowemu królowi. Ziemowit, książę dobrzyński, ogłądał się na brata swego, Władysława Łokietka. Krzyżacy, którzy bardziej Przemysławowi niż innym polskim sprzyjali książętom, wyprawili do Gniezna znanego nam Dytrycha de Oldenburg, który, wykonawszy już śluby zakonne, na dostojność komendora malborskiego postąpił.

Zawiść, jaką oddawna ku Władysławowi oddychał przez wybór Przemysława, widziała z radością dla tamtego zawarte wrota do tronu. Spotkawszy on na dworze nowego króla księżniczkę kaliską Jadwigę, pomimo natchnionej dumy, którą odziedziczył z zakonną Krzyżaków szatą, nie mógł się wstrzymać od powitania jej następnymi wyrazami:

— Patrzcie, miłościwa księżniczko, do czego nas przywiódł smutek. Po wykonaniu zakonnych a niecofnionych ślubów nic już nam nie pozostaje na świecie, krom błahej pociechy, którą zjednać może sława oręża.

— Podobny wam rycerz — odpowiedziała na to Jadwiga — znajdzie ją w szlachebnym pełnieniu obowiązków stanu swojego.

Wtem odgłos powszechny oznajmił Przemysławowi nadspodziane przybycie do Gniezna Władysława Łokietka. Wszystkich oczy i baczenia zwrócone zostały ku oknom zamkowym.

Ujrano tego księcia, który w świeżych wypadkach i wojnach tyle pozyskał sławy, tyle przeciwności zwyciężył, wjeżdżającego na dziedziniec zamkowy krokiem powolnym na dzielnym i suto ozdobionym rumaku. Wierny Zdzisław był tuż przy jego boku. Trzech kopijników, z pomiędzy najwaleczniejszych rycerzy wybranych, cały dwór jego składało.

Gdy wszedł do izby królewskiej, postać jego

rycerska, pomimo drobności wzrostu, sława licznych i znakomych przewag, pewność i spokojność wężenia, to zwierciadło czystej a szlachetnej duszy, wszystkich serca ujęły. Rosła ciekawość, jak się z sobą spotkają ci dwaj książęta, na których cała Polska oczy swoje zwróciła.

— Witajcie nam, miły nasz bracie — odezwał się pierwszy Przemysław. — Wiedząc was zajętych wojennymi sprawami, nie spodziewaliśmy się bynajmniej tak rychłych odwiedzin.

— Miłościwy panie — odpowiedział Władysław — wielka jest powinność prawego rycerza walczenia za sprawę ojczyzny, zagrożonej obcą przemocą. Lecz są częstokroć daleko ważniejsze, a z tych najwyższa powołała nas bez omieszkania w te mury.

— Dzieciństwo wasza i tak znakomite przewagi — rzecze znowu Przemysław — pozyskały wam niezwiędłą sławę. Prawa, jakie macie do Krakowskiego księstwa, wydartego Czechom siłą waszego oręża...

— Muszą ustąpić — przerwał Władysław — mocniejszym prawom, które wola narodu nadała. Dopóki obcy i niepowołany od ludu książę usiłował ogarnąć dawne Piastów dziedzictwo; dopóki cudzoziemska przemoc narzucała nam pana, zaprzysięgłem nie złożyć tego oręża, aż Póg zastępów rozstrzygnie, kto z nas panować powinien. Zna naród liche i nie zawdy pomyślne przewagi tej broni, czas, aby poznał, iż pierwsi w kraju książęta pierwsi ulegać powinni pospolitemu prawu. Miłościwy królu i panie! gdy nam oznajmione zostało, że poważne senatorów i rycerstwa koło powołało was do polskiej korony, was prawego Piastów potomka, składam u majestatu waszego wszelkie nasze prawa do Krakowskiego, Sandomierskiego i Lubelskiego księstwa, a przestając na odziedziczonych po ojcu dzierzawach, jako lennik polskiej korony, przynoszę wam hołd czci i uszano-

wania mojego. Rozrządzaj odtąd, miłościwy królu, tem ramieniem i sercem, które, dalekie od osobistych widoków, wzdychało jedynie do chwili połączenia Polski pod jednym berłem i przyrodzonym monarchą.

— Szlachetne książę — rzekł, ściskając Władysława z uniesieniem Przemysław — wy będziecie na zawdy pierwszą powstającego tronu ozdobą, a wasza wspaniałość i dzielność zostanie wzorem dla tego, którego woła narodu wyniosła na starożytną królów polskich stolicę. Będziemy wspólnemi siły pracowali nad dobrem kraju, którego wy jesteście nieprzełomną tarczą, my zaś ojcem zostać pragniemy.

Ta rozmowa rozrzewniła wszystkich przytomnych. Podług powszechnego mniemania, odniósł Władysław najchlubniejsze nad sercami zwycięstwo.

Królowa Ryxa nie mogła się wzbronić od wy-nurzenia mu najwyższego podziwienia i czulej wdzięczności wyrazów. Nawet Dytrych z Oldemburga, w części radosny, że zamiary Władysława przez wyniesienie Przemysława spełzły na niczem, w części zaś uniesiony powszechnych uczuć potęgą, powitał go z uczczeniem i rzekł mu nakoniec:

— Spodziewam się, miłościwy książę, że nasze wyzwanie na turnieju kaliskim już więcej miejsca nie znajdzie.

— Odwleczone, lecz nie zapomniane — odrzekł mu Władysław z powagą.

Wziętość, jaką pozyskał ten książę, dozwoliła mu zbliżyć się bez przeszkody do pięknej Jadwigi. W dniu pierwszym wyczytał z jej oczu zimną obojętność, którą przyrodzonej skromności, dawnemu niewidzeniu i spotkaniu się w miejscu publicznem przypisał. Lecz gdy nazajutrz mógł z nią przemówić bez świadków, żal duszę jego ogarnął, gdyż przekonał się, że czuła, dobra i otwarta Jadwiga zupełnie dla niego zmienioną została!

W chwili, w której był powszechnego uwielbienia przedmiotem, widzieć się wzgardzonym od tej, której mniemanie przenosił nad sądy całego świata, to jest, co mu najboleśniej zadawało męczarnie.

Nareszcie, pełen żalości i smutku, rzekł do niej w ten sposób:

— Znowu więc nieszczęśliwy Władysław stawa przed oczyma waszemi, piękna i nieporównana Jadwigo, i napróżno szuka w nich dawnej przychylności, w której najchlubniejsze dla siebie pokładał nadzieje. Jakaż przyczyna wydziera mu to jedyne dobro, dla którego zniósł tyle przeciwności i ciosów, dla którego gotów jest nawet poświęcić resztę życia swojego?

— Nie sądzicie — rzecze przytłumionym głosem Jadwiga — że w takim oddaleniu, jakie przedziela Poznań od murów Sandomierza i Krakowa, zaniedbaliśmy szukać środków zasiągnięcia pewnych wiadomości o waszem powodzeniu i doli. Bóg jeden zna to dokładnie, ileśmy łez gorzkich wyleli, ile westchnień ku Niebu przestali, dręcząc je w ustawnych modłach za wami. Jakże więc wynadgrodzoną została ta nasza przychylność, którąśmy, pomimo tylu prześladowań i przeszkód, w umyśle nieznającym obludy wierne i nieskazitelnie chowali? Przebóg! trętwieje serce na to ołtropne wspomnienie, że jedna nędzna branka miejsce wiernej Jadwigi zajęła.

Na te słowa odetchnął nieco Władysław.

— Cios ten — zawołał nareszcie — jakkolwiek jest bolesny i srogi, przecież dozwala mi ochłonąć z żalości. Jeśli to tylko jest waszej obojętności pobudką...

— Trzebaż wam jeszcze ważniejszych? — przerwała z żywością Jadwiga. — Więc kilkotygodniowe przebywanie w waszym obozie, ta straż ustawna, którąście ją otaczali dla zbliżania się do niej bez świadka, ta troskliwa staranność umieszczania jej w warunkom schronieniu podczas chwili grożącej niepe-

wnością losów wojennych i sprowadzanie jej ku sobie, gdy już niebezpieczeństwo minęło, nie przemawiało otwarcie i jawnie, że nad przychylnością Jadwigi wdzięki tej obcej przemogły?

— Dokładne, jak uważam, mieliście wiadomości o naszych najtajemniejszych postępkach — rzekł na to Władysław spokojnie. — Łatwo nam ztąd wrościć, że wiedzieć musicie, co się z tą piękną branką stało nareszcie.

— Pewnieście ją — odpowiedziała Jadwiga — znów w zamku wiślickim schronili. Ta ulubiona wam twierdza odtąd większej nad inne nabyła wartości, odkąd skarb tak drogi ukrywa. Sama spokojność, która w tej chwili miejsce dawnej troskliwości zajęła, dosyć nam jasno wskazuje, że nie musicie się wcale obawiać, aby wam ten skarb drogi mógł być wydartym.

— Spokojność — odrzekł Władysław — a taka spokojność, jakiej doznajemy w tej chwili, pochodzi jedynie z czystego i nieskażonego sumienia. Dla dopełnienia wiadomości, jakieście o tej pięknej brance powzięli, raczcie przeczytać to pismo, którego nikt jeszcze z żyjących nie widział.

Drżącą ręką odebrała Jadwiga list sobie podany. Dość długo wpatrywała się weń, milcząc. Nareszcie tak czytać poczęła:

„Miłościwe książę! Wyrównaliście Scypionowi, równie walecznością oręza, jak szlachetnością umysłu. Wróciła na łono nasze z obozu polskiego, z przyzwitołą czcią i uszanowaniem, podejmowana i strzeżona przez was, Adelaida, siostra Mikołaja opawskiego księcia, a córka Ottokara, ojca naszego z Elżbiety de Knuryng. Może nas świat o to obwini, iż dopuściliśmy ujętej przychylnością dla jednego z dowódców wojsk naszych, szukać wśród szczęku oręza nadzwyczajnych przygód i mniej przystojnych dla płci niewieściej. Przecież to na złe nie wyszło. Odkąd los oręza oddał

ją w wasze ręce i odkąd jedna z polskich matron stała się jej przewodniczką i stróżem, umysł jej zdaje się zrzekać tych przesadzonych urojeń, których niegdyś był pełen. Uwielbia ona nad wszystko: przystojność, łagodność i względy płci słabszej należne, jakich od was doznała. Odtąd chcemy być dla niej równie ojcem, jak bratem, i z czasem jej szczęście zapewnić pragniemy. Może los oręza odda nam w ręce polską koronę; przecież tego nie zaprzemy przed światem, żeśmy w osobie waszej godnego berła i szlachetnego przeciwnika znaleźli. Z Krakowa, dnia 19 Sierpnia 1293 r. Wacław Król Czeski K. K. S. L.“

Te cztery głoski, mające oznaczać Księżę Krakowski, Sandomierski, Lubelski, zapewne po jakimś namyśle, dla uniknięcia obrazy, własną ręką Wacława przekreślone zostały, co Władysław w swym czasie za dobrą wróżbę poczytał.

— List ten — rzekła po chwili Jadwiga — wiele mówi za wami, lecz nie uspokaja zupełnie troskliwości serca mojego. Meżeście wtedy dopiero tę piękną brankę odesłali z obozu, gdy hołdem waszym wzgardziła.

— Jeżeli — odpowiedział, dotknięty do żywego Władysław — małe jeszcze czystości mych kroków i uczuć złożyłem dowody, ufam mocno, że Bóg, który sam serca człowiecze przenika, a rychlej, czy później wspiera swą łaskę niewinnych, dopomóż mi raczy do wyszukania takich, którym już zaprzeczyć nie zdołacie.

To wymówiwszy odszedł i tego jeszcze wieczora mury Gniezna opuścił. Uczuła z boleścią Jadwiga, że za daleko posunęła swe podejrzenia, do których ją nie własne serce, lecz obce nakłoniły podszepty.

ROZDZIAŁ XV.

Śmierć Przemysława.

Chlubne i świetne były pierwiastki królewskich Przemysława rządów. Uspokoiwszy się względem pokrewnych książąt, gdy nawet i Ziemowit Dobrzyński, nie zaniechał złożenia hołdu swej podległości, udał się do Wacława o ustąpienie dzierżonego przez Czechów Krakowa. Bez wielkich trudności odwzajemnił się Przemysławowi czeski monarcha, widząc za nim wolę całego narodu, a dla spraw własnych potrzebując tych wojsk, które broniły Krakowa. Władysław, podług oświadczenia swojego, oddał Sandomierz, Lublin, Wiślicę i inne zamki, które tak długo trzymał w swych rękach. Dlatego, połączywszy w jedno ciało Wielkopolskę, Pomorze i Małą-Polskę, równie z prawa, jak i z potęgi, królem polskim pisać się począł. Zaniebane dotąd herby i znaki królestwa podniesione zostały przez niego. Kazał wyrzeć i używać do wszystkich zagranicznych listów pieczęci, na której orzeł biały z wizerunkiem panującego miał ten napis do koła. *Reddidit ille suis victricia signa Polonis*. On przywrócił zwyciężkie znaki Polakom.

Najpierwszą baczność troskliwej opieki zwrócił Przemysław na odziedziczone niedawno po Mestwinie Pomorze. Trwały dotychczas nieulatwione spory z Brandeburczykami i Krzyżakami o własność tej pięknej krainy. Ci ostatni, zawsze zajęci wojowaniem Prusaków, nie mogli popierać praw swoich, które wywodzili z darowizny Wracisława. Lecz pierwsi czynniejszymi byli nierównie w tej mierze. Dlatego nowy król i dziedzic Pomorza z Gniezna wyprawił się do Gdańska, gdzie urządziwszy publiczne sprawy, udał się niezwłocznie do położonego na granicy Marchii Kogoźna.

Tam za sprowadzeniem dworu swojego z Poznania, bawił się pozornie łowami, turniejami i gonitwami, a wistocie poglądać chciał zbliżka na przygotowania wojenne Brandeburczyków i sam się sposobił do dzielnego ich potężnego odporu.

Zbiegli się na granice Polski brandeburscy książęta: Otto elektor margrabia, Otto długim nazwany, któregośmy wraz z Wacławem działającego przeciw Władysławowi widzieli, Jan syn Konrada margrabi, co niegdyś walczył o posiadanie Gdańska z Bolesławem kaliskim. Znana była ich zawiść przeciw Polakom i chęć osłabienia tych groźnych dla siebie sąsiadów. Niemilem okiem patrzyli na wyniesienie Przemysława, a bacząc po tylu lecach bezrządu i wojen złączną pod jego berłem Polskę, spostrzegłszy nad wszelkie spodziewanie i tajemne podżogi zgodę i jedność w polskich książętach, równie jak gotowość bronienia odnowionej na skroniach Przemysława korony, postanowili pozbyć się tego króla, którego nieugiętość w zamiarach i sam wiek do przewag berła sposobny (miał bowiem wtedy lat 38) nabawiał ich trwogi, jako dzierżących nieprawnie, oderwane od Wielkiej-Polski, Santocki i Lubuski powiaty. Gdy się więc z sobą naradzali, jakie przedsięwziąć kroki ku spełnieniu swych myśli, doniesiono im, że jeden z tajnych wysłańców, w tej właśnie chwili powróciwszy z Kogoźna, pragnie z nimi pomówić w skrytości.

Był to człowiek średniego wzrostu, oczu i twarzy zapadłej, orlego nosa, rudej brody i włosów, a tak okropnego spojrzenia, że jedno podobne mogłoby w kamień obrócić szczerą i otwartą niewinność.

W pół nagie ramiona płaszcz jaskrawego koloru osłaniał, sztylet, tkwiący u rzemiennego pasa, za którego rękojeść trzymał się zwyczajnie, oznaczał jego gotowość do utopienia żelaza w każdym żyjącem sercu za najmniejszą do tego pobudką. Ręce żyłaste i tak czerwone, że na nich krew ludzka nadzwyczaj-

nych nie sprawiała znaków, dopełniały obrazu tego człowieka, a raczej w postaci ludzkiej szatana.

— Już to wrócił, nasz odważny Kurtu, coś więc tam słyhać w Rogoźnic? — zapytał go Otto, Długim nazwany.

— Alboż to nie czas, miłościwi panowie. Te nogi nigdzie znacznego po sobie nie wycisną śladu, ażeby głowa, którą unoszą, mogła bezpiecznie zostać na karku.

— Głowa twoja — rzecze jeden z margrabiów — nadto ma wiele mózgu, aby cię kiedy do takiej ostateczności przywiodła. Umiesz ty ją wszędzie wścibić i zewsząd usunąć roztropnie, pomimo przepowiedzenia jakiegoś tam proroka, że ją czeka konopna obroza.

— Ten łotr przekłety — odpowiedział Kurt — błysnął mi nawet teraz sowim swym wzrokiem, gdy wracał z Rogoźna i głosem wyjącego na gruzach zapadłego zamku puszczyka zaśpiewał w te słowa: Do stu szatanów pocziwy Kurtu, diaczeż się tak bardzo wyciągnęła od niedawnego czasu pulchna twa niegdyś szyja, jak gdyby się sama prosiła o stryczek? — Idź, rzekłem, na samo dno piekła, ty upiorze przeklęty. Jeszcze się nie zasiało to drzewo, z którego mam na powietrzu tańcować, nim mię sępy i kruki podziobią. Ale ty, potępięncze, już za długo wałęsasz się po ziemi na postrach i okładę pocziwych. Wróć więc zkaśdes tu przyszedł. To mówiąc, chciałem mu tego namacać serca ten oto doświadczonem żelazkiem. Lecz gdy się zamierzyłem, szatan przekłety zamienił go w sowę, która zamiast zwyczajnej, trupa głowę miała na karku, a usiadłszy na blizkiej sośnie i wydawszy śmiech okropny, głosem przerażającym zawołała: Pójdź do mnie! Pierwszy raz w życiu dębem mi włosy stanęły. Lecz gdy wyrzekł: Wszelki duch chwali Pana, piekielne widmo z oczu moich zniknęło. — Ale przystąpmy do rzeczy. Byłem w Rogoźnie i wszystko a wszystko temi widziałem oczyma. Przystąpiłem do Przemysława, ot tak blisko, jak do was. To jakiejś

dobrej duszy królisko. Mówiono, że jest wyniosły, dumny i nieprzystępny. Bajki wierutne, albo ta zmiana przekonywa widocznie, że już się do przodków wybiera. Zamieszkał w otwartej ze wszech stron mieścinie, chodzi zawsze prawie samowtór pomiędzy ludem bez żadnej przezorności i straży. — Kto jesteś bracie, zapytał mię, widząc, że się bystro w niego wpatruję? — Jestem myśliwiec, potrzebujący pana, odrzekłem. — Jeśliś jest łowiec z nauki, odpowiedział znów, przyjmę cię do dworu naszego. Jutro będą wielkie łowy. Masz się więc przygotować na okazanie twojej zręczności? — Dobrze, zawołałem, zawszem jest do tego gotowy i potrafię ubić samego nawet króla... — Co? króla — okrzyknęli mię żwawo Polacy. — Tak jest, króla zwierząt, odrzekłem śmiało, to jest lwa, gdybym go gdzie w kniei napotkał. — Śmiał się z tego konceptu pocziwy Przemysław, a wtem jakiś stary wyga z wygoloną czupryną i siwym wąsem rzekł zcicha do króla: — Ej, panie, to jest jakiś urwisz niemiecki, nie chcecie mu ufać, albo raczej pozwólcie, żebym go dobrze wprzód wymacał. — Dajcie mu pokój, odpowiedział Przemysław, jemu tak źle z oczu nie patrzy. No, bracie, do jutra, rzekł i wścibił mi w rękę te oto dwa srebrne ze swym wizerunkiem pieniądze. Przypatrzcie się im, proszę, miłościwi panowie.

— Co? Przemysław I, Król Polski? — odezwie się jeden z margrabiów, oglądając bacznie podane pieniądze. — Co, znaki królewskie i herby i napis jakiś tam łaciński? Przyznajcie mi, proszę, że to jest wcale pocieszne. Ale cóż dalej? mów i dokończ twojej powieści.

— Co dalej — odezwał się Kurt — łatwo się tego każdy rozumny domyśli. Jenom się wyrwał z rąk tych tam sampanków, drapnąłem co żywo z Rogoźna, bom uważał dokładnie, że byli szalenie ochoczy zakrzętnąć się około mej skóry. Ej, miłościwi panowie, pozwólcie mi dobrać kilku takich, jak ja, pocziwców, choćby nawet nie byli tak sprawni w puszcza-

niu krwi z serca, a ręczę wam drogiem mem życiem, że za parę dni dostarczę tu oto tę ukoronowaną głowę z otwartemi i przewróconemi oczyma.

— Ciszej, ciszej, Kurtu — rzekł jeden z przytomnych. — Zanadto zuchwalstwa i zarozumiałości. O tem potem. Pójdź teraz i posil się po odbytej podróży. Tymczasem naradzimy się względem dalszych zamiarów.

Gdy się to działo, Władysław Łokietek, wróciwszy do dziedzicznych krajów, swą obecnością i czynnością zaglądał głębokie rany, zadane Kujawom i Sieradzkiemu księztwu przez liczne od tylu lat klęski. Za jego staraniem zniszczony od Czechów Sieradz w świetniejszej postaci z gruzów swoich powstawał. Doznała skutku podobnej opieki spalona i zburzona przez Litwę Łęczyca. Wszakże ze wszystkich miast, należących do jego dzielnicy, najmilej mu było prześiadywać w Brześciu, przez pamięć błogo i szczęśliwie przepędzonej młodości. Gdy więc dnia pewnego, zajęty troskami rządu i pogrążony w myślach głębokich, siedział samotnie w swojej komnacie, ujrzał wchodzącego do niej krokiem poważnym pustelnika z Grodziska. Na twarzy jego wryta była jakaś uroczystość ważnej myśli z tęsknotą zmieszana.

— Witajcie nam, szanowny starcze — zawołał Władysław. — Dopelniliście wiernie i szczęśliwie poruczone wam zlecenie?

— Stało się według waszej woli — odpowiedział pustelnik. — Powracam z Poznania. Widziałem się i mówiłem z Jadwigą. Świadectwo nasze o Adelaidzie czeskiej i o wszelkich szczegółach jej pobytu w polskim obozie ważnem było przed jej oczyma. Czyste i niewinne jej serce każde tchnienie łagodnego a przychylnego wiatru z łatwością porusza. Już wygładziła ze swej duszy wszelkie podejrzenia, natchnięte przez Rynę i inne nieprzychylne wam umysły. Wraca wam dawna ufność i życzliwość, błagając przezemnie,

abyście ją również uniewinnić raczyli. Ale nadeszła najważniejsza życia waszego chwila, Władysławie synu Kazimierza, dotąd księżę brzeski, sieradzki, łęczycki, pozdrawiam was królem polskim, a następnie wszystkich księstw i dzierżaw tego kraju dziedzicem. — To mówiąc, uchylił nieco kolaną i powstał.

— Nie pojmuję słów waszych — rzecze na to zdumiały Władysław. — Dwóch królów nie może w Polsce panować. Widziałem przed niedawnym czasem Przemysława na tronie, otoczonego całym blaskiem potęgi i ufności narodu!

— Wieleż to czasu potrzeba — odpowiedział pustelnik — ażeby to nędzne życie na zgon zamienić?

— Nieba! — zawołał Władysław — więc ten księżę w samej czerstwości wieku i siły, na samym wstępie chlubnych i pełnych nadziei rządów...

— Przestał żyć i panować — odrzekł pustelnik.

— Zkądżeście powzięli tak okropną dla Polski nowinę? — zapytał go, przejęty smutkiem, Władysław.

— To, co się spełniło przed trzema dniami — rzecze pustelnik — przewidywałem oddawna. Policzone były godziny jego żywota i zapisane w księdze przeznaczeń krwią cnotliwej a niewinnej Ludgardy. Zdaje się, że na to dopuścił Najwyższy wyniesienie tego nieszczęśliwego księcia do najwyższej godności w tym kraju, ażeby sroższym i gwałtowniejszym upadkiem przeraził serca tych, którzy go naśladować zapragną.

— Jakimże śmierci rodzajem pozbawiły nas nieba tego nieszczęśliwego księcia? — zapytał znów Władysław.

— Podobnym temu — odrzekł pustelnik — jakiego się niegdyś dopuścił na zgubę pierwszej małżonki.

— Któż więc śmiał podnieść zbrodnicze ramie na pomazańca Boskiego?

— Zginął Przemysław w Rogoźnie — prowadził dalej pustelnik — i pod żelazem morderców; zginął z winy niebaczności i nieprzezornej ufności, którą go

Bóg mściciel niewinności zaślepił. Ale pociesz się w twym smutku. Cokolwiek rzeknie o tem potomność, jakiegokolwiek miotać będzie potwarze na znakomite w Polsce rodziny, śmiało ci powiem, że żaden Polak nie należał do tego okropnego morderstwa. Zawistni wzrastającej potędze polskiej korony nieprzyjaciele i drżący o przywłaszczone od Wielkiej Polski powiaty, zesłali zbójców najemnych do otwartego na wszystkie strony i nieobronnego Rogoźna. Spoczywał bezpiecznie po dziennych łowach i zapustnych uciechach. Wszyscy wokół niego snem głębokim ulegli. Wpadają nasadzeni złoczyńcy. Król, zbudzony rozruchem, porywa się do broni, walczy mężnie i kilku morderców u nóg swoich pokłada, lecz zwyciężyła liczba. Odbieżan i źle strzeżony w otwartym mieście od służby, skłuty spisami i wsadzony na konia, nie miał już siły do wytrzymania nużącej go podróży. Widząc to zbójcy, sztyletami go dobili i martwe ciało porzucili na drodze w spiesznej ucieczce. Podniosła je z prochu pobożna poddanych ręka i wkrótce tam złoży, gdzie śpią w pokoju przodkowie. Mniemaszli panie, że ten czyn, Boskim i ludzkim prawom przeciwny, ujdzie mordercom bezkarnie? Dwanaście głów męzkich liczy dziś jeszcze potomstwo Alberta Ursa, przodka brandeburskich margrabiów; lecz nie minie lat dwadzieścia, a Bóg ich wszystkich bezpotomnie zeszyli, przed sąd swój straszny powoła i porzucone bez następców dziedzictwo w obce ręce przeniesie. Teraz nie traćmy czasu na żalach. Wielkopolscy panowie zgromadzają się w Poznaniu i o wyborze króla myślą. Synu Kazimierza, spiesz do Poznania. Tam cię czeka długich trudów i cnotliwego życia nagroda. Ufam, że już po raz ostatni do was przemawiam, bo jeśli będziesz postępował bez przerwy na drodze cnoty, ona cię sama do sławy i wszelkich doprowadzi zaszczytów. Lecz gdybyś kiedy zboczył z tej ciernistej i najeżonej przeszkodami drogi; gdybyś zapomniał na chwi-

lę, coś winien obowiązkom stanu twojego i cnotcie, znowubym musiał zjawić się przed tobą, a wtedy wszelkie zasługi, któreś dotąd położył, zmasane zostaną i znowu w ciężkich pracach i trudach, w poniżeniu i nędzy, w okropnych wojnach i rozmaitych zmienego losu kolejach, rozpocząćbyś musiał powtórnie trudną szkołę władania, a trudniejszą jeszcze życia bez wyrzutów i zmyły.

Pragnął mocno Władysław dłuższą rozmową zatrzymać przy sobie nadzwyczajnego starca. Lecz tak miał serce ściśnięte okropną zgonu Przemysława nowiną; tak wielkie uczuł wrażenie z tego, co mu pustelnik wyjawiał, że zaledwie ścisnąwszy z lekka jego sędziwą rękę, długo ani odetchnąć swobodnie, ani przemówić nie zdołał.

Wieść spełnionego na Przemysławie morderstwa rozbiegła się lotem błyskawicy po kraju. Nim się Władysław wybrać potrafił, już go liczne głosy Polaków do Poznania wzywały. Przybył tam nareszcie z wiernym sobie Zdzisławem nazajutrz po pogrzebie zabitego króla. Zgromadzeni na ten obrzęd panowie nie taili się ze swemi myślami. Przybyli niektórzy z Małych-Polaków; a zaradzając rychło naglącej kraju potrzebie, zgodnemi ich głosy Władysław Łokietek królem polskim obrany został. Związek z cnotliwą Jadwigą połączył dozgonnym węzłem dwa dla siebie stworzone serca.

ZAMKNIĘCIE.

Dopiął celu swych życzeń Władysław, lecz wkrótce nowe go spotkały przygody. Chlubny zwycięzca tylekroć zawistnych mu losów dał się pomyślności pokonać, pomyślności, która zbyt często trudniejszą jest do wytrzymania próbą nad ścigające

swemi pociski niedole. Piękne były pierwiastki jego królewskich rządów. Cały kraj uznał go za pana, a długo oporni szlęzcy książęta poniżeni zostali klęskami. Wypadło uspokoić zawichrzzone od książąt szczecińskich Pomorze. Wyprawił się król polski z niemałym wojskiem, wkrótce atoli w uciechach i zbytkach o tem, po co przyszedł, zapomniat. Ogarnął zaraźliwy przykład monarchy polskie rycerstwo, namnożyło się ucisków i skarg, lecz te ostatnie trudny przystęp znajdowały do tronu.

Korzystał z niekarności wojsk polskich Bogusław IV, książę szczeciński, i tylokrotnego zwyciężąc krolów i książąt słabemi siły pokonał. Musiał prosić o pokój Władysław. To poniżenie świeżo otrzymanej korony głęboko utkwilo w sercach Polaków. Ztąd poszła niechęć, która się pędem bystrego potoku po umysłach rozlała. Przywykli Polacy do snadnej panujących odmiany, o innym królu myśleć poczęli. Przechrzał Władysław zмовы arcybiskupa gnieźnieńskiego i Andrzeja poznańskiego biskupa z Henrykiem księciem głogowskim, zmierzającym do polskiej korony, i powetował ich w okropnem zniszczeniu biskupich włości. Zemsta, to niegodne panującego uczucie, poniżyła go w oczach poddanych i obcych.

Mówią, że wtedy zjawił się przed nim pustelnik z Grodziska i w okropnych przestrobach dalsze przepowiedział koleje. Spełniły się one niebawem, a Polacy, omyleni w swoich nadziejach, znów przywołali na tron Wacława. Ten, przybywszy do Gniezna, ukoronowanym i namaszczoneym został. Tajne są przyczyny, dla których Władysław po pierwszym swem wyniesieniu zaniechał tego uroczystego obrzędu. Wszakże ta okoliczność sprawiła, że tem snadniej został z tronu strącony. Wyzuty z władzy i odstąpiony od swoich, znalazł w Węgrzech u Admacea wojewody schronienie. Późno oplakując swe błędy, przywdział na się pielgrzymią szatę, przypasał tykwe

do boku i powędrował do Rzymu. Tam, podczas jubileuszu z nowym otworzonego wiekiem (roku 1300), Bonifacy VIII papież, jako ojciec łagodny i pasterz trzody Chrystusa, ulitował się jego pokuty i nadzieją odzyskania przodków dziedzictwa dotuszył. A gdy Wacław, pan wspaiały i dobry, dla spraw domowych i chęci pozyskania synowi węgierskiej korony, nie mógł sam przez się w Polsce panować, obcy krajowi namiestnikowie jego narazili się nieznośną dumą i srogim uciskiem, poczęto żałować Łokietka, a pozostali w Polsce jego stronnicy wezwali do wołającej na niego ojczyzny. Powrócił, wsparty wojewody węgierskiego pomocą, i zjawił się znów na placu dawnych z Czechami zapasów. Wzięty zamek w Pelczyskach otworzył mu drogę do opanowania Wiślicy. Zdobył następnie Lelów. Wkrótce potem Wacław Dobry, król czeski i polski, dokonał w Pradze żywota. Panowie sandomierscy i krakowscy pospieszyli niebawem do Władysława, ofiarując mu znowu koronę.

Widziano na ich czele Wierzbietę, kasztelana krakowskiego, i Andrzeja ze Zmigroda wojewodę, Żegotę i Prandotę, tego kasztelana sandomierskiego, tamtego zaś wojewodę. Był razem z nimi mąż uczony i zacny, Klemens, kanclerz kapituły krakowskiej. Albert, wójt krakowski, otworzył mu bramy stolicy. Czcze były usiłowania Wacława Wtórego, króla czeskiego, o odzyskanie polskiej korony. Dążąc od Krakowa z wojskiem, w Ołomuńcu zamordowany został. Śmierć jego szereg królów czeskich ze krwi słowiańskiej przerwała.

W krótkim czasie cała Polska uznała Władysława za pana, który następnie wraz z Jadwigą zwykłym obrzędem w Krakowie ukoronowanym i namaszczoneym został.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

	Str
ROZDZIAŁ I. Kraków pod- czas wojen z Litwą	5
ROZDZIAŁ II. Powrót Leszka do stolicy.	15
ROZDZIAŁ III. Władysław w obronie swych krajów . .	27
ROZDZIAŁ IV. Tatarzy	38
ROZDZIAŁ V. Pielgrzym	51
ROZDZIAŁ VI. Przemysław i Ryxa	62
ROZDZIAŁ VII. Uczta na wsi	72
ROZDZIAŁ VIII. Władysław opuszcza Poznań	83
ROZDZIAŁ IX. Opanowanie i utrata Krakowa	91
ROZDZIAŁ X. Niebezpieczeństwa Władysława	97
ROZDZIAŁ XI. Kraków panów odmienia	111
ROZDZIAŁ XII. Łęka branka	119
ROZDZIAŁ XIII. Wacław król Czeski w Polsce	130
ROZDZIAŁ XIV. Przemysław królem.	137
ROZDZIAŁ XV. Śmierć Przemysława	150
Zamknięcie	157

1205_b